

PETER CAREY  
CHEMIA ŁEZ

Z angielskiego przełożyła  
Edyta Basiak



*Dla Frances Coady*

**Catherine**

# 1

Umarł, a mnie nikt nic nie powiedział. Gdy przechodziłam obok jego biura, jego asystentka zalewała się łzami.

– Co się stało, Felicjo?

– Nie słyszała pani? Pan Tindall nie żyje.

Zrozumiałam: „Pan Tindall nie przyjdzie” i pomyślałam: na Boga, kobieto, weź się w garść.

– Gdzie teraz jest? – To było nieostrożne pytanie. Matthew Tindall od trzynastu lat był moim kochankiem, lecz utrzymywaliśmy nasz związek w tajemnicy. W prawdziwym życiu unikałam jego asystentki.

Miała rozmazaną szminkę, a jej pomarszczone usta wyglądały jak brzydka, zwinięta skarpeta.

– Gdzie teraz jest? – wyszlochała. – Co za okropne, *okropne* pytanie.

Nic nie rozumiałam, zapytałam więc jeszcze raz.

– Catherine, on nie żyje – odpowiedziała i znów zalała się łzami.

Wmaszerowałam do jego biura, jakby chcąc jej udowodnić, że się myli. To nie było rozsądne z mojej strony. Mój sekretny ukochany był grubą rybą – kustoszem kolekcji metali. Na biurku stało zdjęcie jego dwóch synów, a na półce leżał kretański tweedowy kaszkiet. Sama nie wiem, dlaczego go zabrałam.

Oczywiście widziała, że go ukradłam, ale nic mnie to nie obeszło. Zbiegłam schodami Philipsa na parter budynku. W to kwietniowe popołudnie w georgiańskich wnętrzach Muzeum Swinburne pośród tysiąca codziennie je zwiedzających osób i osiemdziesięciorga pracowników nie było ani jednej duszy w pełni świadomej tego, co tak naprawdę się stało.

Wszystko wydawało się takie, jak zazwyczaj. Nie mogłam uwierzyć, że Matthew już tu nie ma, że nie czeka na mnie z jakąś niespodzianką. Miał bardzo charakterystyczny wygląd, mój najdroższy. Po lewej stronie wydatnego nosa twarz przecinała mu pionowa zmarszczka. Miał gęste włosy i duże, miękkie, zawsze czułe usta. Oczywiście był żonaty. Oczywiście, oczywiście. Kiedy po raz pierwszy zwróciłam na niego uwagę, miał czterdzieści lat, a kochankami zostaliśmy po kolejnych siedmiu. Dobiegałam wówczas trzydziestki i wciąż byłam dziwołagiem, czyli pierwszą kobietą zegarmistrzem, jaka kiedykolwiek pracowała w muzeum.

Trzydzieści lat, całe moje życie. Żyliśmy wówczas w cudownym świecie. Muzeum Swinburne, kod pocztowy SW1, było jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic Londynu. Mogło się pochwalić całkiem sporym działem poświęconym horologii<sup>[1]</sup>, w którym zebrana była znana na całym świecie kolekcja zegarów, zegarków, automatów i innych nakręcanych urządzeń. Jeżeli przypadkiem byłeś tam 21 kwietnia 2010 roku, być może widziałeś mnie, nieco dziwaczną, lecz elegancką wysoką kobietę, kurczowo ściskającą w ręku tweedowy kaszkiet. Może wyglądałam na szaloną, a może nie odbiegałam zbytnio wyglądem od moich kolegów – rozmaitych kustoszy i konserwatorów – którzy przemierzali galerie muzeum w drodze na spotkanie, do pracowni lub do schowka, gdzie wkrótce mieli się zająć *przesłuchaniem* starożytnego przedmiotu; miecza, kapy lub mużułmańskiej klepsydry. Byliśmy ludźmi muzeum, uczonymi, księżmi, specjalistami od napraw i polerowania, naukowcami, hydraulikami, mechanikami – na dobrą sprawę transpotterami – o wąskich specjalizacjach w zakresie metali, szkła, tkanin czy ceramiki. Jak sami lubiliśmy podkreślać, stanowiliśmy zbieraninę różnych typów, lecz mimo to w skrytości ducha wierzyliśmy, że pewne stereotypy są prawdziwe. Na przykład zegarmistrzem nie mogła

być młoda kobieta o zgrabnych nogach, lecz tylko niewysoki mężczyzna – najwyżej 168 centymetrów – w typie szalonego naukowca, strachliwy, trochę zdziwaczały, z rzadkimi włosami w kolorze blond, z trudem zmuszający się do nawiązania kontaktu wzrokowego. Można go dostrzec, gdy przemyka jak myszka galeriami na parterze muzeum, z nieodłącznym pękiem kluczy pobrzękującym u boku, niczym stróż komnaty tajemnic. Tak naprawdę każdy z pracowników Swinburne znał jedynie część tutejszych labiryntów. Nasze terytoria przypominały wybiegi dla szczurów – ograniczone do tras, którymi poruszaliśmy się niezmiennie, gdy chcieliśmy gdzieś dotrzeć. Dzięki temu niezwykle łatwo było tu prowadzić tajemne życie i odczuwać perwersyjną przyjemność, jaką takie życie daje.

W obliczu śmierci te wnętrza stały się prawdziwym koszmarem. Niby były takie same, lecz jednak jaśniejsze, ostrzejsze. Wszystko wydawało się jednocześnie bardziej wyraziste i odległe. Jak umarł? Jak mógł umrzeć?

Szybko wróciłam do swojego gabinetu i wstukałam w Google nazwisko „Matthew Tindall”, ale w sieci nie było nic o żadnym wypadku. Za to w skrzynce mailowej znalazłam wiadomość, na widok której podskoczyło mi serce, ale tylko na moment, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że wysłał ją o czwartej po południu poprzedniego dnia. „Całuję twoje paluszki”. Zaznaczyłam ją jako nieprzeczytaną.

Nie miałam odwagi zwrócić się o pomoc do nikogo. Postanowiłam pracować, bo właśnie to zawsze robiłam w sytuacjach kryzysowych. Do tego właśnie przydają się zegary, ich zawilgości i osobliwa zagadkowość. Usiadłam przy stole w warsztacie i przystąpiłam do prób naprawy wyjątkowo fanaberyjnego osiemnastowiecznego francuskiego zegara. Narzędzia leżały obok, na miękkiej szmatce z zielonej irchy. Zaledwie dwadzieścia minut wcześniej podobał mi się ten francuski czasomierz, lecz teraz wydał mi się próżny i przesadnie ozdobny. Schowałam twarz w kaszkiecie Matthew. Użylibyśmy słowa „niuchać”. „Niucham cię”. „Niucham twój kark”.

Mogłam iść do Sandry, mojej bezpośredniej przełożonej. Zawsze była dla mnie bardzo miła, ale nie mogłabym znieść niczyjej, nawet jej, ingerencji w moje prywatne sprawy, rozkładanie ich na stole i przesypywanie jak paciorków z rozerwanego naszyjnika.

Hej, Sandra, może wiesz, co się stało panu Tindallowi?

Mój dziadek Niemiec i mój bardzo angielski ojciec byli zegarmistrzami. Żaden nie osiągnął spektakularnego sukcesu – najpierw prowadzili zakład w Clerkenwell, potem w centrum, a później znów w Clerkenwell, wyrabiając porządne, solidne angielskie zegarki z pięcioma kółkami zębatymi – lecz zawsze darzyłam ich zawód niemal religijnym szacunkiem. Już jako mała dziewczynka uważałam, że jest to zajęcie bardzo kojące, które daje spełnienie. Od lat szczerze wierzyłam w to, że konstruowanie zegarów jest w stanie ukoić każdy zamęt w duszy i sercu. Tak mocno w to wierzyłam i tak bardzo się myliłam.

Biurowa herbaciarka przyniosła mi swój przygnębiający napar. Przyglądałam się kłaczkom lekko zwarzonego mleka, krążącym po powierzchni napoju, jak sądzę, w oczekiwaniu na Matthew. Kiedy więc poczułam na ramieniu dotyk ręki, całe moje ciało jakby rozpadło się na kawałki. Zdawało mi się, że to Matthew, ale on nie żył, a zamiast niego stał obok mnie Eric Croft, kustosz działu horologii. Zaczęłam wyc jak zranione zwierzę i nie mogłam przestać.

Nie mogłam sobie wybrać gorszego świadka swojej rozpacz.

Crafty Crofty był, najprościej to ujmując, mistrzem wszystkiego, co tyka i cyka, uczone, historykiem i znawcą. Ja sama w porównaniu z nim byłam jedynie dobrze wykształconym mechanikiem. Zasłynął pracą naukową na temat orientalnych ślicznotek – misternie zdobionych wizerunkami egzotycznych zwierząt i budynków pozytywek, często umieszczanych na kunsztownie wykonanych podstawkach, które z takim sukcesem eksportowano w osiemnastym wieku do Chin, a które były wyrazem kompletnego braku

zrozumienia kultury Orientu. Tak to już było w naszym fachu. Budowaliśmy nasze rozchwiane życie na właśnie takich rzeczach. Zwierzęta poruszały oczami, uszami i ogonami, pagody powstawały i upadały, wysadzone klejnotami gwiazdy migotały, a obracające się wokół własnej osi szklane pręciki bardzo wiarygodnie udawały strumienie wody.

Wyłam i wyłam, i teraz to moje usta przypominały pacynkę ze skarpetki.

Podobnie jak do potężnie zbudowanego prezesa klubu rugby nie pasowałby piesek chihuahua trzymany pod pachą, tak samo Eric w niczym nie przypominał swoich chińskich cacek, które raczej mogłyby stanowić pasję szczupłego geja o wyszukanym guście. Cechował go ten specjalny rodzaj heteroseksualnego zapachu, który kojarzy się raczej z ludźmi pracującymi „w metalach”.

– Nie, nie! – zawołał. – Cicho.

Cicho? Nie był bynajmniej szorstki. Otoczył mnie mocnym, twardym ramieniem, doprowadził do wyciągu laboratoryjnego i włączył go, wyciąg hałasował niczym dwadzieścia suszarek do włosów pracujących naraz. Wydało się, pomyślałam.

– Nie – powiedział. – Przestań.

Wyciąg był bardzo ciasny, przeznaczony dla jednego konserwatora podczas oczyszczania starożytnych przedmiotów toksycznym rozpuszczalnikiem. Crofty gładził mnie po ramieniu, jakbym była koniem.

– Zajmiemy się tobą – powiedział.

Ciągle rycząc, wreszcie zrozumiałam, że Crofty znał moją tajemnicę.

– Na razie idź do domu – rzekł cicho.

Pomyślałam, że nas zdradziłam, że Matthew będzie wkurzony.

– Spotkajmy się w knajpie – zaproponował. – Jutro o dziesiątej? Naprzeciwko Aneksu. Dasz radę? Nie masz nic przeciwko temu?

– Dobrze – odpowiedziałam, myśląc, że o to właśnie chodzi. Zamierzają mnie wywalić z głównego budynku muzeum, zamknąć w Aneksie. Wygadałam się.

– W porządku – uśmiechnął się szeroko, a zmarszczki w kącikach ust nadały jego twarzy koci wyraz. Wyłączył wyciąg i nagle poczułam zapach jego płynu po goleniu. – Najpierw wyślemy cię na zwolnienie. Razem stawimy temu czoło. Mam dla ciebie specjalne zadanie – powiedział. – Naprawdę śliczny przedmiot. – To charakterystyczne dla ludzi ze Swinburne: na zegar mówią przedmiot.

Pomyślałam, że wysyła mnie na wygnanie, grzebie za życia. Aneks znajdował się na tyłach Olympii, tam mój żal mógł pozostać w ukryciu tak jak moja miłość.

Tak więc był dla mnie miły, ten dziwny macho Crofty. Pocałowałam go w szorstki, pachnący drzewem sandałowym policzek. Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem, po czym uciekłam na wilgotne ulice i pognałam w kierunku Albert Hall z uroczym, kretyńskim kaszkietem Matthew w dłoni.

Dotarłam do domu, wciąż nie wiedząc, jak zmarł mój ukochany. Wyobrażałam sobie, że upadł i uderzył się w głowę. Nie znosiłam jego nieustannego bujania się na krześle.

Teraz będzie pogrzeb. Rozdarłam na sobie koszulę i poszarpałam jej rękawy. Przez całą noc wyobrażałam sobie, jak zginął: pod kołami samochodu, zmiądzony, ugodzony nożem, wepchnięty na szyny. Każda wizja była nowym szokiem, rozdarciem, szlochem. Czternaście godzin później, przyszedłszy do Olympii na spotkanie z Erikiem, wciąż byłam w tym stanie.

Nikt nie lubi Olympii, to okropne miejsce. Ale to właśnie tam znajduje się Aneks Muzeum Swinburne, gdzie miałam być zesłana, niczym wdowa, którą czeka spalenie żywcem. Cóż, śmiało podpalajcie ten stos pogrzebowy, pomyślałam, bo nie ma bólu większego niż ten, który już odczuwam.

Chodniki na tyłach centrum wystawienniczego były nienaturalnie gorące i wąskie, a alejki kręte. Ciężarówki pędzące z zawrotną prędkością wzbijały tumany kurzu i niedopałki papierosów zaścielające ulicę, przy której czekał na mnie Aneks. Nie było to więzienie – na nim bowiem znajdowałyby się odpowiednia tablica informacyjna – lecz u szczytu wysokiej bramy biegła girlanda drutu kolczastego.

Wielu konserwatorów pracujących w Swinburne spędziło w Aneksie jakiś czas, pracując nad przedmiotem, którego konserwacji nie można było przeprowadzić w głównym budynku muzeum. Niektórzy twierdzili, że było to miłe doświadczenie, lecz ja nie mogłam sobie wyobrazić oderwania od Swinburne, mojego muzeum, mojego życia, gdzie każda klatka schodowa i każdy korytarz, każdy płatek tynku i każda cząsteczka acetonu skrywała w sobie moją miłość do Matthew i moje opustoszałe serce.

Naprzeciw Aneksu znajdowała się George's Café, z drzwiami szeroko otwartymi na nietypowy dla tej pory roku upał.

Można by pomyśleć, że autor dzieła *Bilans płatniczy. Handel orientalnymi ślicznotkami z Chin w XVIII wieku* będzie się wyróżniał na tle czterech spoconych policjantów siedzących w głębi kawiarni, kierowców z Olympii i listonoszy z urzędu w West Kensington, którym najwyraźniej pozwolono nosić krótkie spodenki. Nie był to trafiony pomysł, ale cóż. Gdyby szacowny kustosz nie podniósł się z miejsca (z pewną niezręcznością, gdyż małe stoliki nie ułatwiały potężnie zbudowanym mężczyznom takich manewrów), nie zauważyłabym go nawet.

Crofty z upodobaniem mawiał, że jest doskonałym nikiem. Lecz pomimo zwodniczo silnego akcentu i gruchoczącego kości uścisku dłoni, który został wypracowany w dzieciństwie przypadającym na męskie lata pięćdziesiąte, bywał na koktajlach u ministra kultury, podczas których, gdyby udało ci się zdobyć zaproszenie, mógłbyś usłyszeć, że poprzedni weekend spędził na polowaniu w Szkocji u Ellswortha (dla maluczkich Sir Ellisa Crispina). Wyglądało na to, że ten wpływowy mężczyzna zamierza otoczyć mnie teraz opieką.

Zwróciłam uwagę na jego oczy, pełne zastraszającego współczucia. Zrobiłam trochę zamieszania z parasolką, po czym położyłam na stoliku notes, a on przykrył moją dłoń swoją – wielką, suchą i ciepłą, jak swoisty inkubator do wylęgu jajek.

– Co za straszna historia – powiedział.

– Ericu, powiedz mi, proszę, co się stało?

– O Chryste – mruknął. – Przecież ty nic nie wiesz.

Nie mogłam na niego patrzeć. Zabrałam rękę i ukryłam ją na kolanach.

– Zawał serca, rozległy. Tak mi przykro. To się stało w metrze.

Metro. Całą noc je sobie wyobrażałam, z jego ciemną, gorącą gwałtownością. Złapałam kartę i zamówiłam fasolkę w sosie i dwa jajka w koszulkach. Czułam na sobie spojrzenie łagodnych, wilgotnych oczu Erica. Wcale a wcale mi to nie pomagało. Zaczęłam gwałtownie przekładać sztućce.

– Wynieśli go na stacji Notting Hill.

Myślałam, że powie: „dobrze, że umarł tak blisko domu”, ale tego nie zrobił. Nie mogłam znieść myśli, że zabrali go do niej.

Ona, wielka projektodawczyni małżeńskiego „porozumienia”, odgrywała teraz rolę zrozpaczonej wdowy.

– Pogrzeb pewnie będzie na cmentarzu w Kensal Green? – zapytałam. Wystarczy przejść kawałek Harrow Road, pomyślałam, bardzo wygodnie.

– Tak, jutro.

– Nie, to niemożliwe.

– Jutro o piętnastej. – Teraz to on nie potrafił się zmusić do spojrzenia na mnie. – Nie wiem, co zamierzasz zrobić.

No tak, oczywiście, będą tam wszyscy: jego żona, synowie, koledzy. Powinnam pójść, ale nie byłam w stanie. Nie potrafiłabym dochować tajemnicy.

– Nie grzebie się ludzi tak szybko – powiedziałam. – Ona próbuje coś ukryć. – Pomyślałam, że chce go schować pod ziemią, z dala ode mnie.

– Nie, nie, moja droga, nic z tych rzeczy. Nawet żółowata Margaret nie byłaby do tego zdolna.

– Próbowalesz kiedyś zorganizować pogrzeb? Pochówek mojego ojca zajął mi dwa tygodnie.

– W tym przypadku zwolnił się termin.

– Co takiego?

– Zwolnił się termin.

Nie wiem, które z nas roześmiało się pierwsze. Może ja, bo zajęło mi chwilę, zanim się opanowałam.

– Zwolnił się termin? Ktoś postanowił jednak nie umrzeć?

– Nie wiem, Catherine, może inny cmentarz okazał się tańszy. Tak czy owak, pogrzeb jest jutro o trzeciej. – Przesunął w moim kierunku złożoną kartkę.

– Co to?

– Recepta na tabletki nasenne. Zajmiemy się tobą – powtórzył.

– My?

– Nikt się nie dowie.

Siedzieliśmy w ciszy nad stertą jedzenia, która pojawiła się przede mną. Eric roztropnie zamówił jedno jajko na twardo.

Obserwowałam, jak rozbija skorupkę i obiera jajko, odsłaniając miękkie i lśniące białko.

– Co będzie z jego mailami? – zapytałam, bo o tym też myślałam całą noc. Nasze życie osobiste było zachowane na muzealnym serwerze w pozbawionym okien budynku w Shepherd's Bush.

– System padł.

– System padł czy je skasowałeś?

– Nie, nie, cały system muzeum padł z powodu tej fali gorąca. Podobno zawiodła klimatyzacja.

– Czyli nie są skasowane.

– Cat, posłuchaj.



Pomyślałam, że „Cat” nie jest kimś zdolnym do przetrwania w przestrzeni publicznej. Cat to mała, naga, delikatna osobka, rozdarta i cierpiąca. Proszę, nie nazywaj mnie Cat.

– Powiedz mi, proszę, że nie pisywaliście do siebie na służbowe adresy.

– Owszem, i nie chcę, żeby nasze maile czytali obcy ludzie.

– To już załatwione – odparł.

– Skąd wiesz?

Zdawało mi się, że obraziłam go tym pytaniem, gdyż przybrał bardziej dyrektorski ton.

– Pamiętasz aferę z Derekiem Peabodym i dokumenty, które chciał sprzedać do Yale?

Wrócił do biura, żeby zabrać swoje rzeczy, a jego skrzynka już nie istniała. Po sprawie.

Nie miałam pojęcia o żadnej aferze z Peabodym.

– Na dobre skasowano mu skrzynkę?

– Oczywiście – odparł bez mrugnięcia okiem.

– Ericu, nie życzę sobie, by ktokolwiek miał dostęp do tych maili, ani dział IT, ani ty, ani jego żona, nikt.

– Doskonale, Catherine, mogę cię zapewnić, że twoje życzenie już zostało spełnione.

Pomyślałam, że jest kłamcą. On pomyślał, że jestem suką.

– Przepraszam – powiedziałam. – Kto jeszcze wie?

– O tobie i Matthew? – Zawahał się na moment, jakby mógł mi udzielić wielu różnych odpowiedzi. – Nikt.

– Jestem zdumiona, że w ogóle ktoś wie. – Zauważyłam, że poczuł się urażony. – Przykro mi, jeśli to tak zabrzmiało.

– Nie ma sprawy. Załatwiłem ci krótkie zwolnienie lekarskie. Gdyby ktoś pytał, masz zapalenie oskrzeli. Wydaje mi się jednak, że chciałabyś wiedzieć, że masz przed sobą przyszłość. Może powinnaś rzucić okiem na przedmiot, który będzie czekał na ciebie, gdy znów wrócisz do pracy.

Czyli nie zamierzał nalegać, żebym poszła na pogrzeb. Powinien, ale tego nie zrobił. Jego spojrzenie nabrało innego wyrazu. Na własne oczy widziałam, jak budzą się w nim nowe emocje wywołane przez ten „przedmiot”, który, jak podejrzewałam, był jedną z tych okropnych orientalnych ślicznotek. Pasjonaci już tacy są. Nawet śmierć współpracownika nie jest w stanie zatrzeć radości płynącej z nowego znaleziska.

Nie czułam się specjalnie obrażona. Jeśli byłam zła, to dlatego, że wykluczono mnie z pogrzebu, lecz oczywiście zdawałam sobie sprawę, że jestem zbyt niezrównowazona, by stawić się w Kensal Rise. Dlaczego miałabym tam stać z nimi? Nie znali go. Absolutnie nic o nim nie wiedzieli.

– Możemy wrócić do tego później? – zapytałam i od razu się połapałam, że nie było to grzeczne. Zrobiło mi się głupio, nie chciałam sprawić mu przykrości. Zdjął nakrętkę zatkanej solniczki i usypał kopczyk soli, po czym zanurzył w nim jajko.

– Oczywiście – odrzekł, ale był wyraźnie urażony.

– Czyżby wypłynął na powierzchnię? – podsunęłam.

W podziękowaniu za okazany cię zainteresowania obdarzył mnie kocim uśmiechem. Wybaczone mi, choć byłam niemiła.

Pomyślałam, że kiedy ku Matthew skradał się zawał serca, Eric grzebał w starych muzealnych katalogach. Znalazł w nich skarb, o którym nie wiedział żaden z kustoszy, coś dziwnego i brzydkiego, co mogło się stać przedmiotem książki.

Zastanawiałam się, czy owo urządzenie było obsesją kogoś wysoce postawionego, czy też konikiem ministra albo członka zarządu. Mogłam o to uprzejmie zapytać, ale szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodziło. Zegar to zegar, ale chińska pozytywka może być prawdziwym

koszmarkiem ze szkła, ceramiki, metalu albo tkaniny. Jeśli tak, będę musiała współdziałać z konserwatorami zajmującymi się tymi wszystkimi materiałami. Nie miałam ochoty na współpracę z nikim. Od razu zaczęłabym wyc i łkać, i wszystko by się wydało.

– Przepraszam – powiedziałam w nadziei, że odkupię tym swoje przewinienie.

Zachowałam się paskudnie, bo przecież Eric był dla mnie niezwykle miły.

Wyszliśmy z knajpy, przed którą zaparkowany był błyszczący czerwony mini minor. Nie był to ten tak dobrze mi znany samochód, ale wyglądał identycznie i zorientowałam się, że Eric ma ochotę porozmawiać o tym zbiegu okoliczności. Jednak za żadne skarby nie mogłam o tym mówić. Uciekłam na drugą stronę ulicy i schroniłam się w najpilniej strzeżonym z londyńskich budynków muzealnych.

Jak łatwo zgadnąć, gości z ochrony wcale nie interesowała horologia. Woleliby z okrzykami na ustach objeżdżać North Circular na swoich harleyach. Ku mojemu zdumieniu wiedzieli, kim jestem, i odnieśli się do mnie z zaskakującą serdecznością, co od razu nastawiło mnie podejrzliwie.

– Pani pozwoli, złociutka, odbiję za panią kartę.

Przechodząc przez pierwsze zbrojone drzwi, nadal byłam wzburzona widokiem czerwonego mini. Czułam potężną rękę Erica o parę centymetrów od moich pleców. Chciał mnie tylko pocieszyć, ale byłam jak oszalała. Bliskość jego ręki była dla mnie obelżywa, gorsza nawet niżli faktyczny kontakt fizyczny. Opędziłam się od niej jak od muchy i zorientowałam się, że wcale jej tam nie ma.

Na czwartym piętrze pozwolono mi odbić kartę samodzielnie. Ruszyliśmy zimnym, pozbawionym okien korytarzem oświetlonym jarzeniówkami i wyłożonym kafelkami, w większości białymi. Poczułam, jak jeżą mi się włosy na głowie.

Miałam w torebce połówkę półmiligramowej tabletki lorazepamu, ale nie mogłam jej znaleźć – pewnie ugrzęzła wraz z kurzem gdzieś przy szwie.

Eric zamaszystym gestem otworzył drzwi jednego z pokojów. W środku przy maszynie do szycia siedziała wystraszona drobna kobietka w okularach.

Następne drzwi, te właściwe, nie chciały się otworzyć, wreszcie, mocno szarpnięte, z hukiem uderzyły o ścianę omal nie wypadając z zawiasów. Pozostałam nieruchoma, podobnie jak cała niewzruszona betonowa konstrukcja Aneksu. Specjaliści od horologii nie znoszą obcych wibracji, dlatego pewnie założono, że to dla mnie dobre miejsce. Poczułam zbliżający się atak klaustrofobii.

W pokoju były trzy wysokie okna zalane porannym słońcem. Idąc za głosem rozsądku, nie podniosłam rolet.

Pod oknem, wzdłuż ściany, stało osiem skrzyń po herbacie i cztery długie, wąskie drewniane kufry.

Czyżbym była pierwszym w historii świata konserwatorem, który nie miał ochoty otworzyć skrzyni?

Zamiast tego otworzyłam kolejne drzwi. Okazało się, że mój gabinet ma prywatną łazienkę. Wyraz twarzy mojego opiekuna wyraźnie wskazywał, że powinno mnie to ucieszyć. Znalazłam fartuch ochronny i owinęłam się nim.

Kiedy wróciłam do pokoju, Eric stał przy skrzynkach po herbacie. Nagle nabrałam pewności, że kryje się w nich paskudne stadko małych wydmuchujących dym. Sir Kenneth Claringbold miał okropną kolekcję mechanicznych urządzeń, nakręcanych figurek Chińczyków i rozmaitych śpiewających panienek. Moje pierwsze zlecenie dla Swinburne dotyczyło właśnie jego daru dla muzeum: mechanicznej małpki.

Muszę przyznać, że nawet miała w sobie pewną elegancję, pomijając sposób, w jaki

wykrzywiła usta w uśmiechu, ale dla osoby wychowanej na surowej, racjonalnej elegancji czasomierzy była szczytem szkaradzieństwa. Dostawałam od niej bólu głowy i ataków astmy. Żeby dokończyć konserwacji, musiałam zakrywać jej główkę papierową torebką.

Później trafił nam się pałacy Chińczyk, już nie tak okropny, ale tak czy owak w tych przedmiotach naśladowujących życie było coś wyjątkowo niesmacznego. Z rosnącą irytacją zaczęłam więc obwąchiwać swój nowy gabinet, w obawie, że Eric postanowił mnie uraczyć właśnie czymś takim – w końcu osiem drewnianych skrzyń to zbyt wiele, by pomieścić jeden zegar.

– Nie chcesz zobaczyć, co to jest?

Wydało mi się, że dostrzegłam w jego sposobie mówienia jakąś tajemniczość, ledwo zauważalne drgnienie ukryte pod wąsem.

– Czy w grę wchodzi tkaniny? – zapytałam.

– Może rozpakujesz prezenty?

Mówił do Catherine Gehrig, którą tak dobrze znał od tylu lat. Widział mnie w różnych stresujących (a w świecie muzealnym wręcz niebezpiecznych) sytuacjach i nigdy nie dałam się poznać z innej strony niż jako osoba spokojna i racjonalnie myśląca. Podobało mu się to, że nigdy nie tracę opanowania. On sam uwielbiał wielkie emocje, groteskowe efekty, orientalne ślicznotki, operę. Jediną rzeczą, za jaką mnie krytykował, była nadmierna ostrożność.

Drogi Eric nie zdawał sobie sprawy, że adresatka jego dobrych intencji zamieniła się w rozedrganą, szaloną maszynę, podobną do dążącej do samozniszczenia rzeźby Jeana Tinguely'ego.

Chciał, bym obejrzała jego upominek. Nie pojmował, że nie byłam w stanie.

– Ericu, proszę, nie mogę.

Ponad kołnierzykiem na jego szyi i twarzy zaczął się rozlewać rumieniec. Był na mnie zły. Jak to możliwe?

I nagle, pod jego palącym spojrzeniem, zrozumiałam, że musiał pociągnąć za wiele sznurków i wkurzyć wiele osób, żeby umożliwić nikomu nieznannej dziewczynie schronienie w miejscu, gdzie jej emocje byłyby bezpiecznie ukryte przed światem. Opiekował się mną ze względu na Matthew, ale również ze względu na dobro muzeum.

– Ericu, przykro mi, naprawdę.

– Cóż, obawiam się, że musisz przejść przez ochronę, jeśli chcesz wyjść na papierosa.

Nadal palisz?

– Powiedz mi tylko, że to nie małpka – odrzekłam.

Oczy zasły mi łzami. Ty poczciwy kretynie, powiedziałam w duchu, najlepiej po prostu sobie pójdź.

– O mój Boże – jęknął. – To wszystko jest takie okropne.

– Jesteś taki kochany – odpowiedziałam. – Naprawdę.

Na moment z jego twarzy zniknęło całe opanowanie, ale na szczęście powściągnął emocje. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W środku nocy zawieruszyłam gdzieś kaszkiet Matthew. Wpadłam w panikę, rozbebeszyłam łóżko i przewróciłam lampkę nocną w poszukiwaniu zguby. Gdy go znalazłam, połknęłam pigułkę, nalałam sobie whisky i zjadłam kromkę chleba. Włączyłam komputer. Muzealny e-mail znów działał.

„Całuję twoje paluszki”.

Irracjonalny lęk przed pracodawcami powstrzymał mnie od odpowiedzi. Zaznaczyłam wiadomość jako nieprzeczytaną.

Zawinęłam się w jego koszulę, wzięłam kaszkiet, z powrotem się położyłam i zanurzyłam w nim nos. Kocham cię. Gdzie jesteś?

Potem nadszedł ranek, a on nadal nie żył. Serwer znów nie działał, a Matthew odszedł na zawsze. Jego ciało leżało gdzieś w tym okropnym upale. Nie, raczej w chłodni, z zawieszką na dużym palcu stopy. A może już jest zamknięty w trumnie. Pogrzeb zaplanowany był na piętnastą.

Byłam na zwolnieniu lekarskim i miałam tabletki nasenne, ale wiedziałam, że sama tu oszaleję – nie mam kościoła, rodziny, nikogo, z kim mogłabym podzielić się prawdą, nic poza Swinburne, do którego nieroztropnie ograniczyłam całe moje życie. Gdy nadeszło południe, byłam już w klaustrofobicznym metrze. Po dwóch przesiadkach wynurzyłam się spod ziemi przy Olympii. Miałam brudne włosy. W powietrzu unosiła się żółtawa mgielka.

Moi koledzy z głównego budynku muzeum zapewne byli już ubrani odpowiednio na pogrzeb. Jeszcze było za wcześnie, by wyruszyć, więc siedzieli, jak sądzę, w swoich warsztatach, otoczeni osobistymi drobiazgami przypominającymi o prawdziwym życiu, portretami dzieci i bliskich osób, zdjęciami z wakacji. Moja pracownia nic mi nie powiedziała o jej poprzedniej właścicielce. Na korkowej tablicy przyczepiłam fotografię drzewa z Southwold i pustej ulicy w Beccles. Prawdziwe znaczenie tych obrazów było znane tylko nam dwojgu. Tylko nam jednej.

Ściany mojego starego gabinetu były kremowe, a wykładzina brązowa. Tamten pokój był dla mnie jak stary, pełen uroku, lekko wyszczerbiony dzbanek. Moja pracownia w Olympii, dla odmiany, miała błyszczącą betonową posadzkę i zasłonięte okna, gdyż widok za nimi był zbyt przygnębiający. Na myśl przyszli mi dziewiętnastowieczni więźniowie eskortowani do cel z workami na głowie, przykuci do krosien i pracujący bez przerwy, nie wiedząc nawet, gdzie się znajdują. W moim wypadku zamiast krosien były skrzynki po herbacie.

Na blacie leżał nowiutki Mac Apple’a. Gmail działał bez problemów, ale muzealny serwer, jak można się było spodziewać, znów cierpiał z powodu „ekstremalnych warunków pogodowych”.

W głowie miałam mętlik, czułam ucisk w klatce piersiowej, ale mimo to ułożyłam na blacie w równym rzędku, niczym instrumenty chirurgiczne, swoje narzędzia – kombinerki, obcinaki, piłkę, pilniki, przeciągacze, młotek, pęsety antymagnetyczne, drut mosiężny i stalowy, gwintowniki, ręczne imadełko, w sumie około dwudziestu przyrządów oznaczonych kropelką jaskrawoniebieskiego lakieru do paznokci. Pomysł Matthew.

Co robić? Trzeba żyć dalej. Otworzyłam pierwszą skrzynkę i znalazłam w niej groch z kapustą, wszystko zawinięte w gazetę „Daily Mail”, na której pierwszej stronie dostrzegłam kopułę katedry św. Pawła i chmury dymu. Czyli przedmiot zapakowali jacyś amatorzy podczas nocnych nalotów Luftwaffe na Londyn i wysłali go na bezpieczną wieś.

Westchnęłam: Boże, żeby to tylko nie były ubrania ani żadne inne tekstylia. W tej okropnej pałacej małpce, oprócz paskudnego grymasu odsłaniającego zęby, najbardziej nie

cierpiałam jedwabnego aksamitu, którym była pokryta – wypłowiałego, zetłalego, pomiętego i wytartego. Gdy mechanizm zaczynał się obracać, to właśnie nędzny stan materiału pokrywającego ten nie do końca nieożywiony przedmiot wzbudzał we mnie tak silne przerażenie.

Naprawdę, każdy, kto kiedykolwiek obserwował rzeczywiście udane urządzenie mechaniczne, widział jego niepokojąco realistyczne ruchy, spoglądał w mechaniczne oczy, każdy z nas pamięta to wyjątkowe poczucie lęku i zatarcia granic pomiędzy tym, co żywe, a tym, co nie może się narodzić. Kartezjusz powiedział, że zwierzęta są maszynami, a moim zdaniem tylko lęk przed torturami powstrzymał go przed rozszerzeniem tego stwierdzenia na istoty ludzkie.

Nie mieliśmy czasu na dusze, ani ja, ani Matthew. Poczucie, że jesteśmy niezwykle skomplikowanymi maszynami napędzanymi reakcjami chemicznymi, nigdy nie zmniejszyło naszego podziwu i szacunku dla Vermeera, Moneta i naszych ciał unoszących się w słonej wodzie, naszej ulotnej radości o zachodzie słońca.

Teraz słońce już zaszło. Za godzinę będzie się już dusić w czeluściach ziemi. Pogrzebałam w kłębie zmiętych gazet i natrafiłam na zwykłą puszkę po tytoniu. Była żółta, brązowy napis na niej głosił „Sam’s Own Mixture”, a zdobiący wieko obrazek przedstawiał psa, zapewne Sama, pięknego labradora, z miłością zadzierającego pysk do góry. Powinnam sprawić sobie psa. Nauczyłabym go, żeby ze mną spał i zlizywał mi łzy z twarzy.

Wysypałam zawartość puszkę na metalową tacę. Każdy by się zorientował, że są to mosiężne śrubki, ale biegłe oko specjalisty mogło dostrzec więcej, jak na przykład to, że większość z nich została wyprodukowana przed rokiem 1841. Te późniejsze, a było ich około dwustu, miały standardowe gwinty Whitwortha z nachyleniem 55 stopni. Czy naprawdę byłam w stanie zauważyć te 55 stopni? O tak, nawet przez łzy. Nauczyłam się tego, mając dziesięć lat, siedząc ramię w ramię z dziadkiem w jego warsztacie w Clerkenwell.

Od razu więc wiedziałam, że ów „przedmiot” wykonano w połowie XIX wieku, kiedy gwint Whitwortha stał się obowiązującym standardem, lecz wielu zegarmistrzów nadal samodzielnie wyrabiało śrubki. Różne typy gwintów powiedziały mi, że prace nad „przedmiotem” Crofta’ego prowadzono w wielu różnych warsztatach. Część procesu rekonstrukcji będzie polegała na dopasowaniu śrubek do otworków, co może się wydawać niezwykle monotonne, lecz właśnie to podobało mi się w pracy zegarmistrza. Dziadek Gehrig nauczył mnie cenić absolutny i skończony spokój, płynący z tego zajęcia.

Kiedy rozważałam studia w akademii sztuk pięknych, wydawało mi się, że tak się właśnie czuła na przykład Agnes Martin, malując swoje obrazy. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogła cierpieć na depresję.

Mam nadzieję, że mojemu ojcu w młodości nie było obce to szczęście, choć obecnie w to powątpiewam. Z pewnością utracił je, zanim poznałam nasz rodzinny sekret: ojciec był alkoholikiem. Spadał z taboretu, a ja nie rozumiałam, co się dzieje. Niespodziewane wyjazdy „za granicę” maskowały kolejne ciągi alkoholowe albo odtrucia. Czy wtedy w ogóle istniały ośrodki odwykowe? Czy kiedyś się dowiem? Biedny, nieszczęśliwy, kochany tata. Uwielbiał zegarmistrzostwo, lecz do upadku doprowadziła go postępująca degradacja tego zawodu. Nie znosił prostaków, którzy zachodzili do jego warsztatu, by wymienić baterie w zegarku.

Wynoście się stąd razem ze swoimi bateriami.

Mój ojciec utracił to, czym zawsze cieszył się Matthew – bezgraniczny spokój płynący z metalowych wyrobów. Z punktu widzenia nauki to oczywiście bzdura – metale rozluźniają się dopiero wtedy, gdy są zardzewiały lub oksydowane. Dopiero wówczas mogą odpoczywać w pokoju. A wtedy ktoś pokroju Erica Crofta postanawia je wypolerować i ukazać gawiedzi w pełnej krasie nagie, odarte ze skóry, wystawione na działanie raniącego powietrza.

Nie tylko Eric był taki. Gdy zaczęłam się spotykać z Matthew, pomogłam mu oczyścić

jego mini aż do gołego metalu. Kto by pomyślał, że to też może być miłość?

Zdejmując drżącymi rękami cienkie sklejkowe wieka kolejnych skrzynek, odkryłam mnóstwo zakrzywionych szklanych pręcików, co świadczyło wyraźnie o tym, że tajemniczy przedmiot raczej nie jest małpką.

Zaczęłam gwałtownie przeszukiwać kolejne skrzynie, w sposób absolutnie nieprzystający profesjonalście. Odkryłam paskudny automat na monety z lat pięćdziesiątych i kilka szkolnych zeszytów związanych rafią.

Zaniosłam je na stół i zamknęłam skrzynię.

Dokładnie w tym momencie, jakieś trzydzieści minut przed piętnastą, zaczęłam zbaczać z właściwej drogi. Zgodnie z protokołem nie powinnam była nawet dotykać papieru, dopóki panna Heller (która mnie nie lubiła) nie zanieś zeszytów do „ludzi od papieru”. Nie wolno by mi było przeczytać ani słowa. Musiałabym poczekać – to by jej się spodobało – co najmniej tydzień, a może i dwa, póki nie zostaną zeskanowane. Przedtem każda stronica byłaby wystawiona najpierw na agresywną ochronę panny Heller, a później na zabiegi konserwatorskie – natarcie silnego białego światła (o temperaturze dokładnie 3200 stopni w skali Kelvina), znanego jako „ostateczna zniewaga”.

Jego ciało pewnie było już w karawanie.

Kondukt pogrzebowy był już w drodze, zmierzając Harrow Road w kierunku północnym. Usiadłam. Zauważyłam, że zeszyty pochodzą z „werku”<sup>[2]</sup> niejakiego Wm. Froehlich z miasta Karlsruhe w Niemczech.

Podczas gdy mego ukochanego wnoszono do labiryntu cmentarza Kensal Rise, trzymałam w rękach jedenaście zeszytów, każdy gęsto zapisany tym samym charakterem pisma. Każdą linijkę zapisano od brzegu do brzegu, a linijki były równiutkie jak fabryczny dach szedowy. Nie pozostawiono nawet skrawka marginesu.

Oczywiście byłam w stanie wielkiego napięcia i przenosiłam swoje emocje na innych, lecz ten osobliwy charakter pisma wzbudził we mnie falę współczucia, uznałam bowiem, że autor zapisków postradał zmysły. Nie wiedziałam jeszcze, że nazywał się Henry Brandling, lecz już wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że był mężczyzną. Współczułam mu, zanim przeczytałam choćby jedno słowo.

<sup>[1]</sup> Horologia – nauka o badaniu czasu oraz o budowie przyrządów służących do jego mierzenia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

<sup>[2]</sup> Z niemieckiego: warsztat, zakład produkcyjny, fabryka.

**Henry**

Dwudziesty czerwca 1854

Niezależnie od okoliczności, jakie zmuszają nas do podróży za granicę, zawsze miło obudzić się w blasku wstającego słońca i dostrzec swój sakwojaż i kuferek podróżny bezpiecznie spoczywające na przykład na krześle w hotelowym pokoju w Niemczech. Przyjemność ta wzrośnie jeszcze, gdy sobie przypomnisz, że przetrwałś inspekcję przeprowadzoną przez celnika, który wbił sobie do swojego tępego niemieckiego łba, że przemycasz plany nie wiadomo czego. Może jakiegoś komicznego narzędzia do zabijania?

Cudowny poranek.

Ruszyłem do Niemiec zapewniany przez rodzinę, że jedynie wieśniacy nie mówią tu biegle po angielsku. Po spotkaniu z celnikiem doszedłem do wniosku, że w kraju tym żyją głównie wieśniacy, nabyłem więc na stacji podręcznik gramatyki niemieckiej.

Przechadzając się następnego ranka po cichej białej izbie, spróbowałem nauczyć się trochę niemieckiego. Języki nie są moją mocną stroną, ale w końcu jestem Brandlingiem i nawet zmuszony do porozumiewania się za pomocą cyrkowej pantomimy, zamierzałem wrócić do domu, przywożąc trofeum, po które tu przybyłem.

Mój syn cierpiał, poddawany zabiegom wodoleczniczym. Nie mogłem znieść jego krzyku i świadomości, że oto znów jego trawione gorączką ciało owijane jest zimnymi, mokrymi prześcieradłami i zaczyna się kolejny dzień kuracji.

Od czasu pierwszego zapalenia oskrzeli, które przeszedł dwa lata temu, moja żona była gotowa na najgorsze. Śmierć naszej pierworodnej odcisnęła na niej okrutne piętno. Jej ostrożne nastawienie do Percy'ego pokazywało jasno, że boi się pokochać malca. A ja? Zareagowałem w sposób typowy dla siebie, nic na to nie mogłem poradzić. Niezmiennie pozostawałem optymistą, czego przykrą konsekwencją stało się to, że ta słodka dziewczyna, która pokochała mnie z całego serca, najpierw stała się poirytowana, a później wręcz wściekła. Ostatecznie przeniosła się do osobnej sypialni w ponurej, północnej stronie domu.

Robiłem wszystko, co mogłem, by sprawić jej przyjemność. To ja zleciłem panu Masiniemu namalowanie jej portretu i nalegałem, by przyprowadzał do nas swojego asystenta i wszelkiego autoramentu rozrywkowych przyjaciół. Nie zawiodłem się. Nasza biblioteka już wkrótce stała się popularnym salonem, a prace nad portretem postępowały pośród gwaru rozmów. Hermione jest atrakcyjną kobietą.

Nie mogłem jednak opuścić syna i popaść w pesymizm. Zleciłem wykonanie basenu do hydroterapii, zatrudniłem młodą Irlandkę do pomocy, zrezygnowałem z gabinetu w zakładzie i nocowałem na łóżku polowym w pokoju dzieciennym, gdzie zgodnie z wytycznymi doktora Kneippa nie zamykaliśmy okien nawet podczas najsroźszych burz.

Każdego ranka po zabiegach wodolecznicznych, gdy podłoga była już wytarta do sucha, siadaliśmy razem przy owocach i nasionach i planowaliśmy kolejne Przygody Dwóch Prawdziwych Przyjaciół. Ludzie z wioski uważali mnie podobno za wariata, gdyż widziano, jak wdrapywałem się na dąb z synem w ramionach. Wariat, być może, ale to ja widziałem wyraz jego twarzyczki, gdy pokazałem mu cztery białe jajka dzięcioła dużego.

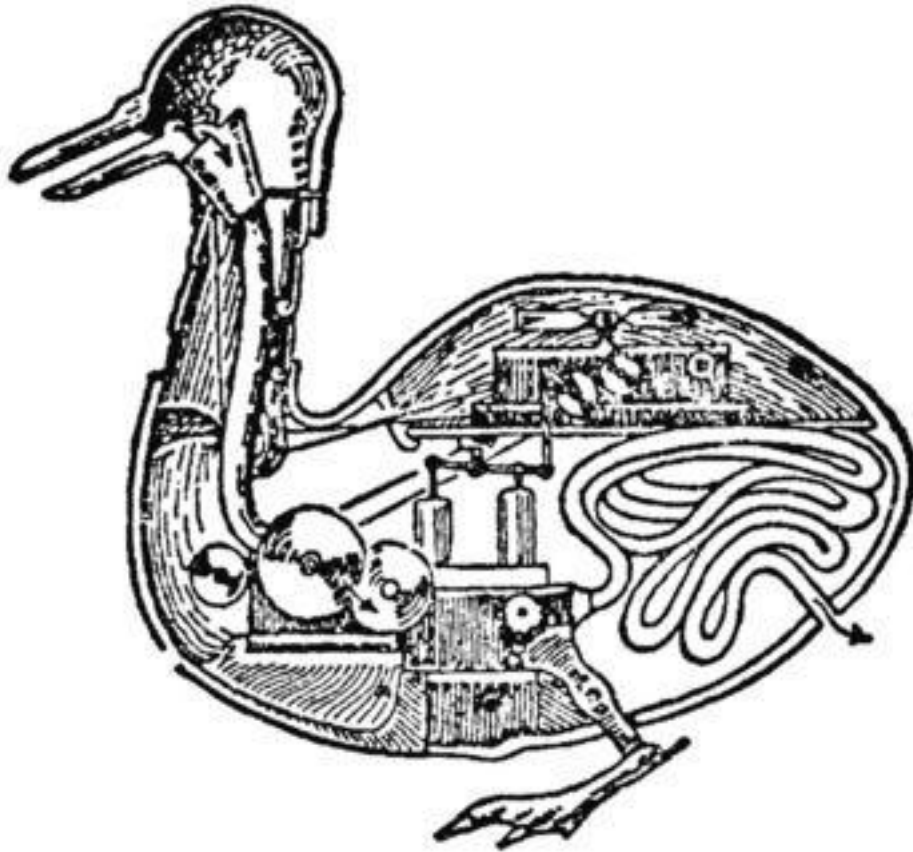
Doktor Kneipp przebywał w Malvern, ale utrzymywaliśmy ciągły kontakt listowny i ani razu nie podał w wątpliwość słuszności mojej intuicji. Szczególnie chcę tu wspomnieć o zachowaniach uznawanych za szalone, jak na przykład przeniesienie nagiego chorego przez



wzburzony nurt rzeki Race. „Niech pan nie zapomina – pisał Kneipp – że praktycznie każda kuracja jest bezpieczniejsza od choroby, którą leczymy”.

Bardzo powoli docierało do mnie, że pomimo portretu i nowych zabawnych przyjaciół mój optymizm był dla żony gorszy od tortur. W pełni dostrzegłem skalę zniszczeń dopiero wtedy, gdy było już za późno, gdy już zupełnie ją od siebie odsunąłem. Ale jestem jaki jestem. Kapitulacja nie wchodziła w grę i wciąż pielęgnowałem w sobie nadzieję, że kiedy Hermione wreszcie uwierzy, że nie stracimy naszego syna, jej serce wypełni radość i na nowo nas obu pokocha.

Postępy w leczeniu choroby były widoczne, choć często zdawało mi się, że tylko dla mnie i Kneippa. Pewnego dnia, zupełnie przypadkowo, natrafiłem na plany. W chwili ich publikacji w „London Illustrated News” miały już sto lat, lecz natychmiast dostrzegłem drzemiący w nich potencjał i zleciłem jednemu z rysowników mojego brata opracowanie ich na nowo. Gdy skończył pracę nad przekrojami poprzecznymi i innymi rzutami, można było pomyśleć, że to projekt nowej linii kolejowej Brandlinga.



*Brandling. Nr kat. MSL/1848/V31*

Gdy mój chłopiec ujrzał projekt genialnej kaczki monsieur Vaucansona, aż krzyknął

głośno z radości. Widok rumieńca ożywiającego jego policzki był jak balsam na moją duszę. Z radością dostrzegłem, jak jego oczy rozjaśnia niezwykle zaciekawienie i ekscytacja, nazywana przez doktora Kneippa „pobudzeniem magnetycznym”.

Dobry Boże, wychodzimy na prostą.

Jego łóżko zasłane było arkuszami, na których wyrysowano plan urządzenia.

– Och tatusiu – powiedział – to jest fantastyczne.

Wtedy zrozumiałem, że będzie żył. Z uwagą wysłuchiwał moich wyjaśnień, że wykonana ściśle według projektu sprytna, choć pozbawiona duszy maszyna potrafi machać skrzydłami, pić wodę, trawić ziarno, a nawet wydalać. Ta ostatnia czynność wyraźnie rozbawiła mojego syna i uraziła jego matkę, która, choć zgorszona nieprzyzwoitym zachowaniem kaczki, nie była jednak ślepa na jej zbawienny wpływ na chłopca.

Konsekwencje były nie do końca zgodne z moimi przewidywaniami i szczerze mówiąc, przez parę dni nie w pełni rozumiałem, co się dzieje. Dla Hermione nie ulegało jednak wątpliwości, iż obiecałem Percy’emu, że skonstruuje kaczkę.

– Nie rozumiesz, że obiecałeś coś synowi?

– Nie.

– W takim razie tylko się z nim drażniłeś. Jak możesz być tak okrutny?

– Ależ Hermione, musiałbym wyjechać za granicę.

– Jestem pewna, że sam najlepiej wiesz, co należy zrobić.

Była nieodrodną córką rodu Lyallów, co oznacza, że płonął w niej gorący ogień. Była to rodzinna cecha, jak gdyby wewnętrzny płomień był częścią procesu fermentacji gwarantującego sukces ich przedsiębiorstwa w Newcastle. Teraz, podczas samotnej kolacji, której nigdy nie zapomnę, poczułem, jak ten ogień przypala mnie niczym żagiew, ponaglając do opuszczenia domu.

Następnego ranka podczas śniadania Dwóch Prawdziwych Przyjaciół mój syn zapytał: „Kiedy wyjeżdżasz, tatku?”.

A więc matka już nad nim pracowała.

– Nie będzie ci przykro, kiedy tatko wyjedzie? – zapytałem.

– Nie smuć się, tatku – odparł, a w sposobie, w jaki zmarszczył czoło, dostrzegłem z niepokojem, że kruchy stan małżeństwa jego rodziców nie jest dla niego tajemnicą. Nigdy wcześniej go nie okłamywałem, ale teraz odegrałem wesołego błazna tak udatnie, że gdy nalewałem mu do kubka kakao, był przekonany o moim wielkim entuzjazmie dla planowanej wyprawy.

– Hura! – krzyknął. – Czeka cię wspaniała przygoda.

Oczywiście wyjechałem dopiero upewniwszy się, że zostawiam go pod właściwą opieką. Zachowałem więc twarz, choć moja żona, jak na Lyallównę przystało, nie przyjęła swego zwycięstwa z pokorą. Nie mogła pojąć, dlaczego, skoro tak pociąga mnie wynalazek monsieur Vaucansona, nie zamierzam odwiedzić jego ojczystego kraju. Wraz ze swymi nowymi przyjaciółmi była absolutnie przekonana o wyższości Francuzów nad Niemcami, ja miałem jednak powyżej uszu ich samych i ich opinii. Kierując się zdrowym rozsądkiem, za punkt docelowy obrałem Szwarzwald na południe od Karlsruhe, gdzie wynaleziono zegar z kukułką. Tam, w dolinie rzeki Breg, skrywały się małe gospodarstwa rolne – tak przynajmniej donosiła encyklopedia – podobne domkom dla lalek stojącym pośród dziecięcych ogródków i dostępne jedynie za pomocą sznurowych drabinek spuszcanych ze szczytów otaczających je wzgórz. Żyli tam zegarmistrzowie słynący z siły fizycznej, zręcznych palców i zaskakującej błyskotliwości swych chłopskich umysłów. Głównym i palącym był tu dostatek, można w nich więc było przebierać do woli, by wyłonić zespół zdolny do skonstruowania kaczki.

W Karlsruhe zatrzymałem się w Gasthaus an der Kaiser StraÙe, zdając sobie sprawę, że muszę popracować nad językiem. A ponieważ opuściłem Low Hall w pośpiechu, potrzebowałem też czasu, by ukoić skołatane serce, usiąść spokojnie i przemyśleć sytuację, w której się znalazłem.

Dlatego właśnie kupiłem szkolny brulion u drukarza Herr Froehlicha. Mój brat zaszufladkowałby go jako wieśniaka, gdyż nie mówił po angielsku. Zamierzałem uczynić z tej smutnej sytuacji prawdziwą przygodę i chciałem, by Percy mógł być jej uczestnikiem. Postanowiłem więc prowadzić dziennik, w którym będę robić notatki do nieustannie słanych synowi listów, dzięki którym mogłem zawsze być u jego boku.

Nie mógłbym twierdzić, że zdrowie psychiczne niejako należy mi się z racji urodzenia. W rodzinie było kilka nieco rozchwianych ciotek, no i był też wujek Edward, utalentowany sportsmen, przykuty do łóżka na trzydzieści lat po tym, jak uratował młodego chłopca od utonięcia w Morzu Północnym w Aldeburgh. Nam, Brandlingom, zdarzało się tracić rozum lub fortunę na wyścigach, ale – i to jest druga strona medalu – zawsze wiedzieliśmy, że niemożliwe jest w dziewięciu przypadkach na dziesięć możliwe. Na tym przekonaniu zbudowaliśmy fortunę. Gdyby ojciec nie wierzył tak mocno w silnik parowy, nie zainwestowałby tak dużo w prace Stephensona. Doprowadziło go to do ruiny, a przynajmniej przez lata tak to było postrzegane. A jednak niemożliwe jest możliwe i tej decyzji zawdzięczamy sieć kolejową Brandlinga i rozjazd Brandlinga, a w rezultacie też projekt niezwyklego modelu kolejki poruszającego się pod szkłem w domu towarowym Fortnum & Mason.

Pod tym względem, choć na mniejszą skalę, byłem prawdziwym Brandlingiem.

Oczywiście w Karlsruhe nikt nie wiedział, co to oznacza i jakie traktowanie należy się Brandlingom. Żaden angielski żołnierz nie ośmieliłby się kazać mi ustąpić mu miejsca na ławce w parku, a gdy zażądał tego niemiecki żołdak, mój słownik na nic się zdał. Miejscowi zegarmistrze też nie wiedzieli, jak powinni mnie traktować. Dopiero po czterech czy pięciu nieudanych wizytach pocieszył mnie widok podglądanej przez zielone ołowiowe szyby bardzo sprytnej pozytywki w formie karuzeli. Koniki poruszały się w górę i w dół, a jeźdźcy odpowiadali na ich ruch w bardzo autentyczny i realistyczny sposób, podnosząc rękę lub zsuwając się z siodła. Wchodząc do warsztatu, musiałem się schylić. Z cienia wyłonił się zegarmistrz dopinający fartuch. W świetle dnia okazał się drobnej postury i bardzo jasnej karnacji. Miał blade, zażawione oczy, tak często spotykane u osób całymi dniami wpatrujących się w skomplikowane urządzenia. Nie był młody, a jego sposób bycia świadczył o tym, że odnalazł w życiu długo poszukiwaną samotność.

Z początku wszystko zapowiadało się bardzo dobrze. Z zainteresowaniem obejrzał plany. Czy zechce się podjąć ich wykonania? Jego intencje nie były jasne, lecz ostatecznie był zegarmistrzem, na wystawie jego warsztatu stało genialne urządzenie, a ja przyniosłem ze sobą projekt godny jego kunsztu.

– Pan czeka – powiedział po angielsku. Odetchnąłem z ulgą, lecz więcej się nie odezwał, pokazując tylko na migi, że na chwilę opuści warsztat. Nie poczułem się urażony, gdy wychodząc, zamknął drzwi na klucz, wręcz przeciwnie, wydało mi się to zachęcające.

W oczekiwaniu na jego powrót przyjrzałem się dokładniej intrygującej imitacji życia, tak martwej, a jednocześnie tak nie-martwej, że można było dostać z wrażenia gęsiej skórki. Zapamiętałem wszystkie szczegóły, by móc je przekazać synowi. Na karuzeli było około dwudziestu jeźdźców, a każdy z nich skrywał we wnętrzu genialnej konstrukcji mechanizm krzywkowy. Już samo wprawienie w ruch tych dziwacznie powykrzywianych części jest nie lada dokonaniem, lecz twórca urządzenia musiał być prawdziwym artystą, z uwagą obserwującym naturalne ruchy ludzkiej postaci, posiadającym umiejętności niezbędne do wykonania krzywek umożliwiających tak wierne ich naśladowanie.

Oto ja, Drugi Przyjaciel, wąsaty, przykucnięty przy drzwiach, obserwujący cudowny automat niczym kot wpatrzony w mysz – tak mnie zastał zegarmistrz, za którym do warsztatu wszedł dość pospolitego wyglądu człowiek, a dokładnie policjant.

Został wezwany w charakterze tłumacza i rozpoczął swe zadanie, tytułując mnie

Wielmożnym Panem, a że Karlsruhe robiło na mnie wrażenie miejsca, gdzie należy być Wielmożnym Panem, bardzo mnie to ucieszyło.

Powiedziałem mu, że oryginalne dzieło monsieur Vaucansona już nie istnieje. Jego rodak Goethe je widział, a czy on może słyszał o Goethem?

– Ależ oczywiście, proszę pana, wszak jesteście Niemcami.

– No tak. W takim razie domyśla się pan, że Goethe widział kaczkę już po śmierci Vaucansona. Stwierdził, że była w opłakanym stanie. Była sucha jak szczapa i miała problemy z trawieniem.

Pomyślałem, że nie słyszeli nigdy o Vaucansonie.

– Pan pójdzie ze mną – rzekł policjant.

Nie bardzo rozumiałem, co się właściwie dzieje, ale zegarmistrz unikał mojego wzroku. Nie pożegnaliśmy się, choć nie odgadłem, czy było to dobrą, czy złą wróżbą. Wraz z moim tłumaczem minęliśmy popadającą w ruinę drukarnię Herr Froehlicha, weszliśmy w uliczkę zabudowaną średniowiecznymi budynkami, a następnie w wąską alejkę. Stanęliśmy przed nieznanymi mi drzwiami, którymi mój przewodnik wprowadził mnie do gospody, gdzie stacjonowałem.

Co miałem pomyśleć? Mogłem jedynie spokojnie poczekać, podczas gdy policjant wziął ode mnie plany i zaczął wyjaśniać mechanizm kaczkę niejkiej Frau Beck, chudej jak tyczka karczmarce. Spełniwszy swe zadanie, szurnął nogami i pożegnał mnie. Na widok mojej dezorientacji zdecydował się uścisnąć mi dłoń, co najwyraźniej w jego mniemaniu było właściwym zachowaniem w kontaktach brytyjskiej policji ze szlachtą.

Tymczasem Frau Beck zwijała plany w rulon, posępnie kiwając przy tym głową. Boże, miej w opiece jej dzieci, jeśli jakieś ma, pomyślałem.

– Nie – powiedziała stanowczo, grożąc mi kościstym palcem. – Nie, Herr Brandling. Nie wolno panu. Proszę nie pokazywać tego Herr Hartmannowi.

– Kim jest Herr Hartmann? To ten zegarmistrz?

Cmoknęła w sposób wyraźnie świadczący o rozmiarach mojej pomyłki. Trzeba było siedzieć w domu w Low Hall i uczyć się niemieckiego.

– W takim razie kto to jest?

– W takim razie nikt! Nikt! Ma pan szczęście, że na tym się skończyło.

– Dlaczego?

– Wszyscy zwrócili na pana uwagę – szepnęła. – Dlaczego nie ustąpił pan miejsca kapitanowi?

Byłem oburzony, że każdy mój krok jest doskonale znany całemu Karlsruhe.

– Herr Brandling, muszę prosić, by zachowywał się pan uprzejmie. Proszę. – Podała mi zwinięte w rulon plany i odsunęła się na bok, jasno dając do zrozumienia, że powinienem się udać do swojego pokoju. Chyba zachichotałem, spełniając jej niemy nakaz, ale sytuacja wcale nie była zabawna, a mieszkańcy Karlsruhe nie wydali mi się zbyt sympatyczni.

Wróciłem do pokoju, cisnąłem plany na toaletkę i rzuciłem się na dziwaczne niemieckie łóżko. Wtedy pojawiła się pokojówka, w towarzystwie mniej więcej dziesięcioletniego chłopca. Był równie hardy, jak Percy był subtelny, taki blond dzikusek, lecz w końcu był tylko chłopcem i wydawało mi się, że już go znam.

Powitałem go słowami *Guten Tag* i wręczyłem mu feniga. Bardzo tęskniłem za moim przyjacielem.

Matka chłopca – musiała być matką – położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła coś do ucha. Pewnie po prostu nakazywała mu podziękować, lecz wzruszył mnie jej czuły gest.

– *Danke* – powiedział chłopiec. Zauważyłem, że kuleje, i nagle poczułem szarpnięcie

w duszy. Dzieciństwo bywa tak okrutne.

Było tuż po dziewiątej i nie mogłem się już dłużej wymigiwać od pierwszego posiłku dnia, który tutaj zdawał się wynikać z głębokiego przekonania, że nie wolno wyjść z domu, nie nażarłszy się wcześniej niczym prosię.

Mój słownik nie podawał odpowiednika wędzonego śledzia.

## Catherine

Mój ojciec, jako chłopiec, w przerażających czasach nalotów niemieckich na Londyn znajdował ucieczkę w lekturze. O piętnastej, gdy kładziono do ziemi mojego ukochanego, ja też czytałam: Dr Jessica Riskin, *Sztuczne życie i inteligencja*, circa 1730–1950.

Krzywki górnego cylindra uruchamiały około trzydziestu dźwigni. Te z kolei połączone były z różnymi elementami szkieletu Kaczki i odpowiadały za cały repertuar jej ruchów, na który składały się: picie, zabawa dziobem w wodzie i wydawanie kwaczących dźwięków podobnych do tych wydawanych przez prawdziwe kaczki, wstawanie i kładzenie się, wyciąganie i zginanie szyi, poruszanie skrzydłami, ogonem, a nawet pojedynczymi piórami...

Czytałam także Abbé Desfontaines'a, który tak opisywał skrzydła kaczki: „Każda najmniejsza kosteczka została odtworzona, wraz z wyrostkami i wypukłościami... Rozmaite stawy: zgięcia, jamy i trzy kości, z których składa się skrzydło, były bardzo dokładnie odwzorowane”.

Czy Henry Brandling wyobrażał sobie realne wymiary i koszty urządzenia, które obiecał synowi? Zegarmistrz z Karlsruhe z pewnością wiedział, że plany opublikowane w „London Illustrated News” były jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Pod strojną „obudową” kryć się musiała niezwykle skomplikowana „płyta”, rozmiarami i kształtem przypominająca angielską budkę telefoniczną. To było prawdziwe odkrycie: budka telefoniczna za żadne skarby nie zmieściłaby się w skrzynce po herbacie.

Daleko mi było do mojego ojca. Kwadrans po trzeciej udałam się do pracowni, gdzie brak Matthew przejął mnie dotkliwym chłodem. Płuca odmówiły posłuszeństwa, nie mogłam złapać tchu.

Eric Croft był na cmentarzu, z Blackberrym w kieszeni. Jestem pewna, że wyobrażał sobie już, jak kaczka zbiera liczne wyrazy zachwyty, w tym od ministra kultury. Lecz brakuje płyty, Ericu. Nie ma wnętrzości, więc po sprawie.

Do: [e.croft@swi.ac.uk](mailto:e.croft@swi.ac.uk)

„Cześć, Ericu,” napisałam, jak to ludzie mają w zwyczaju, nawet u nas w Swinburne.

Następnie poinformowałam mężczyznę, który miał czelność stać nad grobem mojego miłego, że automat jest niestety zdekompletowany, a dopóki nie znajdziemy płyty, nie ma nawet sensu rozpakowywać go do końca. A następnie, ponieważ znajdowałam się pod wpływem lorazepamu, wytknęłam mu niestosowność przydzielania rozpaczającej kobiecie zadania symulacji życia. Jeśli jego celem było wywołanie u mnie koszmarów sennych, świetnie mu się to udało.

Kliknęłam na „wyślij” i wyłączyłam komputer.

To właśnie wtedy, przepełniona żalem i wściekłością, ukradłam dwa bruliony z zapiskami Henry'ego Brandlinga. Co mi groziło w razie przyłapania na kradzieży? Absolutnie nic mnie to nie obchodziło. Ukryłam je w egzemplarzu „Antiquarian Horology” i wyszłam z budynku tuż przed nosem ochroniarzy. Na ulicy, mimo że mieliśmy dopiero koniec kwietnia, było goręcej niż w Bangkoku.

Z pewnością w chwili, gdy otwierałam drzwi mieszkania, ciało Matthew zaczynało się już rozkładać. W mieszkaniu było strasznie, potwornie gorąco i duszno od wyziewów alkoholu i papierosów. Otworzyłam na przestrzal okna. Rozpyliłam lawendowy odświeżacz powietrza, zapaliłam papierosa i od razu go zgasiłam, nalałam sobie szklaneczkę whisky i zwymiotowałam. Choć nie lubię czerwonego wina, otworzyłam kupioną przez Matthew butelkę Bourgueil

i powąchałam. Zamknęłam okna, by nikt nie słyszał mojego płaczu.

Od śmierci dziadka to mieszkanie w suterenie należało do mnie. Znajdowało się przy Kennington Road, po przekątnej od Imperial War Museum. Północna część dzielnicy Lambeth jest często nazywana mało przytulną, lecz ja miałam do dyspozycji otoczony murem ogród, który podczas częstych wyjazdów zamożnych lokatorów z góry na Ibizę był do mojej wyłącznej dyspozycji.

W czasach, gdy jeszcze miałam przed sobą przyszłość, ogród był miejscem magicznym. Nie dawniej niż w zeszłym tygodniu obserwowaliśmy z łóżka rodzinę lisów baraszkującą w wysokiej trawie.

– Zobacz. Patrz. Cicho.

Lisy nie były bynajmniej urocze. Śmierdziały ziemią i przywlokły ze sobą opakowania po jedzeniu i brudne pampersy. Oczywiście powinniśmy zatelefonować po straż miejską, która by je zastrzeliła. Oczywiście nie zrobiliśmy tego.

Czytałam powoli i uważnie, poświęcając całą uwagę łamigłówce opisanej na stronach brulionów. Nie wątpiłam, że Henry Brandling naprawdę chciał dotrzymać słowa danego synowi, ale zdawało mi się, że nie miał pojęcia, co właściwie miało się wydarzyć po odtworzeniu kaczki. Czy oczekiwał, że żona na nowo go pokocha? Czy sam o tym nie wiedząc, wznosił jakiś szalony pomnik rozpaczy, mechaniczny Taj Mahal? Czy może myliłam go ze sobą?

Henry Brandling nie wydawał mi się wybitnie inteligentny, lecz biorąc pod uwagę, że pewne bardzo przykre indywidua mogły się pochwalić dyplomem z wyróżnieniem uzyskanym w Oksfordzie, nie miałam mu tego za złe.

Im dłużej czytałam, tym więcej piłam, a im więcej piłam, tym silniej poruszała mnie postać Henry'ego Brandlinga. Tak jak mój ukochany oddał swoim dzieciom całą duszę i serce. Zdawało mi się, że przeczuwał moje istnienie, że pozostawił te zapiski właśnie dla mnie. Dokończyłam whisky i nalałam sobie wina. Skrzynie po herbacie mogły sobie wrócić tam, gdzie znalazł je Crofty, lecz zanim to się stanie, zabiorę wszystkie notatniki i przyniosę je do domu, gdzie będą kochane i zrozumiane. Czułam, że należą do mnie, podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy oglądałam *Osiem i pół* Felliniego. Tak jak wtedy czułam, że jestem jedyną osobą zdolną w pełni je zrozumieć.



## Henry

Porzuciłem Percy'ego. Nie słyszałem jego płaczu ani nawet oddechu. Spałem więc głęboko i budziłem się powoli, czując na łydkach dotyk chłodnej, gładkiej pościeli. Co za obrzydliwy luksus. Gdy po śniadaniu wracałem do pokoju, z radością witałem nawrót zwykłego bólu.

Dziwne niemieckie łóżko było już idealnie zaścielone, a wszelki ślad mojej obecności w nim skrzętnie usunięty. To wrażenie było tym silniejsze, że całe Karlsruhe usiłowało wyrzucić mnie poza nawias. Nie miałem tu czego szukać, nie wiadomo było nawet, po co w ogóle przyszedłem na świat.

Tęskniłem za tym, kim naprawdę jestem, za pachnącym solą i siarką basenem do hydroterapii, stęchlą wonią ścierek do osuszania podłogi, zaczerwienionymi oczami dziecka szurającego pod stołem trzewikami o nabijanych ćwiekami podeszwach.

Siedząc na twardym prostym łóżku, dostrzegłem, że skrupulatnie usunięto wszelkie ślady tego, kim i czym jestem. Wnętrze pokoju zaświadczyć mogło jedynie o osobowości pokojówki, której nawyki uznałbym niegdyś za typowo angielskie. Starannie ułożyła zostawione na toalecie drobiazgi w sposób przypominający ołtarzyki nieustannie wznoszone w Low Hall. Nieraz dochodziło do niesnasek na tle ciągłego wtrącania się Maisie i Elsie w ład narzucony przez moją żonę w pokoju dziecięcym. Weźmy za przykład (jeden z co najmniej dwudziestu) mosiężny zegar w kształcie latarni, który w ostatnich chwilach naszej córki przynosił jej ukojenie – tak zwany „zegar Alicji”. Żona wolała, by stał po lewej stronie na półce nad kominkiem, a rozpacz po stracie córki sprawiała, że miejsce zegara było bardzo ściśle określone – odrobinę na lewo od środka, pod takim kątem, by był doskonale widoczny z łóżka.

A jednak pokojówki nigdy nie słuchają, co im się mówi, uwielbiają się bawić przedmiotami, a dwie pokojówki są dwa razy gorsze niż jedna. Każda z nich po kolei (Maisie została zwolniona, zanim zatrudniliśmy Elsie) uparcie przedstawiała zegar na środek półki i umieszczała go równoległe do ściany. Zachowanie Elsie pozostawiło mojej żonie alternatywę: pozbyć się pokojówki lub zegara. Ostatecznie uznała, że najrozsądniej będzie, jeśli zegar „się zawieruszy”, co doprowadziło biedną Elsie, zawsze skłonną do rozstroju nerwowego, do trwającego pięć lat, czyli tyle, ile jej służba u nas, zamartwiania się o losy „szacownego zegara” i rzucania podejrzeń na kolejne odchodzące ze służby osoby.

Nie wspominam tutaj o innych zwyczajach pokojówek, które rozprzestrzeniły się poza pokój dziecięcy. Kiedy więc dostrzegłem, że tu, w Karlsruhe, moje spinki do mankietów, kompas, emaliowana miniatura przedstawiająca syna, talia kart, pióra, zegarek z dewizką i pozostałe drobiazgi osobiste ułożone są w zgrabny stosik niczym przez srokę, nabrałem – z przyzwyczajenia? – pewnych obaw. O Boże, pomyślałem, będą z tego kłopoty.

Pośrodku toaletki, jak kolumna Nelsona, stały zwinięte w rulon plany, otoczone przez drobne przedmioty niczym obiekt kultu przez składających hołd poddanych. Rulon został przyozdobiony w prosty sposób błękitnym sznureczkiem, do którego, jak wreszcie zauważyłem, przyczepiono karteczkę z notatnika.

Nie chciałem naruszać tej kompozycji, lecz jak mógłbym powściągnąć swoją ciekawość? Jako mistrz gry w bierki, namiętnie rozgrywanej przez Dwóch Przyjaciół, delikatnie odczepiłem karteczkę. Napisane na niej było dziecięcym, choć niepozabawionym wdzięku charakterem pisma: *Wir bauen die Ente*.

Dlaczego włosy stanęły mi dęba? Nie wiem. Może poczułem lęk przed żoną, albo przed

pokojówką? Sięgnąłem po słownik i łatwo możecie się domyślić moich uczuć (w tym mieście, gdzie wszyscy wiedzieli o mnie wszystko, gdzie najbardziej niewinne zachowanie wzbudzało wrogość i podejrzliwość), możecie zgadnąć, jak mocno zabiło mi serce, gdy się dowiedziałem, że *Ente* to kaczka.

Słownik to jednak tylko słownik, ruszyłem więc na poszukiwanie prawdziwego tłumacza, którym na moje nieszczęście okazała się Frau Beck.

Spojrzała na mnie z uśmiechem sponad księgi meldunkowej i po raz pierwszy dostrzegłem, że choć cała jej postać przywodzi na myśl suchą, wyżętą ścierkę, w brązowych oczach kryje się miękkość i czujność. Jesteś wdową, pomyślałem.

– Kim jest *Ente*?

– To kaczka oczywiście, proszę pana.

– Co tu jest napisane o kaczce, Frau Beck?

Położyła kartkę na kontuarze, zamoczyła pióro w atramencie i nieustannie się uśmiechając, zaczęła poprawiać tekst notatki.

– Herr Brandling – powiedziała – naturalnie przyrządzimy panu kaczkę. Będzie gotowa za dwie godziny. – Oczywiście było, że nie zrozumiała, ale nie chciałem się z nią kłócić. Zamiast więc dodatkowo pogarszać jej zdanie na mój temat, zapłaciłem za przyrządzenie kaczki, której nie byłem w stanie zjeść. – Proszę iść na spacer, Herr Brandling. Musi pan być zdrowy. Jest pan w Niemczech, musi pan ćwiczyć. Za dwie godziny podamy posiłek.

Chętnie kontynuowałbym przesłuchanie, ale akurat ten moment wybrał sobie gospodarz – okropna, kulawa kreatura – na wszcęcie kłótni ze zmywającą schody staruchą.

– Proszę iść na spacer, Herr Brandling – zawołała Frau Beck, spiesząc na miejsce kłótni.

– Będzie pan zadowolony.

Ruszyłem przed siebie bez konkretnego celu, snując się po wąskich uliczkach jak wielu przede mną. Interesowało mnie jedynie znaczenie tajemniczej notatki. Byłem w dość wojowniczym nastroju.

Liczba zakładów zegarmistrzowskich nie zmieniła się od wczoraj, lecz nie miałem już do nich serca, wybierałem więc uliczki prowadzące poza miasto lub do kościoła. Miałem nadzieję, że odwiedziny w nim nie zostaną mi wzięte za złe. Okazało się jednak, że kościół jest katolicki, postanowiłem więc zawrócić.

Uliczki na obrzeżach przypominały mi prowincjonalne angielskie miasteczka, gdzie właściciele sklepów kredą wypisują na drzwiach swoją ofertę. Szczęśliwie natrafiłem na sklep papierniczy, gdzie udało mi się kupić kopertę i znaczek (*Brief-marke*), który, jeśli dobrze zrozumiałem, powinien wystarczyć na doręczenie listu do mojego chłopca. W pustym ogródku piwnym znalazłem wolny stolik ukryty w cieniu kasztanowca. Wydarłem kartkę z brulionu i opisałem Percy'emu miniaturową karuzelę. Ponieważ mam dobrą pamięć, szczegółowym opisem małych figurek i ich ruchów zapełniłem obie strony, a potem jeszcze jedną. Sugerowałem, by potraktował to znalezisko jako dobry znak. Miałem nadzieję dostarczyć mu więcej wiadomości w kolejnym liście. Kłamałem, ale czy miałem inny wybór? Istotne było, aby nawet podczas mojej nieobecności utrzymywał się w stanie magnetycznego pobudzenia.

Wróciłem do gospody bez apetytu, a Frau Beck niezwłocznie zaprowadziła mnie do salonu obok głównej jadalni. Jego ściany wyłożone były ciemną boazerią i obwieszone zakurzonymi gobelinami przedstawiającymi podobno „rumuńskich myśliwych”. Okna pomieszczenia były niewielkie, panował więc w nim posępny półmrok i nawet w ten słoneczny wiosenny dzień trzeba było zapalić świece. Dopiero po pewnym czasie dostrzegłem potężną sylwetkę siedzącego w kącie mężczyzny.

– *Guten Tag* – powitał mnie głębokim głosem.

Wyglądał na żołnierza, majora, który źle się czuje w cywilnym ubraniu.

Pojawił się kelner z głową pochyloną w taki sposób, że gdyby był psem, położyłby po sobie uszy. Na nowo przeraziła mnie myśl o kacze, którą spróbowałam odwołać, zamawiając w zamian omlet.

– Oczywiście – powiedział. – *Immédiatement*.

– Jak się panu podoba Karlsruhe, Brandling?

Brandling? Włosy zjeżyły mi się na głowie. Mężczyzna był potężnie zbudowany, z masywnym karkiem tej samej szerokości co błyszcząca, ogolona na gładko głowa. Miał czarne gęste brwi, które najwyraźniej utrzymywał w ryzach równie skrupulatnie jak bujny wąs.

W myślach zapytałem: czy to ty napisałeś tę notatkę? Jednocześnie pomyślałem, że to niedorzeczny pomysł.

Do salonu weszli dwaj kelnerzy (istotnie *immédiatement*), niosąc nie omlet, nie piwo, ale kaczkę przyrządzoną z owocami, cynamonem i innymi dziwnymi składnikami, które dużo lepiej nadałyby się do przygotowania deseru.

Nieznamy, siedzący z ręką wyciągniętą wzdłuż oparcia ławy, nie dawał się zbyć. Miał przy sobie jedynie zeszyt, w którym najwyraźniej szkicował. Odniosłem wrażenie, że choć szerokie barki sugerują, że pochodzi z plebsu, kreuje się na artystę. Cechowała go bezczelność typowa dla wielu biesiadników zasiadających przy naszym stole w czasach, gdy pan Masini wykańczał pierwszy „portret” mojej żony.

– Smakowicie to wygląda. – To stwierdzenie było również pytaniem, które pozostawiłem bez odpowiedzi.

– Pan jest tym jegomościem, który przyniósł Hartmannowi plany? – kontynuował.

Jegomościem? No doprawdy.

– Obawiam się, że nie znam żadnego Hartmanna.

– Zegarmistrz Hartmann – nie dawał za wygraną, mówiąc po angielsku, jak gdyby wychowywała go piastunka z londyńskiego East Endu. – Rozmawiałeś pan z nim o planach. Brandling, prawda?

– Tak? – zapytałem. – Poniekąd.

– Napędził mu pan strachu. – Zapalił cygaro, a płomień zapalki oświetlił marynarke opinającą szerokie ramiona. – Herr Hartmann nie jest stąd – wyjaśnił – ale nawet gdyby pochodził z Karlsruhe, nie robiłoby to większej różnicy. Ci idioci nie mają pojęcia, kim są. Cały czas usiłują udawać Prusaków. Żyją złudzeniami.

Radziłem sobie z kaczką najlepiej, jak mogłem, czyli niezbyt dobrze.

– Wie pan, co mam na myśli? – zapytał natręt.

W domu po prostu udałbym głuchego i ślepego. W Karlsruhe nie znałem form obowiązujących w takiej sytuacji.

– Żyją złudzeniami – powtórzył.

W końcu zdobyłem się na odpowiedź:

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– W takim razie – powiedział, podnosząc się z miejsca – myślę, że przysiędę się do pana.

Z oburzeniem patrzyłem, jak zbliża się do mnie. Mój brat z pewnością opuściłby pokój, ale ja, Henry Brandling, siedziałem nieruchomo jak wielki angielski królik i tylko patrzyłem, jak ów „jegomość” kładzie oprawny w skórę notes tuż obok mojego obiadu. Pomiędzy kartkami wysłużonego notatnika tkwiły luźne stronice, każda w innym rozmiarze i kolorze. Całość przewiązana była skórzanym rzemykiem.

Zawołał po niemiecku do kelnera, jak się okazało, żądając popielniczki. Gdy mu ją dostarczono, skierował uwagę na mój posiłek. Nawet nie zapytał, czy może. Powinienem być dać

mu pstryczka w nos, ale zamiast tego siedziałem sztywno niby kukła i patrzyłem, jak trzonkiem noża do masła sprawnie, wręcz z chirurgiczną precyzją, rozdziela kawałki mięsa pływające w sosie, a z każdym nacięciem rzuca pytanie, skierowane nie do mnie, lecz do kelnera. Wreszcie polecił uprzątnąć resztki, a przynajmniej taki był skutek jego wypowiedzi.

– Teraz napijemy się koniaku – oświadczył.

Pomyślałem, że może to burmistrz Karlsruhe, wiejski prostak, który awansował na drabinie społecznej. W myślach życzyłem mu szczęścia.

– Dlaczego się uśmiechasz, przyjacielu?

– Mają tu tylko piwo.

W odpowiedzi uśmiechnął się, nie był to jednak uśmiech zaczepny.

– Powtarzam ci, przyjacielu, żyją tu złudzeniami.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli chodzi o koniak, mógłbym powiedzieć to samo o panu.

Patrząc na niego z bliska, dostrzegłem, że krawiec, który szyl mu ubranie, nie spisał się zbyt dobrze, jednak przyciasna marynarka wyposażona była w imponującą liczbę kieszeni, a jedna została zaprojektowana specjalnie po to, by nosić w niej talię kart.

Wyjął z niej teraz jedną kartę i położył na stole koszulką do góry.

– Wie pan, co to jest? – zapytał. Zdawało mi się, że uśmiecha się pod wąsem.

Najwyraźniej mój kompan był oszustem karcianym, lecz ja wbrew obawom przyjaciół nie zamierzałem okazać się łatwą ofiarą.

– Jeśli oczekuje pan, że ją odkryję, jest pan w błędzie.

– Skąd. – Puknął palcem w rewers karty. – To właśnie chcę panu pokazać. To złudzenie, którym pan żyje.

Po raz pierwszy spojrzałem mu w oczy. Były bardzo ciemne, niemal czarne. Nie obawiałem się go, choć z pewnością był postacią groźną i niepokojącą.

– To ilustracja przedstawiająca Karlsruhe – odpowiedziałem.



*Rewers niemieckiej karty do gry, ok. 1820 r.*

– Po angielsku ta nazwa oznacza Odpoczynek Karola. Co widać na załączonym obrazku. To, czego nie widać, to Karol, który wymyślił sobie Karlsruhe, czyli Karol III Wilhelm, margrabia Badonii-Durlach. Kiedyś przyśniło mu się to, co widać na koszulce karty. Co więc pan widzi?

– Oczywiście miasto jest zbudowane na owalu.

– Oczywiście, Brandling, a dokładnie na planie koła.

Znów zacząłem się zastanawiać, skąd, u diabła, zna moje nazwisko. Spośród bałaganu, który mieścił jego oprawny w skórę notes, wydobyl mocno sfatygowany arkusz papieru, coś w rodzaju katalogu mechanicznych kół zębatach.

– Nie jest pan zegarmistrzem – zauważyłem, gdyż spoczywające na stole dłonie były zbyt olbrzymie, by porządnie zawiązać sznurowadła.

– Dlaczego, do diabła, rozmawiałeś pan z tym idiotą Hartmannem? Przybywasz pan do kolebki koła i wybierasz sobie do rozmowy tego nudnego burżujskiego sklepikarza. Czy nie zdajesz pan sobie sprawy z tego, gdzie właściwie jesteś?

Zastanawiałem się, czy tutaj wszyscy zwracają się do siebie takim tonem.

– Może życzy pan sobie zegar z kukułką? – zadrwił.

– Nie – odparłem, lecz on nie przestawał opowiadać o obrabianiu kół zębatach, nie odrywając przy tym ode mnie wzroku. Jego oczy pałały nieprzytomnym zapalem, tak często

malującym się w spojrzeniu szaleńców. Pojąłem, że wierzy w słuszność teorii, iż każdy mieszkaniec Karlsruhe kryje w środku szprychy i obręcze.

– Widziałeś pan kiedyś maszynę biegową?

– Maszynę, która biega? – (Mój Boże, pomyślałem, to by dopiero było coś!).

– Na Boga, skądże. Ale jeśli takowa miałaby być wynaleziona, to gdzie najłatwiej byłoby o taki wynalazek?

– Zapewne powie pan, że w Karlsruhe.

– Proszę! – zakrzyknął, wyciągając jeszcze jeden przedmiot ze swej kolekcji i podając mi go w potężnej dłoni. Była to karta podobna do tych, jakie producenci czasami umieszczają w puszkach z tytoniem do fajki. – Proszę się dokładnie przyjrzeć – polecił. – Za dużo wydaje pan na krawców, a za mało na książki.

Był to kolorowy miedzioryt przedstawiający mężczyznę stojącego obok urządzenia na dwóch kółkach.

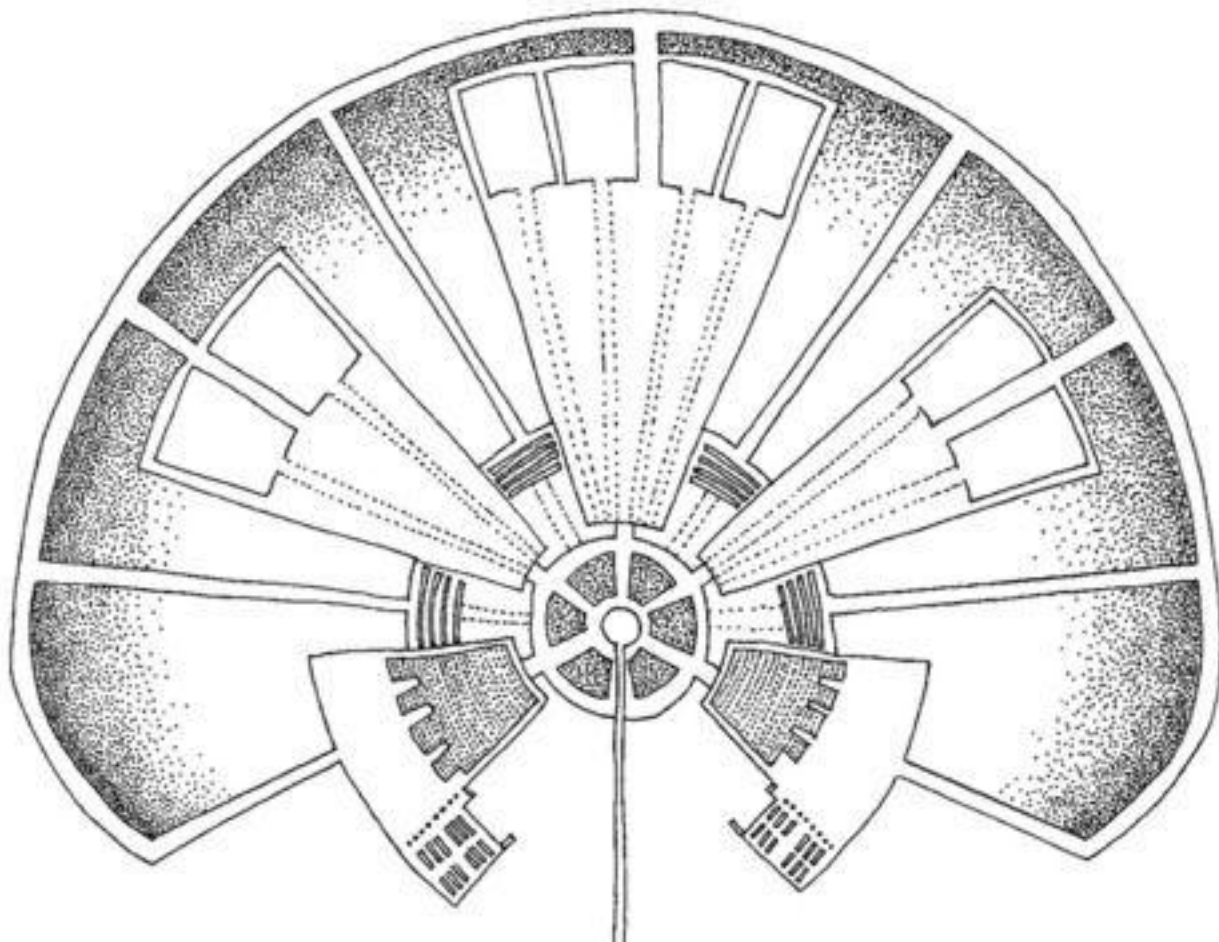
– To Herr Drais z Karlsruhe. – Stuknął w głowę jegomościa na ilustracji paznokciem brudnym i zniszczonym jak u ogrodnika.

– Dlaczego mi to pan pokazuje?

– To urządzenie nazwano na jego cześć. To dreżyna.

– I czemuż to pokazuje mi pan tego przekłętego Draisa?

– Żebyś pan nie zmarł z przedawkowania kaczki – odpowiedział i wybuchnął gromkim śmiechem. Odsunąłem gwałtownie od siebie jego papiery, ale miał jeszcze coś w zanadru.



*Jedwabny papier, naturalne barwniki i atrament. Pochodzenie nieznanne*

- A to niby co? – zapytałem.
- Przecież nie znam wszystkich odpowiedzi.
- Dlaczego więc pan mi to daje?
- Daję to panu w zastaw.
- W zastaw za co?
- Skoro mam pańskie plany, Brandling, pan powinien mieć moje – odrzekł.
- Ale pan nie ma moich planów. I proszę nie zwracać się do mnie *per* „Brandling”.

W odpowiedzi skrzyżował ramiona na piersi i błysnął spod sumiastego wąsa rzędem równych białych zębów.

- Pan wybaczy, mam spotkanie – powiedziałem.
- Komu w drogę, temu czas.

Nawet się nie pożegnał. Siedział spokojnie na swoim miejscu z nosem w kieliszku. Po paru chwilach, przemierzywszy ciemny i kręty korytarz prowadzący do mojego pokoju, odkryłem, że plany zniknęły.

Pomyślałem o moim ukochanym biednym chłopcu z fiołkowymi, wiecznie zasmuconymi oczami i pojąłem, że zbrodnią było opuszczenie go. Zbiegłem po schodach. Zamierzałem

wyłupić łajdakowi te bezczelne oczy nożem do masła, ale oczywiście możecie sobie wyobrazić, co się stało. Tylko ja zorientowałem się w sytuacji jak zwykle ostatni. Tak jest, salon był pusty, a jedynym świadectwem tego, co zaszło, były dwa puste kieliszki po koniaku i leżąca pod stołem samotna karta do gry.

Nigdy nie byłem ryzykantem, nie pociągały mnie przygody. Gdybym naprawdę był Prawdziwym Przyjacielem, zostałbym w domu.



**Catherine**

# 1

Bardzo się bałam odwiedzin na cmentarzu, ale nie zamierzałam opuścić mojego najdroższego. Zasłałam łóżko i wrzuciłam ubrania do pralki. Zmiotłam z podłogi płatki śniadaniowe i umyłam szklankę po whisky. Uprzątnęłam puste butelki i zrobiłam sobie herbaty. Usiadłam przy stole. Sięgnęłam po lorazepam i rozgryzłam jedną tabletkę. Była dopiero ósma, więc pomyślałam, że może spędzę choć chwilę z Henrym Brandlingiem. Przewróciłam kartkę brulionu i znalazłam pocztówkę z Karlsruhe przymocowaną zardzewiałą szpilką. Pomiędzy następnymi stronicami było trochę luźnych szpargałów, lecz kolejne kartki były czyste, co do jednej. Poczułam, jak zaciska mi się gardło, i zorientowałam się, że bardzo wyczekiwałam dalszego ciągu relacji Henry'ego. Okazało się, że ów dalszy ciąg mógł nie nastąpić. Zeszyty nadal spoczywające w skrzyni po herbacie mogły przecież być puste.

Zaczęłam szukać stroju odpowiedniego do pracy, gdy zdałam sobie sprawę, że jest sobota i nie mam żadnego pretekstu – ani ważnej rozmowy telefonicznej do przeprowadzenia, ani żadnej innej historyjki na podporządku – by dostać się do pracowni.

„Podczas weekendów prace na terenie muzeum prowadzi się tylko w wyjątkowych sytuacjach”.

Nalałam więc wody do wanny. Leżałam w letniej kąpieli, przyglądając się swemu kościstemu, przez nikogo niekochanemu ciału i włosom przypominającym wodorosty. Zaczęłam płakać. Umyłam włosy, nałożyłam odżywkę i znów się rozplakałam. Nawet w łazience odczuwalna była fala gorąca i ciepło buchające z silników samochodowych pracujących wszędzie dookoła. Wysuszyłam włosy. Nie raz słyszałam, że mam ładne włosy. Nałożyłam pod oczy trochę maści z hydrokortyzonem, żeby zmniejszyć opuchliznę.

Nie wiedziałam, gdzie ukryli Matthew, zadzwoniłam więc na cmentarz i rozbroiła mnie dobroć, z jaką mnie potraktowano. Byłam przygotowana na najgorsze, spodziewałam się, że zapytają, czy jestem „żoną”, i każą to udowodniać, lecz młody człowiek, z którym rozmawiałam, był zupełnie inny. Mówił z uroczym akcentem z West Country i cierpliwie czekał, aż znajdę ołówek, by zapisać numer kwatery i wskazówki, jak ją znaleźć. Powiedział, że to bardzo ładna część cmentarza, był tam nie dalej jak wczoraj. Rośnie tam dużo drzew, które dają wytchnienie od skwaru.

Pewnie nadal odkładałabym wyjście z domu, ale ci z góry wrócili, a sąsiad, były spiker Izby Gmin, postanowił skosić trawnik. Hałas był nie do wytrzymania, więc wyszłam.

Do Kensal Rise można dojechać linią Bakerloo. Nigdy nie lubiłam londyńskiego metra, ale dziś wydawało mi się wyjątkowo nieprzyjemne. Później dowiedziałam się, że był to najgorętszy kwietniowy dzień od czterdziestu lat. Na peronie było 47 stopni, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, więc gdy poczułam zbliżający się atak klaustrofobii, sądziłam, że sama sobie jestem winna. Nie wolno mi się poddawać, pomyślałam.

Uciekłam na stacji Marble Arch, biegiem pokonując schody. Tłumaczyłam sobie, że muszę kupić kwiaty, ale mogłam je przecież kupić przy cmentarzu, a tu nie było żadnej kwaciarni. Postanowiłam jednak pojechać autobusem. Ponieważ byłam zbyt poruszona, by patrzeć na mapę, wsiadłam w autobus zmierzający do Westbourne Grove. Wiedziałam, że przejeżdża obok Harrow Road, a stamtąd było już blisko na cmentarz.

Przegapiłam swój przystanek i wysiadłam trochę dalej. Postanowiłam odpocząć chwilę i uspokoić się. Matthew tkwił pod ziemią, opuchnięty, a jego piękne ciało zamieniło się w fabrykę metanu, dwutlenku węgla, siarkowodoru i amoniaku. Przerazała mnie własna wiedza.

Mogłam się przy nim znaleźć w czterdzieści minut, lecz nie chciałam oglądać gołej ziemi. Postanowiłam wrócić, gdy jego grób porośnie trawą. Odwróciłam się więc plecami i ruszyłam w stronę Notting Hill Gate. Matthew, wybac mi, błagałam w duchu. Ty nigdy byś mnie tak nie zostawił. Z tym że jednak dokładnie to zrobiłeś.

Anglicy o białej skórze i grubych łydkach paradowali dookoła w krótkich spodenkach. Matthew był wysoki i szczupły, miał wyjątkowo zgrabne nogi. Było okropnie parno, a niebo wisiało nisko, pierzaste i bardzo, bardzo smutne.

Bałam się wrócić do domu, do pustki, obawiałam się nadchodzącego popołudnia i nocy, postanowiłam więc spróbować dostać się jakoś do Aneksu. Dotarłam do stacji Earl's Court, lecz autobus wahadłowy jeżdżący do Olympii zastrajkował. Ruszyłam zatem pieszo na północ, nie widząc, jak niebo ciemnieje za moimi plecami. Tak dotarłam do części miasta zwanej Brook Green.

Mój najdroższy, najlepszy wśród najlepszych, spoczywał w przyjemnie ocienionej części Kensal Rise, a ja pomyślałam, że pewnie by mu się tutaj spodobało, a najbardziej ta mała winiarnia. Ozłoczone słońcem sklepiki wyglądały bardzo zachęcająco. Szłam cichą uliczką, zabudowaną szarymi i pastelowymi domami i na rogu dostrzegłam sklep, który mnie zaintrygował, a kiedy podeszłam bliżej, dostrzegłam, że to naprawdę wyjątkowy sklep sprzedający nadzwyczajnie zwyczajne torebki, takie, jakiej akurat teraz potrzebowałam. Drzwi były zamknięte, lecz w środku dostrzegłam kobietę. Na mój widok zapaliła światło i ruszyła w stronę drzwi. Była trochę dziwna, zadbana, w wieku około pięćdziesięciu lat, lecz okropnie szczupła i drobna, z wyglądu surowa i intrygująca niczym Francuzka. Miała gęste siwe włosy, ostrzyżone krótko, lecz starannie. Otworzyła drzwi, marszcząc przy tym czoło, jak gdyby wiedziała, że straciłam ukochanego, i potępiła moją chęć zakupów.

– Musi się pani pospieszyć – powiedziała, a ja nie zrozumiałam, że mówi o nadchodzącej burzy.

Wróciła w głąb sklepu, gdzie na zwykłym haczyku wisiała niby od niechcienia doskonała w swojej prostocie torba z czarnej skóry, niezwykle miękka i lekka. Założyłam ją na ramię, a ona niezauważalnie zlała się z moją postacią. W środku miała dwie przegródki, jedną zapinaną na suwak, drugą nie, a co najlepsze, podszewkę miała z kolorowego jedwabiu. To właśnie torba, której jedyną funkcją miało być ukrycie zeszytów Henry'ego Brandlinga wykradzonych z Aneksu.

Kobieta okazała się Włoszką, a nie Francuzką. Torba kosztowała sto funtów.

Zapytała, czy mogłabym zapłacić gotówką. Akurat miałam przy sobie tyle.

Podawała mi niezapakowaną torebkę i uprzejmie, choć zdecydowanie popchnęła w kierunku drzwi.

Usłyszałam donośny grzmot i odgłos przypominający skwierczenie. Jeszcze nie padało, lecz niebo było czarno-krwiste, niczym z obrazów Rothki. Nagle zza rogu wyłoniła się taksówka z włączonym radosnym żółtym światelkiem. Ledwie wsiadłam, zaczęło padać, a krople deszczu rozmazywały się na szybie samochodu niczym tłuste kapniecia gliceryny. Piorun uderzył w budynek Muzeum Historii Naturalnej, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Powinno być od razu wbiec do środka, lecz kazałam taksówkarzowi wysadzić się pod sklepem monopolowym przy Kennington Road, nazywanym przez Matthew monopolem, gdzie zapłaciłam MasterCard za butelkę koniaku. Gdy wyszłam na ulicę, wokół panowała ciemność, rozświetlona tylko niesamowitą żółtą poświatą na budynkach. Uznałam, że przestało padać – może faktycznie tak było – ale kiedy tylko znalazłam się na jezdni, zaczął sypać grad wielkości kostek lodu do napojów albo rzecznych kamyczków, bezlitośnie i okrutnie atakując moją odkrytą głowę i niczym nieosłonięte ramiona. Dotarłam do kuchni poobijana i przemoczona do suchej

nitki. Przez okno widziałam, jak w ogrodzie rośnie pryzma lodowych kul. Czemuś mnie opuścił?

Nienawistna burza przetaczała się nad ogrodem niczym ciężki parowóz, kamieniując go gradem. Na ziemi leżała już pięciocentymetrowa warstwa lodu, a może tłuczonego szkła. Pelargonie były zrównane z ziemią, wawrzynek doszczętnie zniszczony. Nie wiem, jaki los spotkał sąsiada z góry, gdyż porzucił kosiarkę pośrodku ogrodu, akurat na linii mojego wzroku.

Obejrzałam uważnie wykwitające na skórze siniaki, lecz oględziny nie zajęły zbyt dużo czasu. Wkrótce siedziałam przy kuchennym stole, w szlafroku, już z suchymi włosami. Włożyłam bruliony Brandlinga do nowej torebki. Przeszłam się na próbę, a efekt był zgodny z moimi oczekiwaniami – torba idealnie leżała na ramieniu. Byłam tak zaabsorbowana przygotowaniami, tak podniecona perspektywą zdobycia pozostałych zeszytów, że mało brakowało, a nie zauważyłabym nawet osobliwej mgielki unoszącej się nad zalegającym na ziemi lodem. Ale jednak w porę podniosłam głowę, słońce wyszło spoza chmur, a cały ogród zapłonął majestatycznym, niesamowitym, niezemskim złotem.

Na moment dałam się ponieść zachwytowi, na chwilę zapomniałam o rozpaczach. Sięgnęłam po otwarty laptop. Przysuwając go ku sobie, zrozumiałam, jaki był cel tego działania – chciałam podzielić się wrażeniami z Matthew.

Całuję twoje paluszki. Zaznacz jako nieprzeczytane.

W skrzynce był nowy e-mail od Crofty'ego. Pisał w nim: Wszystko załatwione.

Zastanawiałam się, jak cokolwiek mogło być załatwione? Wtedy pojęłam. Przeczytałam moją niegrzeczną wiadomość i pomyślał: ale ze mnie okropny, wstrętny głupiec. Usunął więc skrzynkę po herbacie wraz z ich zawartością z mojej pracowni, dyskretnie, uprzejmie i potajemnie.

Zrobił to, o co go poprosiłam – odebrał mi projekt i wypłacił nadgodziny za pracę w weekend. Jak w bajce z morałem, mój brak opanowania pozbawił mnie zapisków Henry'ego.

Sięgnęłam po koniak i pociągnęłam zdrowy łyk prosto z butelki. Poszukałam książki teleadresowej muzeum.

– Halo, Arthur?

– Arthur właśnie wyszedł.

– Mówi Gehrig z góry, z działu horologii. Pracuję w pokoju 404.

– Rozminęła się z nimi pani o jakieś trzynaście minut.

– Padał u was grad?

– Podejrzewam, że złapał Arthura. Czy coś mu przekazać, jeśli przeżył burzę?

– Czy jest tam pan Croft?

– Był tu razem z Arthurem przez co najmniej trzy godziny. Potem razem wyszli z muzeum.

– Teraz pewnie jest w pubie Lis i Ogary?

– Liże rany, że się tak wyrażę.

Nie miałam wątpliwości, że spędzili popołudnie, wynosząc skrzynie z mojej pracowni. Już nigdy nie uda mi się przeczytać reszty zapisków. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa, więc rozłączyłam się w milczeniu, po czym ponownie wybrałam numer i przeprosiłam, że upuściłam słuchawkę. Do zobaczenia w poniedziałek, powiedziałam.

Nie spodziewałam się, że główny kurator działu horologii z mojego powodu zmuszony będzie do pracy fizycznej. Miałam przed sobą całą niedzielę na rozpamiętywanie tej nowej przykrości. No cóż, nie będę się pograżać w rozpaczach. Z trudem otworzyłam przysypane gradem

drzwi do ogrodu. Weszłam po trzech stopniach, a lód z kruchym trzaskiem pękał pod moimi stopami. Przetawiłam kosiarkę w mniej widoczne miejsce.

Zostawiła na moich dłoniach zapach smaru i gumy, który przypominał mi noce spędzone w stajni w zagajniku w Suffolk, niedaleko Beccles, w przytulnym łóżku na antresoli, nad zaparkowanym poniżej mini minorem, którego latami razem remontowaliśmy. To miejsce należało do Matthew. Takie były wonie naszej miłości – smar, guma, słodkawy i duszny zapach seksu. Tam, gdzie światła samochodów z pobliskiej trasy A12 rzucały długie cienie na moje ciało, spędziłam najszcześniejsze noce mojego życia.

Siedząc tak przy Kennington Road i wachając pachnącą gumą i smarem dłonie, nie myślałam już o Henrym Brandlingu i jego kacze. Lód dawno stopniał. W powietrzu unosiła się wilgoć. Do kuchni przez otwarte okno wpadał niesiony podmuchami powietrza zapach trawy, a ja wspominałam noce spędzone w stajni w Suffolk, gdy o dach bębnił łagodny deszcz.

W poniedziałkowy rano zadzwoniłam do bramy Aneksu i przeszłam przez bramkę obrotową stojącą w jego zimnym wnętrzu. Od tej chwili nie opuszczało mnie oko kamery.

Na lewo była recepcja, a w niej Arthur. Nie mogłam pod żadnym sensownym pozorem zapytać go, gdzie przeniesiono skrzynie.

– Dzień dobry, panie Phelps. – Podniósł twarz i dostrzegłam zapuchnięte powieki alkoholika. – Pracował pan w sobotę z mojego powodu. Jestem panu dłużna.

Stary zgred pogładził się po siwych włosach.

– Pan Croft już się tym zajął, panno Gehrig. Mało brakowało, a umarłbym od tej cholernej zapłaty, jeśli mogę tak się wyrazić.

Machnęłam przepustką i przeszłam przez drugą bramkę. Kamera wciąż mnie obserwowała, lecz w torbie miałam jedynie kaszmirowy szal, portmonetkę i lorazepam. Niosłam pustkę. Otworzyły się drzwi. Kolejna kamera śledziła moje kroki. Na cyfrowym cmentarzysku spoczywały zapewne tysiące moich dni, każdy podobny do poprzedniego. Weszłam niespiesznie po stopniach i po raz ostatni odbiłam kartę.

Gdy otworzyłam drzwi do pracowni, zastałam nie pustkę, lecz skrzynki po herbacie.

Chyba cicho krzyknęłam. Może zostało to nagrane. Po chwili zanurzyłam dłonie w zmiętych kłębach „Daily Mail” i wyłowiłam z nich przewiązane starannie sznureczkiem z rafii bruliony Brandlinga.

Usiadłam przy stole i zaczęłam je przeglądać. Pierwszy, który wzięłam do ręki, był zapisany szczelnie, od deski do deski. Wszystkie kolejne także. Ani jedna linijka w tym atramentowym morzu nie była pusta. Choć pożałowałam ich wszystkich, wzięłam tylko cztery, zapakowałam oddzielnie w plastikowe woreczki i schowałam do torby. Pozostałe położyłam na półce wiszącej nad wyciągiem, gdzie nikt nie będzie ich szukał. Zostało mi jeszcze do przeczytania dziewięć partii.

Dopiero w chwili, gdy odwieszałam swój łup na haczyk za drzwiami, zauważyłam, że nie wszystko wygląda tak jak w piątek. W lewym rogu pokoju, najbliższym drzwi, przez co po wejściu do pracowni miałam je za plecami, stały jakieś rzeczy przykryte opalizującą szarą plandeką. Najwyższa miała około stu dwudziestu centymetrów wysokości.

Wyobraziłam sobie jadovitą płaszczkę, nieumarłego stwora wyrzuconego na brzeg morza w *Słodkim życiu*. Gdy na nowo włączyłam racjonalne myślenie, zrozumiałam, co musi się kryć pod ceratą – górny i dolny cylinder napędzane ciężarkiem wagowym i trzydzieści dźwigni, połączonych z różnymi elementami szkieletu kaczki, by mogła pić i tak dalej, zgodnie z opisem pani Riskin. To na pewno nie była paląca małpka, co się potwierdziło, gdy podniosłam plandekę. Po chwili znów ją opuściłam, ale nie z powodu genialnego mechanizmu, lecz drewnianego przedmiotu spoczywającego tuż obok. Tak naprawdę nie było to nic wielkiego, naprawdę nic, po prostu drewniany kadłub, który kiedyś skrywał mechanizm, lecz chora wyobraźnia podsunęła mi obraz nieudanej kremacji, spalonego obiadu, czarnego i nieforemnego strachu. Jako profesjonalistka wiedziałam, że patrzę na smoliście czarne podwozie, lecz moje oczy widziały wielkiego, zaskorupiałego, łuszczącego się, wygrzebanego spod ziemi małża. Czułam fetor napalmu, kreozytu, zwęglonego mięsa i śmierci.

DO: *e.croft@swi.ac.uk*

OD: *c.gehrig@swi.ac.uk*

TEMAT: Zapalenie oskrzeli

Przykro mi. Diagnoza potwierdzona.

Chwilę później podpisywałam się w książce wyjść.

– Ma pani dreszcze – zauważył Artur.

Szybko przeszłam przez bramkę, kurczowo przyciskając do boku swą zdobycz. Henry, co ci się przydarzyło, zastanawiałam się. Ile pieniędzy ci ukradli?



*Henry*

# 1

Poddana przesłuchaniu Frau Beck utrzymywała, że nie przypomina sobie mężczyzny z salonu.

– Herr Brandling, jeśli ma pan na myśli tego Anglika, on już uregulował rachunek. To wszystko, co o nim wiem.

– To ja jestem Anglikiem.

– Zgadza się, Herr Brandling – odparła Frau Beck (co się rymuje z „dzio-bek”, a ona była drobna jak ptaszek). – Pan także jest Anglikiem, panie Brandling. Ale mnie chodzi o *tego* Anglika. – Rozłożyła szeroko drobne żyłaste ramiona, naśladując szerokie barki łotra. – Już zapłacił.

Wszystko wskazywało na to, że padłem ofiarą oszusta żerującego na podróżnych. Uderzyłem dłonią w kontuar, co nie spodobało się Frau Beck.

– Ten mężczyzna był Niemcem – powiedziałem.

– Nie, Anglikiem.

Poczułem, jak opuszczają mnie siły. Czy dlatego porzuciłem syna, dla mizernej karty do gry?

– A co z pokojówką?

Pokojówką? Jaką pokojówką? I tak dalej. Czyżby Frau Beck też należała do szajki?

– Pokojówką z mojego pokoju.

– Pokojówką z pańskiego pokoju – powtórzyła Frau Beck, jakby naigrawała się z mojej angielszczyzny. – Pokojówka z pańskiego pokoju odeszła.

– To jasne! – krzyknąłem, próbując spojrzeć w oczy przesłonięte okularami. – To jasne, że nie działali sami.

– Herr Brandling, jest wiosna. Pokojówka odwiedza rodzinę w Szwarzwaldzie. Można się było tego spodziewać. Co roku jest tak samo.

– Wzięła ze sobą moje plany!

– Herr Brandling, oboje wiemy, że to niemożliwe.

– Ależ tak, Frau Beck, proszę mi uwierzyć.

– Ma pan na myśli te same plany, które pokazał pan Herr Hartmannowi?

– Tak, moje plany, innych nie mam.

Frau Beck dała sygnał do zakończenia rozmowy, zanurzając pióro w kałamarzu.

W domu posłałbym po policję, a oni zastraszyliby całą służbę (jak to się działo za każdym razem, gdy żonie ginęła obrączka).

Poinformowałem Frau Beck, iż udaję się do pokoju napisać skargę. Nie byłem pewien, czy zrozumiała, o co mi chodzi, zresztą sam byłem w rozterce. Co napisać? Po angielsku? Do kogo zaadresować swoje oskarżenia? Nie, musiałem ugryźć się w język. Nie miałem innego wyjścia, tylko zamówić nowe plany. Zatrudniony w rodzinnej firmie rysownik ponownie skopiuje ilustrację z „London Illustrated News”, choć mój brat wyraźnie da do zrozumienia, że prośba „pana Henry’ego” jest jeszcze mniej mile widziana niż za pierwszym razem.

Lecz czy mój chłopczyk nie był najważniejszym z rodzinnych przedsięwzięć? Był jednym z Brandlingów, co w języku angielskim oznacza także stadium w rozwoju łososia, zanim powróci do morza na tarło. Po angielsku określa się je jako *parr*, *pink*, *smolt*, *smelt*, *sprag* albo właśnie *brandling*. Mój brat musiał zrozumieć, że Percy jest naszą przyszłością. On sam nie miał dzieci.

Wróciłem do siebie na górę i położyłem się na łóżku. Nie mam pojęcia, jak długo spałem.

Obudziło mnie cichutkie skrobanie – ktoś usiłował wsunąć pod drzwi liścik. W mgnieniu oka byłem na nogach.

Zaskoczyłem syna pokojówki. Klęczał z kopertą w dłoni i błękitnymi oczami szeroko otwartymi ze strachu. Złapałem go za błądy nadgarstek i zaciągnąłem do pokoju. Czulem, jak wzbiera w nim energia, gdy wyrwał się z mojego uścisku, rzucając się i wierzgając jak królik albo zając złapany we wnyki. Kopniakiem zamknąłem drzwi i unieruchomiłem jego drugi nadgarstek – jeśli pod paznokciami miał gnidy, nie pozwolę, by zagnieździły mi się pod skórą.

Mały szubrawiec był w potrzasku. Drżał i płakał, stojąc ze zmiętym listem w dłoni pośrodku białego pokoju. Rozległo się „puk puk puk” do drzwi, zgrzytnęła klamka i pojawiła się współniczka, „pokojówka z mojego pokoju”, w czerwonej chustce na pszenicznych włosach. Nie musiałem jej na siłę wciągać do środka, gdyż sama pospieszyła przytulić swoje dziecko. Stojąc u stóp dziwnie surowego łoża, które sama niedawno zasała, ucałowała go w głowę i wbiła we mnie wzrok. Co za brutal ze mnie. Chłopiec mocno przytulił się do matki i spoglądał na mnie z lękiem i nienawiścią, a w jego dzikich oczach pałała determinacja o wiele silniejsza od mojej. Chciałem, by mnie polubił ten mały wróg.

Wcześniej sądziłem, że jego matka jest pospolitą ładną kobietą, lecz teraz w zarysie szerokich delikatnych warg dostrzegłem świadomość tego, że szczęście nie jest bezwarunkowe. Miała cerę jasną jak Angielka, lecz jej złodziejskie dłonie były twarde i spracowane.

– Oddajcie mi moje plany – zażądałem.

Odpowiedziała w sposób zdradzający winę.

– Pańskie plany są bezpieczne, proszę pana. – Jej angielszczyzna była zaskakująco dobra. Okazała się niebezpiecznie dobrze wykształcona jak na pokojówkę. Na tyle dobrze, że nikt z moich znajomych, może poza tym ekscentrykiem Binnsem, nie odważyłby się jej zatrudnić.

– Będą bezpieczne dopiero wtedy, gdy wrócą do prawowitego właściciela – odparłem.

Miała czelność nie zgodzić się ze mną.

– Nie mogą pozostać w Karlsruhe.

Zdaje się, że parsknąłem.

– Lepiej, by trafiły tam, gdzie będą zrozumiane.

W niczym nie przypominała zastrachanej kobieciny, jaką wcześniej udawała. Miałem rację, pomyślałem, to szajka.

– A niby gdzie mogą być zrozumiane?

– W Furtwangen.

Co za komiczna nazwa!

– Ale nawet w Furtwangen jest pełno miernot.

Zamierzałem ją przesłuchać w kwestii tak niepocholebnych opinii, lecz jej syn chytrze wyciągnął skądś kolorowe drewniane klocki oraz – gdzie on to miał? – kawałek grubego stalowego drutu o średnicy ponad pół centymetra. Przyglądałem się w milczeniu, jak szybko wznosi genialny łukowaty most, po którym zaczęły się poruszać czerwone i żółte klocki, napędzane niewidzialnymi czy też zaczarowanymi silniczkami.

Urządzenie było genialne. Czy jest na świecie ojciec, którego serca nie poruszyłby taki malec?

Miał głosik dźwięczny niczym dzwoneczek. Gdy się odezwał, zabrzmiało to tak melodyjnie, że z początku nie zorientowałem się, iż mówi w moim ojczystym języku.

– To dla pańskiego syna – wyjaśniła jego matka. – Może pan wysłać to do Anglii, żeby miał się czym bawić w oczekiwaniu na powrót taty.

Skąd wiedzieli, że mam syna?

– To bardzo miłe – odrzekłem w końcu – ale chłopiec nie musi kupować zabawek dla

mojego syna. – Widzieli portrecik Percy’ego. To wszystko wyjaśniało.

– On nie kupuje zabawek – odpowiedziała, kładąc dłoń na jego głowie. – Sam je robi, nocami. – Było jasne, że go uwielbia, wprost emanowała miłością, ale biorąc pod uwagę zrećzność twórcy i geniusz jego dzieła, musiałem się zdradzić ze swoim sceptycyzmem.

– Krzywdzi go pan – rzekła, a szacunek zniknął z jej głosu. – Sam to zrobił. Skaleczył się nawet przy pracy i będzie musiał ponieść karę za niedbalstwo.

Chłopiec zachowywał się niezwykle poważnie, a przedramię faktycznie miał obandażowane. Ugiąłem się pod jego uporczywym spojrzeniem i wyjąłem z koperty liścik, starannie wykaligrafowany po angielsku: „Herr Brandling, wykonamy kaczkę. Dyliżans zawiezie Pana do zegarmistrza”.

– Nic to nie będzie pana kosztować – wyjaśniła szybko kobieta. – Zabierzemy pana do Furtwangen, gdzie zgodnie z pana wytycznymi powstanie kaczka.

Mogłem się jedynie roześmiać.

– Dlaczego miałabym pana okłamywać? Gdybym pana oszukała, wtrąciłby mnie pan do więzienia i byłabym zrujnowana. Proszę, niech pan jedzie. Tak skomplikowanej maszynerii nie skonstruuje byle rzemieślnik.

– A jak ktoś, kto nie zna się na rzemiośle, miałby ją zbudować?

– Pozna go pan. Nazywa się Herr Sumper.

– Czy to pan Sumper mnie okradł?

– Nie, oczekuje pana w Furtwangen.

Od pierwszego dnia w szkole Harrow moja łatwowierność była niewyczerpanym źródłem żartów. Zdumiewało mnie, że do takich ocen skłonni są przede wszystkim ci niegodni zaufania – jak można się przechwalać tak paskudną cechą charakteru?

Zastanówmy się jednak przez chwilę. Czy na moim miejscu nie poszedłbyś ze złodziejami? Wyrządziłoby to krzywdę twojemu synowi, a ciebie ominęłaby niezwykła podróż, a zwłaszcza jej pierwszy odcinek, na południe wzdłuż Renu, piękny i łagodny. Tak więc zawierzyłem życie dziecku i jego matce, i dałem się ponieść – bezwolny i bezwładny – w głąb, a w zasadzie w górę Szwarzwaldu, znanego mi wcześniej jedynie z opowieści Braci Okrutników, jak ich nazywała matka. Podróż spędziłem na ogół samotnie – siedziałem w dyliżansie, podczas gdy reszta szajki usadowiła się na dachu, często głośno śpiewając – lecz w ciągu ostatnich dwóch lat, które upłynęły mi w ciągłym łęku przed plamami krwi na poduszce, ani razu nie czułem takiego spokoju.

Pierwszy zajazd był gościnny, choć niezbyt czysty. Poprosiłem o świece i napisałem list do Percy’ego, opowiadając mu o bystrym chromym chłopcu, jego genialnym wynalazku i przygodzie, która doprowadzi mnie do jaskini Ali Baby. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zaadresowałem list do George’ a Binnsa, przyjaciela, który obiecał odwiedzać Percy’ego w sobotnie i czwartkowe popołudnia, by mu poczytać.

Drugiego dnia zanurzyliśmy się w głąb Szwarzwaldu. Leśna droga była malownicza, choć niezwykle stroma. Otaczający nas krajobraz bardzo się różnił od opisów braci Grimm. Gdziekolwiek spojrziałem, oczy cieszyło piękno – ciemnozielony las, jasne łąki, zadbane ogródki, zatrzęsienie górskich strumyków, potoków i ruczajów, no i oczywiście przytulne domki z niskimi strzechami, rzędami lśniących okien i rzeźbionymi werandami oraz ich mieszkańcy – osobliwa, szczególnie rasa – kobiety w gorsetach i jaskrawych spódnicach i fartuchach, w spiczastych czepeczkach okrywających długie, grube warkocze, które rozplatać mogli jedynie ich mężowie. Chciałem znów poczuć się jak mąż w tak intymnej sytuacji.

Czasem więc było mi smutno, czasem doskwierała samotność, lecz nigdy dotąd nie przeżyłem prawdziwej przygody. Wiele więc myślałem o moim automacie i o tym, jak zdołał

zmienić bieg planet, zanim jeszcze przywróciliśmy go do życia.

Kończąc się dyliżans wciąż jechał pod górę, aż najwyższe szczyty gór zalśniły w świetle zachodzącego słońca melancholijną bielą. Byliśmy w miejscu, gdzie rosły jedynie trawy i krzewy. Na dachu dyliżansu panowała cisza. Nabrałem obaw, że krajobraz naszego miejsca przeznaczenia może w niczym nie przypominać tych mijanych po drodze. Trawy zwiędły. Byliśmy na torfowisku, choć mieszkańcy tej krainy nie wykorzystywali go w żaden sposób. Drewniane domy były zbielełe niczym kości. W tej niesamowitej poświacie stałem się dla siebie największym wrogiem i największą nadzieją; dołączyłem do reszty Brandlingów wiecznie oczekujących cudów.

Ktoś kiedyś powiedział: „Dla Brandlinga szklanka jest w połowie pełna nawet, gdy leży u jego stóp potłuczona w drobny mak”. Cha, cha, bardzo zabawne. Czy nikt nie zauważył, że optymistyczne spojrzenie na świat jest zazwyczaj uzasadnione? To dlatego nasze nieśmiałe modlitwy tak często zostają wysłuchane. To dlatego schodząc z jednego z wielu życiowych samotnych szczytów, niemal zawsze zstępujemy do bujnej doliny, gdzie czeka na nas czysta, świeżo pobielona gospoda ozdobiona donicami pełnymi kwitnących roślin.

Do takiej właśnie gospody trafiłem i natychmiast poczułem, jak poprawia się mój z natury „naiwny” humor. Za moment woźnica o stalowych oczach wyłoni się z przestronnej stajni, niosąc na barkach mój kufer podróżny. Najpierw jednak dołączył do nas podczas posiłku, na który składały się soczyste golonki i piwo z pianką. Przy stole nie było bojaźliwych aluzji ani posępnych cieni, a rosnący opodal ligustr był żywo zielony i starannie przystrzyżony.

Nawet ciężar tweedowego garnituru nie zdołał odwrócić mojej uwagi od piękna bukolicznej scenerii, pośród której się przechadzaliśmy. Nie sposób było pozostać obojętnym na pogodny nastrój towarzyszy podróży, zwłaszcza chłopca, który biegał, kuśtykał, hasał i nawoływał żniwiarzy. Znali jego imię – Carl.

Zmierzałyśmy do miejsca, gdzie miało powstać magiczne lekarstwo. Nie posiadałem się z niecierpliwości, lecz, paradoksalnie, nasze opóźnienie dodawało mi skrzydeł. Tyle radości dawało mi przysłuchiwanie się zabawom w zgadywanki pomiędzy żniwiarzami a tym uroczym chłopcem. Gdy zgrabnie upadał, nie użalał się nad swoją niesprawną nogą. Tak, tęskniłem za synem – jego brak bardzo mi doskwierał – lecz wiedziałem, że tylko bardzo kochane dziecko zachowuje się w ten sposób.

A niemiecka matka? Trudno było sobie wyobrazić, że ta widziana z daleka pośród pszennego ładu postać ma zniszczone, spracowane ręce, spierzchnięte łokcie i usta, które boją się zbyt wiele oczekiwać.

Zimą (było to oczywiście dla wszystkich poza mną) mężczyźni z Furtwangen konstruowali kukułki, a latem pracowali w polu u boku małżonek. Wywodzili się od Alamanów i Celtów, byli postawni i silni, odznaczałi się klarowną i barwną mową i temperamentem. Podobali mi się, mimo że ja wyraźnie wcale ich nie obchodziłem.

Ścieżka, którą szliśmy, wkrótce natrafiła na potok. Mały Carl zatrzymał się nad jego błotnistym brzegiem, by jeszcze raz zademonstrować swoją sztuczkę. Ruchy czerwonych i żółtych klocków wywarły oczekiwane wrażenie, magik uklonił się i ruszyliśmy dalej wzdłuż potoku, który przecinał dwie samotne doliny i chłodny jar, gdzie wysokie srebrne świerki niczym czarne igły porastały zbocza wzgórz, niekiedy przetykane jaśniejszą zielenią dębów i buków. Wąska ścieżka zbiegła w dół skalnego urwiska, gdzie spokojny dotąd potok ujawnił swą prawdziwą naturę ryczącej spienionej bestii, spadając z hukiem w głęboką rozpadlinę, gdzie napędzał wielkie koło wodne. Stąd ruszyliśmy po stopniach wykutych w żywej skale.

U szczytu schodów, na płaskowyżu, stał tartak, bezładna mieszanina stromych dachów o mocno wystających okapach. Powietrze przepełniał dziwnie wilgotny i zielony zapach stęchlizny. Belkowanie zdobiły liczne płaskorzeźby, co jako wyraźne nawiązanie do kukulek było dla mnie bardzo zachęcające.

– Sumpy! – zawołał malec.

Choć było już lato, więc minął już sezon spławiania bali, dookoła dostrześliśmy byle jak ułożone zapomniane pnie świerków. W głębokim cieniu wokół tartaku i domostwa wszystko było

kwaśne i wilgotne. Na ścieżce piętrzyły się tu i ówdzie sterty szarych trocin i świeżo porąbanych polan. Ze szczytu budynku ku ziemi zbiegały niczym linki namiotowe miedziane kable, niknące w drewnianych skrzynkach. Nie każdy, przyznaję, byłby pod wrażeniem tego mało naukowego bałaganu, lecz w moich oczach dowodził on tym silnie, iż moi złodziejaskowie są aniołami w przebraniu.

– Sumpy, Sumpy! – Oczy chłopca rozbłysły oczekiwaniem. Mądrze uczyniłem, decydując się na tę nową przygodę. Czułem się jak G.L. Sanderson:

Gdy życie się już kończyło,  
trafiłem na żyłę srebra.

Otworzyliśmy czarne jak węgiel drzwi i nagle, nie było bowiem choćby wycieraczki czy wieszaka na okrycia, który spowolniłby nasze wtargnięcie, znaleźliśmy się w samym sercu domu, w olbrzymiej kuchni z niskim stropem i małymi, głęboko osadzonymi okienkami. Daleko było jeszcze do wieczora, lecz już oświetlały ją dwie świece i lampa. Kuchnia zastawiona była garnkami, a moje nozdrza wypełnił niezwykle apetyczny zapach pieczonych jabłek.

– Sumpy!

Przy dużym kwadratowym stole pod oknem siedziało dwóch mężczyzn, jeden z nich drobny niczym chochlik, a drugi – cóż, drugim oczywiście okazał się barczysty typek z hotelu, zwolennik romantycznej doktryny koła wynalezionej w Karlsruhe. Guzowata łysina połyskiwała w świetle świec. To właśnie on okazał się obiektem miłości Carla. Dostosowałem się do sytuacji, taki już mam charakter.

Hej ho, wbiegli po schodach na górę, mężczyzna i chłopiec, potykając się o własne nogi, jak kumple, którzy nie widzieli się przez całe lato.

Nikt nie zadał sobie trudu, by przedstawić mnie drobnemu mężczyźnie ubranemu w *lederhosen*<sup>[3]</sup>, więc uczyniłem to sam. Wziąłem go za zegarmistrza, a jego wysoki głos i staranny sposób wyrażania się były w pełni zgodne z moimi oczekiwaniami – trudno spodziewać się cudów po ludziach o wielkich łapach ogrodnika. Powiedział, że nazywa się Arnaud.

Henry, powiedziałem w duchu do siebie, znalazłeś się w miejscu, którego nie umiałbyś sobie nawet wyobrazić. W myślach zacząłem układać kolejny list do syna.

Przez otwarte okiennice do kuchni wpadał lekki, ciepły wietrzyk. Słyszałem syczenie piekących się jabłek, nieustanny szmer rzeki i niesłabnące odgłosy rozmowy toczącej się pomiędzy Herr Sumperem i adorującym go smykiem.

Woźnica przyniósł mój kufer. Dałem mu napiwek i wyruszył w drogę powrotną. Frau Helga zakrzętała się wokół kuchni, a ja siedziałem przy stole, zmuszony zająć się sobą.

Mały hugenot – jak sam się przedstawił – mówił znakomitą angielszczyzną, w której wyjaśnił, że tutejsze góry zamieszkuje groźna i osobliwa rasa ludzi. Jeśli jego celem było zastraszenie mnie, nie udało mu się. Niebezpieczeństwa i niezwykłości to właśnie to, czego mi było potrzeba. Na razie w powietrzu czuć było jedynie zapach siczki i łagodnego tytoniu do fajki.

Minęło co najmniej pół godziny, nim Herr Sumper wraz z Carlem zeszli na dół, ramię w ramię, szczęśliwi, że znów są razem.

– Cóż, Herr Brandling – odezwał się wreszcie Herr Sumper – mamy do omówienia mały interesik.

Mały interesik, mały interesik. To dziwne, lecz jego londyńska intonacja była miła dla moich uszu. Zapytałem, skąd u niego taki akcent, i bez wątpienia odpowiedź, której udzielił, była szczerą, lecz już biegł z powrotem po schodach na górę.

Znalazłem go spacerującego ciemnym korytarzem. Podłoga była lekko nachylona, jak

morderczy zsypanie kruszarki do żwiru w spółce Koleje Brandlinga, lecz jeżeli był to zły omen, uszło to mojej uwadze. Na końcu korytarza był mój cel, ukryty za solidnymi sosnowymi drzwiami zamkniętymi na trzy zamki. Rzecz jasna, drzwi na pewno okazały się zamknięte. Z ironią losu nie wygrasz.

Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że człowiek mający pieniądze może dotrzeć, gdzie tylko sobie zamarzy. Dziwne, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Oto stałem wewnątrz tego *sanctum sanctorum*, urzeczywistnionej wizji, a każdy najdrobniejszy szczegół fizycznego bytu owego warsztatu, każdy konkretny detal, stał w gotowości do pracy, by wspomóc dzieło Hipokratesa. Zgodnie z wcześniejszymi wyobrażeniami ujrzałem oczywiście maszyny, lecz nie przewidziałem, iż warsztat będzie zawieszony nad dziką przepaścią i wprawiany w ruch przez grzmiący potok. Wnętrze było wyjątkowo czyste i uporządkowane, w tym na przykład błyszczące tokarki, jedna większa, inne rozmiarów zazwyczaj używanych przez zegarmistrzów. Najmniejsza wyposażona była w płaski pas z grubej tkaniny, przymocowany do obrotowego cylindra, który z kolei połączony był szerszym pasem z piastą tartaku.

Na moje ucho warsztat znajdował się na tyłach wodospadu i przylegał do skały.

Podniosłem głos, by zauważyć, iż Vaucanson wynalazł tokarkę niemal identyczną do tej liliputki.

Herr Sumper wbił we mnie wzrok.

Mój Boże, żeby go tylko teraz coś nie urazić.

Nagle, tak szybko, jak gdyby napędzający go łańcuch wskoczył z nienacką na większą zębatkę, wyszczerzył zęby w uśmiechu i wskazał na ścianę za moimi plecami.

– To jedyne dzieło Vaucansona, którego potrzebujemy.

Zgadza się, do ściany przytwierdzone były plany Dwóch Przyjaciół.

W huku wody usłyszałem głosy ojca i brata, chórem nawołujące, że nie wolno mi oddać rodzinnego majątku w ręce tego szelmy.

Lecz nie byłem marionetką w ich rękach, więc kiedy Herr Sumper przedstawił mi dokładne wyliczenia kosztów niezbędnych materiałów, Low Hall wydawało mi się tak odległe, że aż pochwaliłem sumienne opracowanie listy zakupów, której nie byłem nawet w stanie przeczytać. Zdezorientowany i rozentuzjasmowany hukiem wody zapłaciłem mu żadaną kwotę co do guldena i co do talara.

Każda moneta kładziona w jego pobrużdżonej dłoni przybliżała mnie do przedmiotu określonego przez zadufanego Masiniego jako „mechaniczny Graal”. Niech będzie Graal. Opróżniłem sakiewkę. Triumfalnie kroczyłem z powrotem krzywym korytarzem na półpiętro, gdzie zamierzałem udać się na spoczynek. Z radością w sercu wszedłem do pokoju, bardzo SPARTAŃSKIEGO, lecz i tak przewyższającego mój własny dom, urządzonego przez najmłodszą córkę piwowarskiego rodu. Wybacz mi, Panie, co za okrutna, niewdzięczna myśl. Wystarczy powiedzieć, że od dziś nie będę potrzebował olejów, pastelów, tureckich dywanów, artystycznych bibelotów, toaletek, kredensów ani komódek, wystarczy mi to niezwykle rzeźbione łoże i rząd dziesięciu – policzyłem – czarnych drewnianych kołków wbitych w ścianę.

Gdy otworzyłem na oścież okiennice, zaskoczył mnie wielce widok za oknem, stanowiący całkowity kontrast z posępnym, zielonkawym światłem wypełniającym kuchnię – lazururowe niebo, wydeptane przez kozy ścieżki, przecinające okolicę niczym kreski wyrysowane kredą, niebieskawy granit koryta strumienia, żniwiarze, nadal lekko wymachujący kosami, jak gdyby nie wymagało to najmniejszego wysiłku.

– Na kiedy będzie gotowa? – zapytałem zegarmistrza, lecz on już zniknął. Zszedłem na dół przepełniony radosnym niepokojem, mocno wspierając się na poręczy, by nie upaść.

Palilo się więcej świec, a mężczyźni siedzieli już przy stole. Włosy chłopca płonęły



złotem.

– Jest pan głodny, Herr Brandling? – zapytał Sumper.

– Proszę się mną nie przejmować – odpowiedziałem.

Frau Helga jednak już dokładała do pieca jasne, żywicze polana. Była bardzo czerwona na twarzy.

Oblicze Herr Sumpera, dla odmiany, pozostawało chłodne i obojętne. Skinął, bym usiadł obok niego.

– Ile potrważą prace? – powtórzyłem.

W odpowiedzi położył jedynie swą wielką dłoń na mojej.

– W Anglii powiedzielibyśmy, że liczy się czas – wyjaśniłem.

– Jest pan, jak również powiedziano by w Anglii, w dobrych rękach.

– Nie wątpię, lecz z pewnością wie pan mniej więcej, ile czasu potrzeba tym dobrym rękom na wykonanie prac.

– Wiem nawet bardzo dokładnie – odparł, biorąc od chłopca wilgotną zieloną butelkę z winem. Potarł go pieszczotliwie za czuprynę, a ten pisnął radośnie i uchylił się. – Bardzo dokładnie wiem, że ziści się pana największe marzenie.

– Kaczka Vaucansona.

– Pańskie największe marzenie – powtórzył.

Wyraźnie unikał wiążącej odpowiedzi. Przyglądałem się, jak nalewa wino, dając chłopcu naparstek, a następnie napełniając swój olbrzymi kufel.

– A jakie jest moje największe marzenie?

– Takie samo jak moje – odparł i nalał mi wina. – *Spargelzeit*.

– *Spargelzeit* – powtórzyłem i podniosłem kielich.

– Po angielsku – wyjaśnił dokładny mały Arnaud, który sam musiał nalać sobie wina – *Spargel* można przetłumaczyć jako jadalna kość słoniowa.

– *Königsgemüse* – dodał chłopiec swym dzwięcznym głosikiem, a zegarmistrz przytulił go mocno do swego masywnego boku.

– To królewskie warzywo – oświadczyła Frau Helga, stawiając przede mną na stole talerz z białymi szparagami i drobnymi ziemniakami w mundurkach.

A więc *Spargelzeit*<sup>[4]</sup> to nie był toast. Co gorsza, nie biorę do ust białka jajek, wątróbki, mózdzku, dorsza, węgorza, wszystkiego, co miękkie i galaretowate. Gdyby postawili przede mną półmisek pełen wijących się robaków, wyszłoby na to samo.

Moi towarzysze z Furtwangen zajadali się, wzdychając i wydając inne, raczej intymne odgłosy. W szczególności Frau Helga była tak głęboko poruszona cudownym *Spargel*, że aż poczułem się zażenowany.

Wybrałem mały ziemniaczek i zgarnąłem z niego sos.

– Proszę jeść – nakazał Herr Sumper, nadziewając na widelec długie białe warzywo przypominające tajemny narząd zjawy i wciągając je do ukrytych pod sumiastym wąsem ust. – Musimy jeszcze ustalić, ile będzie pan płacił za wikt, ale podczas tego posiłku jest pan naszym honorowym gościem.

Ziemniak smakował jak mokra szmata. Szparag leżał przede mną nagi. Odciałem końcówkę, połknąłem i popiłem winem.

Sumper zwęził oczy.

– Smakuje panu?

– Bardzo.

Przyglądał mi się badawczo.

– Nie wie pan, jak go smakować – powiedział. – Czytam w pańskich myślach.

Nie zareagowałem. Mrugnął do chłopca, który wybuchnął śmiechem. Nie było mi żal, gdy Frau Helga wymierzyła mu klapsa. Odsunąłem od siebie talerz.

– Tym więcej dla nas – powiedział Herr Sumper, rozdzielając moją porcję pomiędzy pozostałych biesiadników. Gdy obżartuchy uporali się już z moją kolacją, Sumper otarł usta i powiedział coś do Carla zza serwetki.

Chłopiec zerwał się z miejsca i pognął na górę. Do pracy, pomyślałem. Schowałem dumę do kieszeni i podążyłem za nim.

Nic lepiej nie łagodzi nadkwasoty niż towarzystwo rzemieślnika dobrze wykonującego swój zawód. Gdy rozpoczęły się prace nad pierwszym „portretem” mojej małżonki, często odwiedzałem znajdujący się we wsi warsztat mego owdowiałego przyjaciela George’a Binnsa, którego ojciec był nadwornym zegarmistrzem. Tam, pośród cichego tykania, odnajdowałem spokój. Miałem więc nadzieję, że podobnie będzie w Furtwangen. Chłopiec wślizgnął się do pracowni, lecz mnie na miejscu osadziła potężna ręka.

– Pan jesteś mecenasem – powiedział Herr Sumper, obracając mnie w miejscu, a następnie zastawiając ciałem wejście do warsztatu – a ja jestem artystą.

To było absolutnie oburzające. Żaden z niego artysta, zwykły zegarmistrz. Miałem dość artystów w miejscu, z którego niedawno mnie wyprawiono. Ty cholerny draniu, pomyślałem. Powinienem na ciebie zwymiotować.

– Nie mógłbym pracować, gdy pan stałby za plecami.

Czyli będę też musiał łykać obelgi.

– Chciałbym pomóc – powiedziałem.

– Tak – odparł. – Przyniosłem to dla pana.

Wręczył mi mocno zużytą książkę, jakby wygrzebaną ze śmieci, z piegowatymi ze starości stronicami i pogiętymi okładkami.

– To *Żywot Benvenuto Celliniego*. Po angielsku. Dowiesz się pan z niej, jakich cierpień przysparzają artystom mecenas i jak dobrze odegrać tę ważną rolę, którą pan dla siebie wybrałeś. Zanim skończy pan czytać, będę w stanie określić, jak długo potrważą prace.

W taki to sposób pozwoliłem się upokorzyć dla osiągnięcia celu. Ja, Henry Brandling, nie dość, że zgodziłem się na to, by cudzoziemski rzemieślnik udawał przede mną artystę, to jeszcze dałem się odesłać do łóżka bez porządnej kolacji.

Nie zmrzyłem oka ani na chwilę, w głowie kołatały mi się wspomnienia. Na przykład: w dzień poprzedzający wyjazd z domu powiedziałem Percy'emu, że wrócę może dopiero na Boże Narodzenie.

– To cudownie, tatku – odrzekł. – To będą niezapomniane Święta.

Odtwarzałem w myślach tę rozmowę raz po raz następnego ranka, gdy żegnałem się z moim dzielnym, zapłakany synkiem. Nie powinienem był wspominać o Świętach. Zagalopowałem się. Ale nie mogłem przecież powiedzieć: serce twojego Prawdziwego Przyjaciela pęka z bólu. Nie wiedziałem jeszcze, z czym powrócę.

– Żegnaj, głupi tatku – powiedział.

Zastanawiałem się, od kogo to usłyszał. Ucałowałem go dwukrotnie. Nie wiedziałem, czy spotkamy się jeszcze na tym padole.

Pokój, który przydzielono mi w Furtwangen, wypełniał huk niestrudzonego rwącego potoku, zagłuszający skrzypienie obracającego się koła.

Godzina po godzinie rozmyślałem o pierwszych nocach naszego małżeństwa, gdy wierzyłem, że dopóki śmierć nas nie rozłączy, i o tym, jak drżała pod ciężarem mego ciała. Bezmyślnie nazywała mnie twardym, ciężkim mężczyzną.

Przez dość długi czas byłem bogiem. Dopiero pod koniec zrobiła okrutną uwagę na temat moich piersi, kiedy lekkomyślnie zastanawiałem się na głos, czy to nie mamka zaraziła najpierw naszą córeczkę, a potem synka.

– Więc obwiniasz mnie – syknęła. – Jak śmiesz!

– Nie! – zawołałem. – Po stokroć nie.

Wtedy powiedziała, że z nas dwojga to ja mam większy biust. Powinienem być matką, jak sobie tego skrycie życzyłem. Mam obrzydliwe piersi, włochate jak u psa. Zastanawiała się, jak mogę z tym żyć.

Tylko w trakcie kłótni winiłem ją za jej słynne piersi, fałszywe obietnice, których głodnym usteczkom Percy'ego nie wolno było nawet tknąć.

W Furtwangen spałem, choć zdawało mi się, że czuwam. Obudziłem się w krainie złota, świtu, podłogi, gry światła. W rzeczywistości świt w Furtwangen był o wiele mniejszym cudem niż biały pokój mego Prawdziwego Przyjaciela w Low Hall, gdzie prosta i uczciwa irlandzka pielęgniarka za chwilę wniesie filiżankę z bulionem. Usiądą razem i będą czekać na przybycie pocziwego George'a Binnsa, który wejdzie przez ogrodową furtkę, niosąc listy ode mnie.

Och, byłem tak głodny, że aż kiszki grały mi marsza, ale Percy musi wiedzieć, gdzie dokładnie jestem. Sięgnąłem po ołówek, by napisać list w formie wskazówek, jak dotrzeć stąd do domu. Idąc w ślad za moimi instrukcjami, znajdzie Furtwangen na mapie i dowie się, gdzie powstaje kaczka, tylko dla niego jednego. Żadne inne dziecko w Anglii nie ma takiej, żadne inne dziecko na świecie. Obiecałem, że opiszę mu warsztat w najdrobniejszych szczegółach, by mógł sobie wyobrazić, że stoi u mojego boku lub siedzi przycupnięty na krokwi niczym sprytny ptaszek, spoglądając z góry na dziejące się w dole cuda.

Zaadresowałem kopertę do pocziwego, kochanego Binnsa. Ponieważ nie miałem komu powierzyć listu, musiałem się dowiedzieć, jak działa niemiecka poczta.

Zaczął się mój pierwszy dzień w Furtwangen.

W pokoju nie było nocnika, wyszedłem więc za potrzebą na dwór i obmyłem się w strumieniu, obserwowany przez gburowatego pracownika tartaku. Mogłem poprosić któregoś

z wieśniaków o nadanie listu w zamian za napiwek, lecz na pewno nie akurat tego.

Na śniadanie były tylko małe gorzkie truskawki, które jedynie wzmogły odczucie głodu. Jedyną widoczną formą życia był piszący coś pod oknem hugenot.

Zapytałem, kiedy podają śniadanie.

– Można się do tego przyzwyczaić, proszę pana – odparł.

Wrócił do gryzmolenia.

– Zastanawia się pan, co robię? – zapytał.

Nie zastanawiałem się.

– Jestem zbieraczem baśni – wyjaśnił.

To niezwykle, pomyślałem, poznałem zbieracza baśni. Co jeszcze się zdarzy?

Wyruszyłem do wioski Furtwangen, gdzie zamierzałem nadać list. To był okropny ranek. Nie ma sensu opisywać upokorzeń, które mnie spotkały. Cudzoziemcy wyraźnie nie byli tu lubiani. Jakiś chłopiec rzucił we mnie kamieniem. Nawet ksiądz nie był w stanie pojąć, co chcę zrobić z kopertą. Musiałem ustępować drogi tubylcom, szukałem poczty przy pełnych kolein drogach, a nawet przy gościńcu, i w rezultacie pobłądziłem. Całe popołudnie zabrało mi odnalezienie tartaku, a gdy wreszcie go znalazłem, byłem niewyobrażalnie głodny. Żołądek miałem ściśnięty i twardy jak kamień, chlupotała w nim wyłącznie woda.

Było już późne popołudnie, lecz na kuchni stał tylko gotujący się czajnik. Nie zamierzałem podkraść jedzenia. Wytrzymam, lecz co z Percym? Jak długo może czekać mały chłopiec?

Wreszcie zjawił się Carl. Pociągnął mnie za rękaw i poczułem wdzięczność za ten drobny przejaw życzliwości. Na kolację było to samo, co poprzedniego dnia. Ileż bym oddał za niegdyś znienawidzone dania ze szkolnej stołówki – kielbaski zapiekane w cieście, duszone buraki, smażony chleb, budyń z tapioki. Byłem już tak głodny, że z apetytem zjadłbym nawet robaki i jeszcze poprosił o dokładkę. Gospodarze patrzyli w talerze i zdawałem sobie sprawę, że są zażenowani moim brakiem manier, lecz ja nie posiadałem się z wściekłości. Po kolei wbijałem spojrzenie w każde z nich i wyzywająco czekałem na jakąś reakcję.

Stopniowo wstawali od stołu, a gdy ostatni wyszedł też Sumper, wylizałem do czysta jego talerz, do ostatniej kropli serowego sosu.

Wyszedłem w ciemność panującą na dworze, a wnętrzości wciąż skręcały mi się z głodu.

Położyłem się na wilgotnej ścieżce i podsłuchiwałem moich gospodarzy – gdakali jak kwoki obdarzone groteskowymi wąsami, na przemian wybuchając basem i sopranem, wzdychali. Czasem budził mnie ich śmiech i wtedy uświadamiałem sobie, że chrapię.

Wzeszły gwiazdy. Pod lodowatymi konstelacjami byłem mokry od rosy, lecz wstydzilem się przejść przez kuchnię, by udać się na spoczynek.

Świetnie mówili po angielsku, z wyjątkiem chwil, gdy śpiewali lub układali listy, co wydawało się ich prawdziwym hobby. Nie wiem, co składało się na owe listy, może nazwiska, nazwy wiosek lub punkty orientacyjne, po których można było do kogoś trafić, a przynajmniej tak się domyślałem. Cienki głosik tak zwanego zbieracza baśni dominował nad pozostałymi – nie mam pojęcia dlaczego, chyba że był jak jeden z tych włóczęgów, którzy znają nazwiska wszystkich gospodarzy z okolicy, wiedzą, który jest „frajderem”. Gadali i gadali. Jak nie listy, to ludowe piosenki. Jak nie piosenki, to świerszcze.

– Na litość boską, umrze pan.

Sumper pomógł mi wstać i zaprowadził do kuchni. Posadził mnie przy stole i przyglądał się uważnie, z ojcowską troską. Frau Helga podała mi talerz owsianki. Sumper obserwował, jak jem.

- Co pan wyprawia, Herr Brandling?
- Muszę wysłać pilny list do syna.
- Jutro – powiedział, nieświadomy powagi sytuacji.

Rankami obserwowałem z okna sypialni, jak dziwny Carl o jasnych oczach biegnie gdzieś, skacząc po koziej ścieżce i machając do żniwiarzy, i powraca po paru godzinach z pakunkiem, koszem albo niewielkim wyrzuceniem w kieszeni, wnosi ów tajemny sprawunek po schodach, wzdłuż nasypu, puka do drzwi, puk-puk, i witany jest albo okrzykiem triumfu, albo przygany.

Miał niezwykle dłonie, tak długie i wąskie, że aż prosiły się o dodatkowy zestaw stawów. Sumper wprost uwielbiał chłopca. Nazywał go Geniuszem, Duszkim i wieloma jeszcze wyszukanyimi mianami, tak że zacząłem podejrzewać, że to właśnie te niesamowite dłonie konstruują maszynę Percy'ego.

Nie odrywając wzroku od cerowania, Helga powiedziała:

- Panie Arnaud, niech pan pokaże mu naszą nową skrzynkę pocztową.
- Już się robi – odrzekł Arnaud, lecz od razu gdzieś zniknął. Kiedy powrócił, wciąż siedziałem w izbie, jedząc kolację.

Gdy uprzątnięto resztki posiłku, oznajmiłem, że idę sam znaleźć skrzynkę pocztową. Zbieracz baśni zerwał się na równe nogi.

– Czy ma pan już gotowe listy, Herr Brandling?

Zobaczyłem, że łotr jest ubrany „wyjściowo”, w ciemnozieloną aksamitną kamizelkę i bryczesy, solidne buty i szeroki skórzany pas, który zacisnął mocniej wokół szczupłej talii.

– Nie mam znaczków – powiedziałem.

– Mam znaczki w pięknych kolorach – odparł. – Są potrzebne, by wysłać list do Anglii.

A w zasadzie dwa listy, czyż nie?

Wiedziałeś o tym cały dzień, pomyślałem. Za chwilę się ściemni.

– Powinniśmy wziąć latarnię.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Przyświeci nam księżyc?

– Mam oczy jak kot – powiedział ów dziwak. I ruszyliśmy w dół, zanurzając się w chaosie i pyle wodnym wypełniającym gardziel wąwozu.

Gdy wyłoniliśmy się po chwili po jego drugiej stronie, świat stał w płomieniach koloru złotej słomy. Znow słyhać było śpiew ptaków i pobrzękiwanie łańcuchów, którymi przywiązane były pasące się przy strumieniu trzy miniaturowe kozy.

– Moja matka była kocią – powiedział zbieracz baśni, jak gdyby było to coś zupełnie zwyczajnego.

Nic nie odpowiedziałem. Muszę przyznać, że przerażają mnie bajki. Nie dlatego, że w nie wierzę, lecz dlatego, że nie mogę przestać wyobrażać sobie złej macochy zmuszonej na przykład do tańca w rozgrzanych do czerwoności żelaznych trzewikach. Jakich to okrucieństw dopuszczamy się na co dzień my, ludzie.

Okazało się, że wioska jest bardzo blisko. Wrzuciłem listy do żelaznej skrzynki ozdobionej złotymi generalskimi frędzlami. Wyszliśmy za zakręt i ujrzałem stojące blisko siebie urokliwe domki o spiczastych dachach, nisko zwisających okapach i drewnianych schodach, a opodal skąpaną w ostatnich promieniach zachodzącego słońca pomalowaną na żółto gospodę, teraz jaśniejącą złotem.

– To gospoda, Herr Brandling – powiedział nieśmiało Arnaud, a ja wreszcie pojąłem, dlaczego kazał mi czekać cały dzień.



Zbieracz dawnych okrucieństw był drobinką, okruszkiem zaledwie, z bujną czupryną kręconych, szpakowatych włosów. W tartaku nie wydawał się bardziej ekscentryczny od pozostałych jego lokatorów, lecz w wioskowej gospodzie jego nader oryginalny wygląd bardziej rzucał się w oczy: delikatna cera, pół mężczyzna, pół dziecko, z głową pozostającą w idealnych proporcjach do reszty ciała.

W tartaku zachowywał się zupełnie naturalnie. W gospodzie był nerwowy jak ptaszek, serce nieustannie podchodziło mu do gardła, jak gdyby wszystko, nawet pojedyncze ziarno pszenicy, stanowiło dla niego śmiertelne zagrożenie. Może dostrzegał cień przemocy w butelkach ze sznapssem, może łamało go w protestanckich kościołach w tej katolickiej atmosferze, może przeszkadzał mu gęsty dym, a może przerażające fizjonomie Żydów i Niemców grających w karty i kłócących się w zbyt wielu językach, by można było je zliczyć.

Karczmarka, postawna i ruchliwa kobieta, jakie widuje się na starych rycinach, ciepło powitała pana Arnauda, znalazła mu stolik i przyniosła ser i po małym piwie, zanim nawet zdążyliśmy zamówić. Zauważyłem, że jest bardzo miła.

Arnaud nachylił mi się do ucha.

Co wiem o Herr Sumperze? Dlaczego przyniosłem mu plany? Dlaczego nie zleciłem prac któremuś z zegarmistrzów z Karlsruhe, gdzie z pewnością mogły być wykonane?

Hola, hola, pomyślałem. Nie ma mowy, bym po raz kolejny popełnił błąd i nadmiernie komuś zaufał.

Zapytałem go w odpowiedzi, jak on sam trafił do grona znajomych Sumpera.

Nalał na chusteczkę kilka kropli olejku eterycznego i przyłożył ją do zatkanego nosa. W blasku świec jego nozdrza wyglądały na przekrwione.

Dlaczego, pytał, nie poprosiłem Sumpera o przedstawienie referencji?

Może byłem naiwny, lecz wydało mi się, że wiem, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa: miał zamiar mnie poinformować, że padłem ofiarą szajki przestępców, a on, za odpowiednim wynagrodzeniem, gotów jest uratować mnie z ich rąk.

Mówiąc, nachylił się w moim kierunku, lecz spoglądał w dół, jak kura, która wypatrzyła smacznego robaka.

Czy nie interesuje mnie, w jaki sposób Herr Sumper zbiegł z wioski przed laty?

Nie patrzył na mnie. Drobnymi łyčzkami sączył piwo. Powiedział, że nie wyglądałem na kogoś łatwowiernego.

Zapewniłem go, że tak nie jest.

No tak, dodał, jakby mnie tłumacząc: Herr Sumper jest potężnie zbudowanym mężczyzną. Ludzie boją się coś przeciwko niemu powiedzieć. Trudno, bardzo trudno dowiedzieć się prawdy.

Obejrzał się przez ramię, jakby w obawie przed atakiem, podczas gdy jego jedynym prawdziwym celem – z pewnością – było złowienie mnie na przynętę.

Czy ON się nie boi?

O nie. Zbieracze baśni są przyzwyczajeni do wszelakich niebezpieczeństw. To brutale siedzący tu, w gospodzie, boją się Sumpera. Zegarmistrz wrócił z Anglii wyposażony w „niezłomne poglądy”. Oznajmił, że ma „lepsze kwalifikacje”, co wprawiło w zdumienie tych, którym wcześniej nawet do głowy nie przyszło, że do bycia zegarmistrzem potrzeba innych „kwalifikacji” niż te niezbędnne do jazdy na osle czy opróżniania jelit.

Mniej gwałtowny człowiek nie przetrwałby, lecz Herr Sumper to Herr Sumper. Wybierając się na tańce, zawsze ma w kieszeniach z tuzin ciężkich żelaznych toporków – nazywają je tu *speidel* – służących do rozłupywania drewna, więc nawet cieszący się złą sławą robotnicy z kamieniołomu schodzili mu z drogi. Największym szczęściem dla niego jest przetańczyć cały dzień i całą noc, zatrzymując się tylko podczas przerw pomiędzy piosenkami. W trakcie tych krótkich pauz bez opamiętania pije wino, kwarta za kwartą.

Żeby nie stracić rachuby, ile wypił, za każdym razem odrywa od ubrania guzik, najpierw od czerwonej kamizelki, potem od żakietu, a pod koniec wieczoru, uiszczając rachunek, odbiera je od karczmarza.

Oto człowiek, któremu powierzyłem zadanie ocalenia Percy'ego. Nie miałem ochoty słuchać o tym, że stary tartak jest najbardziej „zacofanym” miejscem w całej okolicy. Zbieracz bajek chyba to wyczuł, bo powiedział, że trudno o lepsze miejsce do utrzymania w tajemnicy realizacji tak zaawansowanego zadania. Powszechnie sądzono, że Sumper wykorzystuje ustronną lokalizację tartaku do potajemnego handlu świętokradczymi kukułkami.

Było to mizerne pocieszenie. Zapytałem, jak taki zegar miałby właściwie wyglądać.

Pan Arnaud nie wiedział, lecz był pewien, że wygląd zegara byłby w zupełności zgodny z ateistyczną naturą zegarmistrza. Jeśli chodzi o jego umiejętności techniczne – na podstawie rozmów na tematy bliskie Arnaudowi, jak na przykład metalurgia – uważał, że Sumper bynajmniej nie jest prostakiem. Wręcz przeciwnie.

Czy istotnie jest tak „zaawansowany”, jak twierdzi?

Arnaud nie odpowiedział.

Opowiedział natomiast, że ojciec Sumpera był ignorantem jak każdy inny właściciel tartaku, równie brutalnym jak syn. Jego ulubioną rozrywką było zgniatanie w kulkę blaszanych talerzy używanych w gospodach.

Wciąż rozpamiętuje się dzień, gdy zabronił młodemu Sumperowi iść na przyjęcie weselne, nakazując mu w tym czasie zająć się tartakiem. Jak zapewne zauważyłem, w tym roku nie spławiono drzewa rzeką, a to z tego powodu, iż Sumper wynajmuje aktualnie tartak zwolennikom Kropotkina<sup>[5]</sup>, a oni nie mogą się dogadać w żadnej sprawie. Pnie drzew powinny być spławione w dół rzeki na długo przed moim przybyciem, powiązane w tratwy o długości blisko stu metrów i szerokości od dziewięciu pali przy rufie do trzech przy dziobie. Budowę takiej właśnie tratwy miał nadzorować Heinrich Sumper, podczas gdy inni tańczyli na weselu.

I wtedy postanowił, jak to się mówi, wyruszyć w świat. Chyba nie pożegnał się nawet z rodzicami i miast pokierować tratwę do któregoś z tradycyjnie obieranych portów, pożeglował (tak przynajmniej donosiły policyjne raporty) w dół Renu (co, jak się niebawem zorientowałem, jest geograficzną niemożliwością). Wsiadł gdzieś na brzeg, zaopatrzonej w nikomu nieznaną sumę pieniędzy i jakoś przeprawił się do Anglii, gdzie, jak twierdzi, odebrał staranne wykształcenie.

Ludzie nadal pamiętali, że drewno rozkradziono, a rodzice Sumpera stracili pieniądze. Być może spłacił dług angielskim złotem, lecz któż to wie? Po jakimś czasie na poczcie pojawił się list z Londynu. Oczywiście otworzyć go mogli tylko rodzice, a gdy oboje zmarli dziesięć lat później, poszukujący Sumpera prawnik znalazł jedynie testament, który nigdy nie został zmieniony.

I w taki oto sposób syn marnotrawny odziedziczył tartak.

Podczas rozmowy Arnaud nieprzerwanie zamawiał kolejne dania, na które miał ochotę. Kroił białe ser w cieniusieńkie plasterki i pogryzał go drobnymi szczurzymi ząbkami.

Powiedział, że może mi pomóc jak nikt inny. Napomknął, że ma o wiele większe możliwości, niż to się może wydawać.



Gdy zamówił kolejne piwo, pomyślałem, że może jest szpiegiem jakiegoś barona. Zaczął mi szeptać do ucha coś na temat Frau Helgi. No cóż, niech sobie plotkuje, choć otwarcie mu powiedziałem, że ta kobieta w ogóle mnie nie interesuje. A więc głupi mąż Frau Helgi, zdradził mi Arnaud, wziął ze sobą Carla, by świętować „zwycięstwo” tak zwanej rewolucji robotniczej. Zastrzelono go na jej oczach, a kula, nim przebiła mu serce, poważnie uszkodziła nóżkę niemowlęcia.

Jako typowy przedstawiciel okrutnej rasy zbieraczy baśni, Arnaud znajdował wiele przyjemności w tym dramacie. Wydymał usta. Kroił ser w plasterki. Byłem tak zły, że nie mogłem się skupić na opowieści aż do momentu, gdy matka i osierocony chłopiec trafili do Furtwangen, gdzie mieszkał przychylny im niegdyś wuj. Niestety, ciągnął zbieracz baśni, w przeddzień ich przyjazdu wuj padł trupem pośrodku rynku.

Niestety? Czy to nie właśnie takie okrucieństwa losu uwielbiają przedstawiciele twojego cechu? Dziecię traci rodziców, umiera, gubi się w lesie, zostaje kaleką do końca życia.

Niscy mężczyźni są największymi okrutnikami. Opowiadał, jak Helga znalazła schronienie u księdza, pomyślałem więc: dzięki Bogu przynajmniej za to, lecz oczywiście później ksiądz wyrzucił ich na bruk.

Co za nikczemny, podły gnojarsz z ciebie, pomyślałem, toczący kulkę ulepioną z ludzkiego nieszczęścia.

Potem pomyślałem, do czarta z tobą. Nie myśl sobie, że zapłacę rachunek. Wyszedłem z gospody, oczywiście niewłaściwymi drzwiami, i od razu straciłem orientację w terenie. Znów zagubiony, wiecznie zagubiony. Co za bufon. Karzełek znalazł mnie i zaprowadził do domu, wszak jego matka była kocicą. Co się stanie, gdy umrzemy? Kto powie prawdę?

<sup>[3]</sup> Krótkie skórzane spodenki na szelkach, typowy element stroju bawarskiego.

<sup>[4]</sup> *Spargelzeit* – z niemieckiego: sezon na szparagi.

<sup>[5]</sup> Piotr Aleksiejewicz Kropotkin, rosyjski uczonek, rewolucjonista i anarchista, zwany anarchistycznym księciem.

## ***Henry i Catherine***

# 1

Byłem zamożnym człowiekiem – pisał Henry Brandling, a Catherine czytała – przyciągałem więc zwykle szkodniki. A jednak moje przeszłe i obecne lęki i cierpienia nie mogły się równać z tymi, których doświadczyła ta nieszczęsna Niemka.

Catherine domyśliła się, że Henry ma na myśli Frau Helgę.

Ona i ja, pisał Henry Brandling w 1854 roku, oboje wiedzieliśmy, że dziecko potrafi być najcudowniejszą muzyką dla duszy rodzica, ale jednocześnie mrozić mu krew w żyłach i napełniać go nieustannym lękiem i trwogą. Widziałem, jak kładła Carlowi dłoń na ramieniu i płowej główce. To było coś, o czym pan Arnaud nie miał pojęcia.

Szczyt zarozumiałstwa, pomyślała Catherine Gehrig w Londynie sto pięćdziesiąt siedem lat później, pijana wściekłością i koniakami. Jakże żalosne jest to jego pompatyczne rozróżnienie: miłość do dziecka miałaby być lepsza niż miłość do dorosłego? To niedorzeczne.

Biedny, nudny, zaślepiony głupiec z wyższych sfer nawet się nie domyślał, że jego czytelnikiem będzie bezdzienna kobieta. Nie wmawiaj mi, że nie wiem, co to miłość, ani że znana mi miłość jest w czymkolwiek gorsza. Mnie miłość wyrwała trzewia.

Rzuciłam brulionem przez cały pokój. Wylądował w kuchni, jego poszarzałe kartki rozsypały się jak suche liście.

Niech Matthew widzi, co się ze mną dzieje.

Po tej katastrofie jedyną rzeczą, która ocalała z zeszytu, okazał się rachunek na nazwisko monsieur Sumpera. Dokumentował zakup dużej ilości srebra.

Nie mogłam znieść, że tak się daje okradać tym oszustom, lecz te ciągłe bzdury o dzieciach były równie oburzające, choć w jakiś sposób wytłumaczalne. Nie powiedział *wyraźnie*, że miłość rodzicielska jest wyższą formą miłości niż inne, lecz jasne było, że tak właśnie uważa. Oczywiście, że nie życzyłam mu źle. Było mi go żal. Ale to ogólnie znany fakt, że ludzie ubóstwiający swoje dzieci stają się głusi i ślepi na łatwe do przewidzenia konsekwencje takich relacji, które często kończą się ucieczką w heroinę, samobójstwem, nudą lub alienacją. Marzą o idealnym uczuciu, a czeka ich jedynie perspektywa karczemnych awantur.

Na widok każdego mężczyzny w wieku Matthew lub starszego ogarniała mnie nienawiść do niego za to, że żyje. A jednak nie łudziłam się, że będziemy żyć wiecznie, wręcz przeciwnie. Każdego ranka, gdy Matthew był mój, trzymałam go, zamykałam w dłoniach niczym modlitwę, wypełniałam nim płuca, jego noga między moimi, więc muskałam go – jak inaczej mogłabym to nazwać? każde dokładniejsze określenie byłoby wulgarne – muskałam go najdelikatniej, jego nos tuż przy moim oku, właśnie tam, tuż przy gruczołach łzowych, tych skomplikowanych urządzeniach, kocham cię, kocham cię, kocham cię każdego ranka i każdej nocy.

Byłam przy ojcu, gdy umierał. Po całych dniach spędzonych na intensywnej terapii niełatwo jest zapomnieć, jak działa i obumiera ludzkie ciało. Nietrudno sobie później wyobrazić nasyconą tlenem krew, kolor płynów, które nas wypełniają, mnie, jego. Widziałam, jak oczy Matthew zwężają się w uniesieniu, tę ukochaną twarz, wysokie, szorstkie, delikatne ciało, jego twardą jedwabistość. Wypłabym go do ostatniej kropli.

Nasz ekstatyczny pragmatyzm napełniał nas dumą. Nie mieliśmy dusz, lecz żyliśmy chwilą, jak fala oceanu, jak zwierzęta. Sądziliśmy, że blask naszej miłości czyni nas doskonałymi. Co za szkoda, że nie mieliśmy dusz.

W pobliżu Beccles, latem, gdy srebrne światło poranka odbijało się od folii izolacyjnej, brał mnie od tyłu, obejmując dłońmi mój brzuch, a ja myślałam, że chce, bym zaszła w ciążę.

Jego dzieci były bezpiecznie ulokowane w szkołach z internatem, dokąd mógł wysłać listy miłosne. Czasami, gdy przywoził je do stajni, by razem z nimi popracować, traciłam cały weekend, dwa cenne dni chirurgicznie usunięte z życia. Kochałam go za to, jak je kocha, choć czasem myślałam, że są rozpuszczonymi bachorami. Kiedy uzdolniony matematycznie syn narzekał, że w Beccles jest nudno, byłam oburzona, a jednocześnie przeszczęśliwa, że odzyskam należne mi miejsce.

Może naprawdę, pomyślałam, jego miłość do synów była ważniejsza, przynajmniej czasami. Moim rozmyślaniami nie było końca. Śniłam na przykład o kobiecie pochowanej pod podłogą stajni. W moim śnie zabiłam ją i zapomniałam o niej.

Nie powinnam była cisnąć brulionem Henry'ego Brandlinga. Nikt, nawet Matthew, zwłaszcza Matthew, nie podejrzewałby mnie o takie zachowanie. Nikt nie uwierzyłby, że konserwator pracujący w muzeum byłby do tego zdolny, niezależnie od okoliczności. Brulion szybował w powietrzu, trzepocząc stronami, nie do ocalenia, rozpadając się po drodze. Skonał w locie i opadł na ziemię jak martwa ćma. Załkałam na widok zniszczenia, którego się dopuściłam, i nie były to łzy konserwatora, lecz nieszczęśliwej pijanej kobiety, wściekłej na przyzwoitego mężczyznę.

Znalazłam wódkę tam, gdzie ją schowałam sama przed sobą. Było już zapewne po północy. Żałowałam, że nie mam kokainy. Chętnie doprowadziłabym się na krawędź zagłady używkami. Pijąc wódkę, uświadomiłam sobie, że Herr Brandling nie zadał sobie trudu wyjaśnienia zagadki miedzianych kabli, więc może nigdy nie poznam jej rozwiązania. Potem pomyślałam: Henry, jesteś tępy jak but. Naprawdę, kim trzeba być, aby stojąc przed tartakiem w Szwarzwaldzie, porównać MIEDZIANE KABLE do linek namiotowych prowadzących ze szczytu dachu do SKRZYNEK leżących na ziemi i ani razu (dotychczas) nie zapytać nikogo, czemu właściwie służą.

Pamiętam cię, mój Matty T. Pamiętam, jak się ze mną kochałeś. Pamiętam twoje szare oczy, najpierw zmrużone, potem szeroko otwarte i słodkie, różowe wnętrze twoich ust. Nie miałeś ani jednej plomby. Moje usta są pełne czarnych amalgamatów. Pamiętam twe okrzyki pulsujące wewnątrz mnie. Pamiętam, jak trzymałeś mnie w ramionach na stacji Waterloo, rozszlochaną i splakaną. Pamiętam, jak mnie uspokoiłeś. Pamiętam, jak zostawiłeś mnie w taksówce i myślałam, że umrę.

Nie pamiętam o tym, że nie żyjesz. Nie pamiętam o tym, że Henry Brandling nie żyje. Zmiotam jego kruszejące popioły na zgrabną szufelkę. Wydawała mi się tak świetnie zaprojektowana. Jakże banalne było moje dawne życie – radowała mnie szufelka do śmieci i nawet nie przypuszczałam, że użyję jej, by zebrać kości i popioły Henry'ego Brandlinga i wyrzucić je do wiadra.

Oto, co zostało z historii Frau Helgi opowiedzianej Henry’emu Brandlingowi, a teraz leżącej w strzępach na kuchennym stole w moim mieszkaniu w północnym Lambeth w kwietniu 2010 roku.

Frau Helga nie przepracowała w gospodzie nawet dwóch dni, gdy ksiądz (powiedział jej), że nie może dłużej mieszkać pod jego dachem po(nieważ) jest barmanką. Gdyby ksiądz nie miał problemów z pamięcią, wiedziałby, że zachował się nie do końca tak, jak powinien. Niechący podrapała go po twarzy.

Chlebodawczyni... pozwoliła jej nocować w kuchni w gospodzie. Druga barmanka była rozwódką, która uciekła od męża, ponieważ...

Druga barmanka zaproponowała, by zamieszkały wraz z Frau Helgą w opuszczonym tartaku Sumperów.

Tartak... rozmaite urzędnicy brzęczały na wietrze... trzeszczały... druga barmanka wróciła do męża... sama... ktoś przesuwiał meble po podłodze... dziecko Helgi spało... żelazny pogrzebacz i zejść na dół... mężczyzna... tańczył... upadł na ziemię pijany.

Ukryła się w cieniu... będzie musiała go zabić... wrzucić zwłoki do rzeki...

Daj mi ten pogrzebacz, powiedział nieznajomy. Wziął go do ręki i zgiął na kolanie jak łodygę selera. Zgiął żelazny pręt, twarz mu poczerwieniała i obnażył zęby, ukryte wcześniej pod wąsami. Nie bój się, powiedział.

To wszystko, co udało mi się uratować. Zasnąłam przy stole i obudziło mnie pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to Matthew. Czasami tak się zjawiał, choć nie często. Ze strachu byłam jak sparaliżowana, oblał mnie zimny pot, w ustach mi zaschło, a głos uwiązał w gardle. Zasłony były rozsunięte, a okno otwarte, więc ktokolwiek był w ogrodzie, mógł mnie widzieć jak na dłoni.

Ten ktoś – kimkolwiek był – przeszukiwał teraz posegregowane przeze mnie śmieci. Usłyszałam pobrzękiwanie butelek i nagle zrobiło mi się wstyd. Na kolanach przeczołgałam się do sypialni, zostawiając w kuchni włączone światło.

To zwolnienie lekarskie to jakiś horror. Rano wiedziałam już, że nie będę w stanie z niego skorzystać. Zjadłam trochę suchego chleba, by nie łykać środków przeciwbólowych na pusty żołądek, i zostawiwszy wstydlivy bałagan na stole, ruszyłam do metra, gdzie znów omal nie dopadła mnie klaustrofobia. Nie jestem w stanie tego zrobić, pomyślałam. Nie mam wyjścia, pomyślałam.

Moje wyczerpanie fizyczne spotkało się z życzliwą troską ze strony ochroniarzy. Pomyślałam, że bez setki wódki nie uda mi się zachowywać wiarygodnie.

Wjechałam windą razem z drobną, wysportowaną lesbijką z działu ceramiki – chyba ma na imię Heather. Była tak pogodna i pełna życia. Przyjechała do pracy na rowerze i widać było, że z trudem powstrzymuje się od truchtania w miejscu.

– Ciężka noc? – zapytała.

Zauważyłam, że ma przepiękną, idealną cerę. Nawet nie wie, że kiedyś umrze.

– Przeleciałaś przez chmurę pyłu wulkanicznego w drodze do pracy?

Gdybym rzuciła okiem na gazetę, wiedziałabym, że w Islandii doszło do potężnej erupcji wulkanu, która uziemiła większość linii lotniczych na całym świecie, lecz nie musiałam wcale czytać „Guardiana”, by zrozumieć aluzję. Chodziło o to, że jestem na kacu. Narąbałam się, nawaliłam, skułam, dałam w palnik, schlałam się jak świnia, zbetoniłam, urznęłam się w trupa.

Uwielbiam stosunek mojego kraju do alkoholu. Jak miałabym przeżyć w Stanach Zjednoczonych? Pewnie zamiast uciekać w alkohol, dołączyłabym do grupy wsparcia dla osób przeżywających żalobę.

Mój identyfikator był nieświadomy stanu chemicznego, w jakim się znajdowałam. Przeprowadził mnie przez dwoje pilnie strzeżonych drzwi, jakbym była zdrowa na umyśle i trzeźwa. Moja pracownia była oczywiście, jak zwykle, otwarta.

Pomyślałam, że już zawsze tak będzie.

Gdy nałożyłam gumowe rękawice i przystąpiłam do oględzin pierwszego ze szklanych pręcików, co absolutnie nie należało do moich zadań, dopiero dochodziła dziewiąta.

Zanim przystąpi się do konserwacji lub renowacji przedmiotu, należy zwołać spotkanie w sprawie procedur.

Ale nie byłam w stanie z nikim rozmawiać.

Położyłam go na stole i uważnie mu się przyjrzałam. Zadaniem tych rurek, wzmiankowanych na rachunku wystawionym Herr Sumperowi, było udawanie wody. Kaczka układała swój sztuczny odbył na obracających się wokół własnej osi pręcikach, zjadała rybę, srała i naśladowała życie na wszelkie inne sposoby, które wymyślił osiłkowany zegarmistrz. Gdzieś musi być odblaskowa płytka, umieszczona pod pręcikami dla wzmocnienia efektu płynącej wody.

Może szklanymi rurkami powinna się zająć mała Heather, ale naprawdę nie miałam ochoty z nią rozmawiać. Nie miałam też ochoty zaglądać znów do drewnianych skrzynek, by znaleźć nie wiadomo co, na przykład zabalsamowane ciało Percy'ego Brandlinga, z wyłamaną szczęką, by wyglądał „spokojnie”.

Heather powinna być mi wdzięczna, że chciało mi się samej usuwać tłuszcz i smar ze środka pustych rurek. Bardzo trudno będzie je wyczyścić, ale ja chętnie to za nią zrobię. Użyję cienkich mosiężnych pręcików z nawiniętą na końcu watą. A jeśli procedury obowiązujące w Swinburne w swojej wiktoriańskiej mądrości okażą się skłonne do przekazania mi tego zadania, może mój ból przestanie narastać.

Przed oczyszczeniem szkła będę musiała zdjąć z każdej rurki mosiężną tulejkę. Pasowały one zapewne do jakiegoś jeszcze nie odnalezionego przeze mnie mechanizmu, który wprowadzał pręciki w ruch. Przede mną dotykały ich kolejne pokolenia pragmatyków, którzy pozostawiali na nich resztki żywicy, gipsu i silikonu, a ja będę musiała teraz cierpliwie, pracochłonnie i pomysłowo je usunąć.

Proszę, niech dane mi będzie dokończyć tego zadania.

Proszę, nie bądźcie tacy drobiazgowi.

Mogę się tym zajmować w samotności, dopóki nie ozdrowię lub sama nie umrę.

Pierwszy pręcik ktoś potraktował czarną smołą, tak jak dzisiejsi amatorzy używają kleju błyskawicznego – czyli pomazał szkło smołą, a następnie wetknął je w tulejkę i przycisnął, dopóki nie wyschła. Różnica temperatur uszkodziła szkło. W tej sytuacji naprawione rurki będą nieco odbiegać od swojej pierwotnej długości, a różnica nawet kilku milimetrów może bardzo utrudnić ich ponowne zamontowanie.

Otworzyłam skrzynkę mailową. Przeczytałam: DOTYCZY: SPOTKANIE W SPRAWIE PROCEDUR.

Skasuj.

Nie ruszyłam się z krzesła obrotowego i wpatrywałam się w szklany pręcik w oczekiwaniu na dziesiątą, kiedy otwierają monopolowy i będę mogła kupić flaszkę wódki.

Nie martwiłam się ani piciem, ani kradzieżą brulionów, choć oba te występkę mogły mnie kosztować utratę pracy. Gryzłam się za to drobnym wykroczeniem – postanowiłam przystąpić do

pracy, nie uczestnicząc najpierw w spotkaniu ustalającym procedury postępowania.

Nie mogłam więc zwrócić się z oficjalną prośbą do szefa działu. Zamiast tego pójdę do Glenna, dozorca budynku, który w swej nieświadomości chętnie da mi potrzebne druty spawalnicze i waciki.

Znalazłam Glenna w jego norze i kiedy „lokalizował” druty spawalnicze i waciki, poszłam do monopolowego, gdzie usłyszałam, że Londyn jest najsuchszą stolicą świata. Podobno mieli nam wybudować stację odsalania wody morskiej. Wyraziłam zdumienie. Wsunęłam butelkę do mojej pięknej torby i ponownie przeszłam przez stanowisko ochrony.

Dziesięć minut po dziesiątej siedziałam przy stole, dokonując oględzin zakurzonych szklanych rurek. Zapewne mój obecny dentysta w ten sposób zaglądał mi w usta podczas pierwszej wizyty, dostrzegając w nich ślady pracy piętnastu różnych miernych stomatologów, którzy opiekowali się moim uzębieniem w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Czulałam, jak wódka spływa w dół przełyku i rozgrzewa mi krew.

Pomyślałam, że właśnie tak czuł się mój ojciec, każdego dnia. To dlatego wysłali mnie do szkoły z internatem w High Wycombe. Kiedy umarł, nieustannie znajdowaliśmy genialnie pochowane butelki, ukryte w starannie wykonanych trumienkach, które konstruował pod pozorem naprawy kabli biegnących pod podłogą, w suficie albo w szafce ściiennej. Był bardzo skrupulatny i cierpliwy. Zasługiwał na zajęcie dużo lepsze niż wymiana baterii i pasków i dałabym wszystko, by mógł wykonywać moją pracę, wykorzystywać w pełni swój niestrudzony dociekliwy umysł do rozszyfrowywania mechanizmów. Musiało być dla niego torturą to, że żyłam życiem, jakiego on pragnął dla siebie.

Czasami chodził na pogadanki organizowane w siedzibie cechu i przyprowadzał wykładowców do domu na kolację – musiał być bardzo samotny. Wiele czasu zajęło mi zrozumienie, że ja, jego córka, jestem edypowym synem.

Spirytus mineralny nieźle sobie radził ze smołą. Akurat delikatnie oddzielałam mosiężną tulejkę od pierwszej rurki, gdy do pokoju wszedł Eric Croft.

Spojrzałam mu prosto w przekrwione oczy.

– Na litość boską, Catherine, proszę. Idź do domu.

– Otwieram mój prezent, tak jak powiedziałeś.

Czy bełkotałam? Uważnie mi się przyglądał.

– Jeśli chcesz przystąpić do pracy, musimy zorganizować to cholerne spotkanie w sprawie procedur. Chcesz mi narobić kłopotu?

– Czuję się już dużo lepiej.

– Catherine, kochanie, oboje dobrze wiemy, że bez spotkania się nie obejdzie.

Znów ktoś zapukał. Mała lesbijka otworzyła drzwi łokciem i weszła do środka, niosąc w każdej ręce kubek z kawą. Część mnie odczuła wzruszenie, reszta przerażenie.

– Przepraszam – powiedziała, patrząc nie na mnie, lecz na leżące na stole pręciki i rozpuszczalniki. Wtargnęłam bez przyzwolenia na jej terytorium. Wycofując się pospiesznie, rozlała kawę.

– OK – powiedziałam i sięgnęłam po pręcik, by go odłożyć na miejsce.

Nie wiem dokładnie, co nastąpiło później, pamiętam jedynie, że Croft chciał mi w tym przeszkodzić, wskutek czego rurka wysliznęła mi się z ręki i pionowo upadła na wykładaną kafelkami posadzkę. Odbiła się w górę na piętnaście centymetrów i złapałam ją w dłoń.

Żadne z nas się nie odezwało.

Odłożyłam rurkę do stojaka, a tulejkę włożyłam do plastikowego woreczka, na którym równym pismem napisałam „Tulejka nr 1”.

Eric podał mi torebkę.

– Chodź – rzekł. – Zabiorę cię do domu.

Uprzytomniłam sobie, że tam czeka rozsypany w drobny mak Henry Brandling. Eric nie może go zobaczyć.



Crofty pobiegł za taksówką, która cofnęła się z piskiem na wstecznym biegu.

– Kennington Road – powiedział.

Ale z ciebie gumowe ucho, pomyślałam, lecz nie znał numeru domu, więc nic się nie stało.

– Ericu, uprawiałeś kiedyś sport?

– W wojsku – odparł, rumieniąc się.

– Nie byłeś kiedyś żeglarzem?

Klepnął otwartą dłońią w nadgarstek i wziął w dwa palce martwego komara.

– Komar tygrysi – oznajmił.

– Słucham?

– Azjatycki komar tygrysi.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Sądziłem, że regularnie czytasz „Guardiana”?

– Nie jestem w stanie czytać – powiedziałam i znów przypomniałam sobie o Henrym Brandlingu i o tym, że Eric pod żadnym pozorem nie może zobaczyć, co ukrywam w domu. Gdy stanęliśmy pod drzwiami mojego mieszkania, nie miałam już żadnych szans na obronę.

– Ericu, zaczekaj chwilę.

Ale on już podnosił z ziemi pocztę, którą dostałam.

Pomiędzy różnymi śmieciami i ulotkami z supermarketu Waitrose znajdowała się spora koperta, którą wyrwałam mu z ręki.

– Poczekaj – powtórzyłam. – Zostań tu, pooglądaj książki. Muszę trochę sprzątać.

Proszę.

Znalazłszy się w kuchni, włożyłam fragmenty zniszczonego brulionu Brandlinga do koperty. Suche martwe strzępy opadły powoli na podłogę.

– Co tu się, do diabła, wyczynia?

Oczywiście przyszedł za mną, by mnie szpiegować. Na moje szczęście sąsiad z góry akurat ćwiczył w ogrodzie krótkie uderzenia golfowe, a Crafty był zawsze bardzo wyczulony na przedstawicieli śmietanki towarzyskiej.

– To ten jak mu tam.

– Zgadza się. – Zdjęłam ze stołu butelkę po koniaku i wstawiłam ją pod zlew.

– Spiker Izby Gmin?

– Emerytowany – dodałam. Odwracając się, dostrzegłam, że bliskość Znanego Człowieka wcale nie odwróciła uwagi Erica Crofty’ego. Bez pozwolenia otworzył moją torbę i wyjął z niej flaszkę wódki i skradzione zeszyty.

Żadne z nas nic nie powiedziało. Pozbawione wyrazu twarze niczego nie sugerowały. Bez słowa podał mi bruliony, a ja zaniiosłam je do sypialni. Pod moją nieobecność otworzył wszystkie okna i usadowił się przy kuchennym stole. Wybebeszona torba leżała na krześle obok.

– Jesteś cholernie uparta, Catherine.

– I troszeczkę szalona, przepraszam.

– Jak rany, nie stój tak nade mną. – Przysunął mi kieliszek z wódką. – Siadaj.

Opróżniłam go na stojąco.

– Biedna Cat.

Nie chciałam, żeby mówił do mnie Cat.

– Nie zamierzam spotykać się z terapeutą, jeśli chodzi ci to po głowie – powiedziałam.  
Wódka ostro paliła mnie w gardle, jak rozpuszczalnik.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy coś podobnego?

– Nieistotne.

– Chodzi o to, że musimy udobruchać gmach.

Chodziło mu o Swinburne, wielką mechaniczną bestię drzemiącą wewnątrz georgiańskiej kostki stojącej przy Lowndes Square, podsłuchy, członków zarządu, zasady, schody, tajemnice, Crowley's Hole, gdzie ktoś się powiesił, cały ten skomplikowany szkopski system wybiegów dla szczurów, jakim staje się dwustuletni budynek w przestrzeni XXI wieku. Przepiękny, zdumiewający, chaotyczny, paskudny budynek. Było mi tam tak dobrze, jak nigdzie indziej.

– Nie mam wyboru – odrzekłam. – Gdzie indziej mogłabym dostać pracę?

– Nie – odparł, dolewając sobie wódki. – Niepotrzebnie ci to utrudniłem. Ten projekt jest zbyt przykry: życie, śmierć, inne takie. Przepraszam cię bardzo, Cat.

– Proszę, nie nazywaj mnie Cat.

– Przecież tak masz na imię.

– Tylko jeden człowiek nazywał mnie Cat.

Spuścił wzrok. Może starał się jedynie zapanować nad nerwami, ale nagle, niespodziewanie, przypomniał mi śpiącego Buddę.

Usiadłam i w nagrodę za posłuszeństwo przyjął następną kolejkę wódki.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie do pomyślenia, że to się przytrafia ludziom każdego dnia.

– To okropne.

– Raczej banalne.

– Uwolnię cię od tej cholernej kaczki. Co za głupiec ze mnie.

– Nie – odrzekłam.

– Nie?

– Nie.

– No dobrze – odparł Eric.

– Nie mów do mnie „no dobrze”. Brzmi to tak, jakbyś mną zarządzał.

– Cóż, moja droga, na tym polega moja praca.

– O to mi właśnie chodzi. Zaraz wyślesz mnie na kozetkę.

– O rany, Cat, nigdzie cię nie wyślę. Gdzie się nasłuchiłaś takich bzdur?

– Po śmierci ojca wysłali nas na terapię. Nie pozwolili nam wyjść ze szpitala przed spotkaniem z takim jednym idiotą z pomocy społecznej. Nie chcieli nawet oddać ubrań ojca. – Już płakałam, wbrew własnej woli. – Torturowali go, Ericu. Bawili się nim. Musieliśmy ich zmusić siłą do odłączenia tych kretyńskich urządzeń.

– Cat.

– Nie mów tak do mnie.

– Catherine, przepraszam. Mówiąc o tobie, zawsze nazywał cię Cat – wyjaśnił.

Zrobiło mi się tak smutno, że z trudem wydobyłam z siebie głos.

– Naprawdę?

– W rozmowie ze mną tak.

Próbując się nie rozryczeć, wlepiłam w niego spojrzenie.

– Powołamy bardzo mały zespół – kontynuował – i zwołamy kameralne spotkanie, któremu będziesz w stanie stawić czoło.

Zacząłam pochlipywać, lecz rozumiałam, co stara się zrobić – znaleźć rozwiązanie, które pozwoli mi zachować pracę.

– W ceramice są sami przyjaciele Margaret. Nie zniosę tego.  
– Hilary się z nią nie przyjaźni.  
– Heather. Ta mała lesbijka.  
– Ma ślicznego dzieciaczka.  
– Ta sama, która rozlała kawę?  
– Możesz ją zaakceptować? Catherine, zlituj się nade mną. Proszę.  
Ja jednak pałam żądzą zemsty. Nie mogłam mu wybaczyć tego, że żyje.  
– Wszystkim nam go brakuje, kochana. Nie tak jak tobie, ale jednak przyjaźniliśmy się od trzydziestu lat.  
– Tak, wiem. Kochał cię. Przepraszam.  
– Nie, nie, to ja przepraszam.  
Przepraszam, przepraszam, przepraszam – ależ to angielskie. Pomyślałam, że sięga do kieszeni po chusteczkę, lecz on wyciągnął małą pergaminową torebkę z białym proszkiem.  
Jestem dorosła, więc oczywiście wiedziałam dobrze, co w niej jest, ale czułam się trochę niewyraźnie, patrząc, jak ją obmacuje.  
– Co to?  
– Środek przeciwbólowy. – Usypał na stole małą kupkę z lekko żółtawego krystalicznego proszku.  
Nic o nim nie wiem, pomyślałam, nic a nic.  
– To dość ryzykowne, prawda? – zapytałam.  
– W porównaniu z czym? – Wyjął portfel, a z niego kartę bankomatową do pokruszenia narkotyku. W porównaniu z kradzieżą notatników, pomyślałam.  
– Boże, Ericu, przestań.  
Nie zamierzał.  
– Wiesz, Catherine – znów przypominał mi śpiącego Buddę, całym sobą oddanego kruszeniu – kiedy miał ochotę na koks, nie dzwonił do dilerów. – Uśmiechnął się do mnie. – Matthew nie był nerwowym, ale nie lubił kontaktów z dilerami.  
– To ty byłeś naszym dilerem?  
– Powiedzmy, że za każdym razem, gdy chcieliście się zrelaksować, ktoś musiał się zająć przyziemnymi aspektami przedsięwzięcia.  
Oddzielił niewielką ilość proszku, nazywaną przez wtajemniczonych kreską.  
Zamierzałam oczywiście odmówić. Wyjął z portfela banknot, zwinął go w rurkę i wciągnął proszek do nosa.  
– A ja?  
– No dobrze, weź trochę.  
Były spiker Izby Gmin nadal trenował uderzenia, więc opuściłam roletę. Przyłożyłam do nosa zwinięty w tutkę banknot i poczułam, jak lecznicza kokaina wypełnia mi nozdrza, a następnie ścieka po tylnej ścianie gardła.  
– No więc – powiedział, znów manipulując kartą – oto jak proponuję postąpić z gmachem.  
– OK – odparłam, kiedy skończył swój wywód.  
– OK?  
– Dziękuję, Ericu. Byłam okropna. Przepraszam. Mogę jeszcze trochę?  
Uśmiechnął się do mnie, ale chyba wyglądał jak śmierć, z podkrążonymi, zapadniętymi oczami.  
– Wiesz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać wtedy w knajpie?  
– Dlaczego akurat konkretnie w tej knajpie?

– Przeprowadziłem tam mini, żeby ci go dać. Nie było to łatwe w tych okolicznościach, zważywszy na to, że trzeba go było najpierw zarejestrować. Wiedziałaś, że zgłaszając do rejestracji przerobionego mini, trzeba złożyć oświadczenie, czy wymieniał się lub w jakikolwiek sposób modyfikowało podwozie albo karoserię? Pomogło mi to oderwać się myślami od śmierci Matthew. Zaparkowałem go wtedy na ulicy przed knajpą. Mówiłem ci, ale nie chciałaś go zobaczyć.

– Trzeba mi było powiedzieć.

Wciągnął jeszcze jedną grubą kreskę, a drugą podsunął mnie.

– Widziałaś go sama.

– Przecież bym go rozpoznała.

– Chciał, żeby był twój.

To nie mogła być prawda, choć chciałam w to wierzyć, jak wszyscy głupcy chcą wierzyć w to, czego pragną.

Dopiero wiele tygodni później pojęłam, że Eric udał się do Beccles i praktycznie wykradł samochód, ale teraz wciągnęłam kreskę i poprosiłam, żeby dobrze schował przede mną resztę towaru.

– Gdzie on teraz jest?

– Przeprowadzę go.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale nie mogłabym nawet na niego spojrzeć.

– W takim razie później.

– Tak, później.

– Wszystko mija – powiedział. – Nie będziesz zawsze się tak czuć.

Ale ja wiedziałam, że owszem, będę.

Stał przy szafkach i szukał folii aluminiowej, żeby zostawić mi trochę koksu. Złapałam torebkę i postawiłam ją na ziemi. Usiadł z powrotem i położył przede mną swój prezent. Wytrzymał moje spojrzenie. Miał wilgotne oczy.

– Catherine, muszę iść na to okropne spotkanie z Sir Pokurczem, jeśli wiesz, kogo mam na myśli. Będziemy porównywać liczbę odwiedzających Swinburne i cholerną galerię Tate. Czy wiesz, że Ministerstwo Kultury wypłaca nam subwencję w wysokości dwudziestu trzech funtów od każdego klienta, który wchodzi w nasze progi? Tate wystarcza pięć funtów od głowy. Nie cierpię ich.

Twarz wykrzywiła mu się w zabawnym, krzywym uśmiechu i przypomniałam sobie, przez co przeszedł, gdy opuściła go żona. Pocałowałam go w szorstki policzek.

– Czuję się już lepiej – powiedziałam. – Przepraszam, że zapomniałam o tym, że ty też go kochałeś.

Zapadł się w sobie na moment, lecz nie na długo. Gdy tylko wyszedł, poszłam do sypialni i zaczęłam czytać.

*Henry*

Carl był jak złoty cień Sumpera, towarzyszący mu w nieustannych wędrówkach schodami w górę i w dół. Czasem zamykali się obydwaj nad gardzielą wąwozu, a pośród huku wody można było usłyszeć albo może tylko sobie wyobrazić ostre uderzenia młotka wbijającego kołki, a także niewielkie eksplozje, podobne seriom wybuchów fajerwerków lub prochu albo też trzaskom zajmującego się ogniem sosnowego drewna. Nagle otwierały się drzwi, z hukiem uderzając o ścianę, a ze środka wyłaniało się w podskokach roześmiane dziecko o pszenicznych włosach. Nie ukrywam, że ten widok mnie ranił. Wkrótce potem obserwowałem go przez okno, jak skacze przez poprzewracane stogi, niby zając szczęśliwie uwolniony z wnyków, pędzi niezgrabnie przez rżysko ku miejscom, których nazw nie potrafiłem wymówić. Wyjątkowo bystry, nieumiejący usiedzieć w miejscu choćby przez chwilę, wracał potem z zatłuszczonymi skarbami ukrytymi przed ciekawskimi oczami w chusteczce lub szmatce.

Podczas tych niemieckich godzin myślałem tylko o tym, jak postępują prace wykonywane przy użyciu tajemnych narzędzi. Czy nie mogliby się pospieszyć? Czy mógłbym ich do tego zmusić? Do szaleństwa doprowadzały mnie dochodzące z warsztatu zagadkowe odgłosy. Czy był to proch? Czy wieściły triumf, czy też porażkę? To emocjonalne zaangażowanie w prace manufaktury bardzo mnie wyczerpywało.

Kiedy usiłowałem dyskretnie go podpytać, Sumper udawał, że nie rozumie aluzji, lub marszczył brwi w komicznym zdziwieniu. Najgorsze było to, że miałem podstawy do obaw, że nie postępuje zgodnie z moimi wytycznymi.

Zapytywał na przykład, po co wykształconemu Anglikowi taka tania i krzykliwa sztuczka cyrkowa.

– Panie Sumper – odpowiadałem, kiedy zdarzyło mi się łyknąć przynętę – przyjął pan to zlecenie, jak również zapłatę za nie. Wie pan, że liczy się czas. – I tak dalej.

– Ale przecież na nic panu ta kaczka. – *Et cetera.*

– Jechałem po nią aż do Niemiec – ripostowałem.

– Kto chciałby kopiować Vaucansona? To oszust. Układ trawienny jego kaczki nie działał. Odbyt nie był połączony z jelitem. Rozumiesz pan, Herr Brandling? Kochasz pan swojego syna, ale teraz wydajesz pieniądze po to, by go oszukać.

Pewnego dnia, późnym rankiem, zostałem zaproszony na kawę, co było bardzo rzadkim wydarzeniem, nie spodziewałem się więc, że przy tej okazji padnę ofiarą drwin.

– Niech pan nam powie, Herr Brandling, czy wszyscy angielscy ojcowie oszukują swoje dzieci?

Gbur mrugnął przy tym do Carla, który skrzyżował palce, aż wijąc się na krześle ze źle skrywanego rozbawienia. Służalczy smarkacz, zdradził mnie. Jego matka natomiast najwyraźniej uważała, że sam sobie jestem winien. Boże, przebacz im.

Zazwyczaj jestem łagodnego usposobienia – można mi to nawet poczytać za wadę – lecz nie brakuje mi też siły charakteru. Wiele mogę znieść. Mogę gryźć ziemię i dźwigać na grzbiecie ciężkie kamienie, lecz nie mogłem pozwolić na to, by Percy cierpiał z powodu ich bierności. Co mi przyjdzie z kaczki, jeśli on nie dożyje jej widoku? Czy nie lepiej byłoby dla niego mieć przy sobie ojca zamiast nakręcanej zabawki? W emocjach zapomniałem o swojej sytuacji. Odsunąłem kubek z mleczną kawą. Udałem się do pokoju i spakowałem to, co zmieściło się do sakwojażu. „Pożyczyłem” jeden z solidnych, jesionowych kijków, które stały w pojemniku przy drzwiach. Nie pożegnałem się, choć było to pożegnanie. Muszę wracać do domu.

Szybko dotarłem do gospody. Początkowo karczmarka wydawała mi się dość sympatyczna, lecz teraz wiedziałem już, że tak nie jest. Nie szkodzi, to tylko jedna noc, potem wracam do Anglii. Stara burdelmama brała mnie za bogacza, a ja nie rozwiewałem jej złudzeń. Dała mi najlepszy pokój i obiecała wysuszyć odzienie przy kuchennym ogniu.

Gniew bynajmniej nie dodał mi rozsądku. Postanowiłem ruszyć do domu następnego dnia. Nie przeszło mi jeszcze przez myśl to, że nie mam funduszy na podróż ani nawet domu, do którego mógłbym wrócić. Do diabła z tym wszystkim, pomyślałem. Mogę zrobić, na co tylko mam ochotę.

Podziękowałem za szparagi i zamówiłem cielęcy gulasz z kluskami. Pierwszy kieliszek żółtawego wina pokrywała perliście biała mgiełka pary. Przepęniała mnie absurdałna pewność siebie. Dopiero przy czwartej szklaneczce wina na sercu zaległa mi ciemna chmura. Chmura? Raczej przygniatający kamień. Nie miałem dokąd wracać. Zareagowałem jak rozeżłone dziecko i jutro będę musiał wrócić do tartaku z podkulonym ogonem.

W takim właśnie podłym nastroju byłem, gdy otworzyły się drzwi, a wraz z wchodzącym gościem do środka wpadł powiew wilgotnego wiatru. Był to oczywiście nieustępliwy Sumper. Jego wielka mokra głowa lśniła jak rzeczny gład. Gdy usiadł przy stole, pomyślałem, że dzięki Bogu przyszedł się podlizać.

Usiadł bokiem, z wyciągniętymi nogami i rozejrzał się po izbie.

– Są istoty lepsze od tych – oznajmił (podczas gdy karczmarka, gnąc się w ukłonach, podawała mu kufel). – Gdyby na świecie nie było form życia lepszych od tych tutaj – powiedział – powiesiłbym się.

Zastanawiałem się, czy to przeprosiny. Nie patrzył na mnie. Odstawił kufel na stół, a w jego miejsce pojawił się kolejny, podany wśród służalczych ukłonów karczmarki. Zauważyłem, że bywalcy gospody starannie omijają nas wzrokiem. Dobrze wiedzieli, do czego zdolny jest Sumper. Moja prawdziwa natura była zagadką dla wszystkich, łącznie ze mną.

– Niech się pan nie martwi – mruknął, nadal unikając mojego spojrzenia – nikt z tych tutaj nie mówi po angielsku. Kto mówi po angielsku? – zawołał, lecz nikt nie odważył się odpowiedzieć. – No proszę – rzekł triumfalnie. Lecz dowiódł jedynie tego, że jest chamem. – Czy to w ogóle są ludzie? – krzyknął dudniącym głosem. – Spójrz pan na nich i powiedz mi, co myślisz – rzucił.

Gdy wreszcie obrócił się w moją stronę, dostrzegłem w jego spojrzeniu coś podejrzanego. Czyżby się bał, że mnie straci?

– No dalej, Brandling, co pan myśli?

Pomyślałem, że znalazłem się w niewoli nadzwyczaj ekscentrycznego tyrana, ale udzieliłem mu uprzejmej odpowiedzi, mówiąc, że inni goście wydają mi się jednak istotami ludzkimi, z wszelkimi ich różnicami i podobieństwami, śladami ciężkiej pracy na zniszczonych dłoniach i twarzami pobrużdżonymi troską. Uznałem za stosowne przytoczyć kilka fragmentów dzieła *Stygmaty pracy*, którego autor opisuje zauważane podczas oględzin zwłok opuchnięte palce praczek, odciski charakterystyczne dla kowali i woźniców oraz przerost kciuków występujący u szewców i wydmuchiowaczy szkła. Daje on również wskazówki, jak gotować wycinki naskórki i paznokci pobrane od osób podejrzewanych o pracę w nielegalnych kopalniach miedzi. „Piękny niebieski odcień” oznacza dodatni wynik.

Uważnie mnie słuchał, co było bardzo nietypowe.

– A więc – powiedział, gdy skończyłem – to pańska opinia?

– To trochę więcej niż opinia.

– Tak, oczywiście noszą stygmaty, tak jak pan mówisz. – (Czyżby po raz pierwszy zgadzał się z czymś, co powiedziałem?). – Ale czy mają dusze? – zapytał.

– Oczywiście, jak wszyscy ludzie.

Zorientowałem się, że myślami odbiega gdzieś indziej, bo przecież nie interesowali go wszyscy ludzie, tylko on sam.

– Tu się urodziłem, możesz pan to sobie wyobrazić? Możesz pan zrozumieć mój gniew, gdy pojałem, w jakie otoczenie bezmyślnie wprowadziła mnie matka? Nie, nie możesz pan sobie tego wyobrazić – dodał. – Jesteś pan Anglikiem.

Nie udało mi się powstrzymać jęku.

– Pan nie był zmuszony żyć w takiej kupie gnoju – kontynuował gniewnie. – Nie wierzy pan w duchy, skrzaty i najświętsze serce Jezusa. Podróżował pan. Umiejętność dostrzeżenia stygmatów ich profesji w niczym nie pomaga. Nawet za życia te istoty nie podróżują. Tkwią tutaj, z nieowłosionymi udami, zapadniętymi klatkami piersiowymi i wiarą w bajki. Mają swojego Kota w Butach, ale nie mają pojęcia, że wszechświat się zmienia. Nie umieją wyobrazić sobie czarów większych niż te zaklęte w ziarnku fasoli. Nie widzieli na oczy najprostszej młocarni. Nie znają Anglików, których poznałem, maszyn, które pomagałem konstruować. Nie ma pan pojęcia, jaką obelgą jest pańska prośba, bym zbudował tę zabawkę. Oczywiście – dodał prędko – obrażanie mnie nie było pańską intencją, rozumiem to.

– Wszyscy ludzie – odparłem – potrzebują pieniędzy, by przeżyć.

– Nie robię tego dla zysku – odparował – lecz ponieważ kochasz pan syna.

– Pan też ma syna – wyrzuciłem z siebie. Nie mam pojęcia, co mną powodowało.

Chciałem mu zamknąć usta? Zaprzeczyć mu? Tak czy owak, wiedziałem przecież dobrze, że Carl nie jest jego synem.

– Ślepy pan jesteś? – wykrzyknął. – Ten chłopak nie jest niczym synem. Tutejsi idioci nazwaliby go aniołem. Gdyby znali prawdę, ukrzyżowaliby go. Oczywiście jego głupi ojciec zaciągnął go w sam środek zamieszek. Równie dobrze mógł im zanieść salaterkę z dreźnieńskiej porcelany. Nie miał pojęcia, jak wielki ma skarb. Prawdziwym błogosławieństwem dla świata jest to, że chłopiec nie ucierpiał zbyt poważnie. Piwa! – zażądał. – Na nic panu ta kaczką – oznajmił.

– Zaakceptował pan plany.

– Otrzymałem instrukcje, by zbudować coś o wiele lepszego.

– To ja udzielam panu instrukcji.

Jego ton zniecała stał się łagodny i spokojny. Położył wielką łapę na moim ramieniu i ścisnął je.

– Henry – powiedział – jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

Spotykałem już wcześniej ludzi takich jak on, gwałtownych, szorstkich, chamskich, lecz zdolnych do niespodziewanej i zwodniczej uprzejmości. Kiedy powiedział, że nawzajem siebie potrzebujemy, uwierzyłem mu. Jego oczy, ukryte w kościstych oczodołach, stały się miękkie jak jedwab. Pochylił się ku mnie i przemówił łagodnie, wciąż z ręką na moim ramieniu:

– Co pan robisz ze swoim życiem? Czemu ono służy? Jakiemu wyższemu celowi?

Wydawało mu się, że może mnie zdominować i wykorzystać. Niestety, to ja musiałem się nim posłużyć.

– Drogi panie Sumper – powiedziałem – jeśli nie skonstruuje pan tej kaczkę, słono mi pan za to zapłaci.

Zniecała podniósł się na nogi. Co znowu, pomyślałem.

Wyszedł z gospody, a ja za nim.

– Jest pan smutnym człowiekiem – odezwał się, gdy szliśmy błotnistą ścieżką. – Poniósł pan stratę.

Nakazałem sobie zachować spokój, nie miał przecież prawa nic o tym wiedzieć.



Podążałem za nim skrajem drogi wiodącej przez las. Pomyślałem, że jest z niego niezły oszust, lecz nagle oblała mnie fala gorąca.

Krocząc przed siebie, pomniejszył dokonania zbieracza baśni, mówiąc, że to prostak, który kupuje każdą historię wymyśloną zimną na jego użytek przez wieśniaków. To wcale nie są prawdziwe baśnie. On sam natomiast, ciągnął, zna szczerozłotą baśń. Rozważa sprzedaż jej zbieraczowi w zamian za coś użytecznego.

Pomyślałem, że to wszystko nie jest prawdą oraz że nie widziałem jeszcze żadnej części mechanicznej, choćby jednego wału lub koła.

Matka miała siedmioletniego syna, opowiadał, który był tak piękny i dobry, że kto tylko na niego spojrzał, musiał go pokochać. Był jej droższy nad cały świat. Nagle zmarł i w niczym nie mogła znaleźć pocieszenia...

Potrzebowałem go, więc pozwoliłem mu ciągnąć dalej.

– Płakała i płakała – mówił. – Niestety, niedługo po pogrzebie chłopiec zaczął pojawiać się nocami w miejscach, gdzie za życia siadywał i się bawił. Gdy matka płakała, płakał razem z nią, lecz z nastaniem świtu znikał. Kobieta nie umiała powstrzymać rozpacz. Pewnej nocy objawił się jej odziany w białą koszulę, w której go pochowano.

Słuchanie go było dla mnie torturą. Gdybym nie potrzebował jego usług, zamknąłbym mu tę wstrętną gębę.

– Na głowie nadal miał wianek z wawrzynu. Usiadł na łóżku u jej stóp i powiedział: „Matko, przestań płakać albo nie zasną w trumnie, gdyż moja koszula jest nieustannie mokra od twoich łez”. Zaskoczył tym matkę, tak że przestała płakać. Następnej nocy powrócił, z latarenką w rękę i rzekł: „Widzisz, moja koszula jest już prawie sucha, więc uda mi się zaznać spokoju w grobie”. Wówczas matka pozostawiła żal Bogu i zносиła go z pokorą i spokojem, a chłopiec już więcej nie powrócił, spał w swoim podziemnym łóżeczku.

Co za wstrętny okrutnik! Uderzyłem go pięścią w twarde czoło, tuż obok oka. Zachwiał się. Kopnąłem go w krocze. Zgiął się w pół, piszcząc jak dziewczyna. Potem chyba przestało mi zależeć na własnym życiu, gdyż przewróciłem go na ziemię i kopałem jego wielkie cielsko, aż zamilkł. Leżał tak, potężna masa zwinięta na podściółce z leśnych igieł, jak umierający jeleń.

Co ze mnie za idiota. Był moją jedyną nadzieją. Wróciłem do gospody i położyłem się spać.

Mam paskudny, okropny temperament, nie do opanowania, niczym oszalały koń, którego lepiej zastrzelić niż karmić. Nigdy mi w niczym nie dopomógł, a w tym przypadku miałem dużo szczęścia, że nie zamordowałem Sumpera.

Następnego ranka odziałem się, zapinając guziki opuchniętymi rękami, w oczekiwaniu na przykre konsekwencje wieczornego zwycięstwa.

Jedna z dziewcząt przyniosła mi śniadanie, lecz nie mogłem jeść, wiedząc, co zrobiłem.

Zjawił się Sumper i ze wstydem ujrzałem jego posiniaczone policzki, pozdzieraną skórę i inne uszkodzenia, które zadałem jednemu człowiekowi mogącemu ocalić mojego syna.

Gdy wyszedłem z gospody, ruszył za mną bez słowa w ciemny las, gdzie wyczułem w powietrzu zapach śmierci. Wyglądałem jakiejś polanki, gdzie zazwyczaj wyrównuje się porachunki. Czy to w Low Hall, czy w Furtwangen, wszędzie jest tak samo. O Percy, porzuciłem cię.

Wyszliśmy na otwarte pole. Słońce znów przebijało się przez chmury na zachodnim niebie. Biała gorczyca, w Furtwangen chyba tępiona podobnie jak jej żółta kuzynka w Low Hall, była jak fałszywie radosny akcent na tle tej ponurej sceny.

– Dokąd idziemy? – zapytałem. – Załatwmy to tu i teraz.

Rozciąłem mu wargę, przez co wąs z jednej strony zadzierał się teraz do góry. Kiedy położył mi rękę na ramieniu, wydało mi się, że łypie na mnie pożądliwie, lecz ja dostrzegłem w tym rzadkim przejawie łagodności ubolewanie nad tym, co będzie musiał zrobić.

– Spójrz – powiedział, wskazując na mężczyznę i dwie kobiety, którzy wychodzili właśnie z małego kościółka. Podszedł do nich, by porozmawiać. Jego szerokie ramiona i budzący respekt kark zrobiły na mnie odpowiednie wrażenie. Nie było już we mnie gniewu, a co za tym idzie najmniejszej ochoty, by zaatakować go od tyłu. Pomyślałem, że powinienem uciekać, choćbym przez to miał wyjść na tchórza. Jednak właśnie w tej chwili młody człowiek ucałował towarzyszące mu kobiety, a one wybuchły płaczem. Ich ból był niemal nie do zniesienia. Z trudem trzymały się na nogach. Weszły w las, wciąż chwiejąc się i zawodząc żałośnie.

Mężczyzna zwrócił na mnie wzrok. Jego oczy były ciemne i suche. Z wściekłością zarzucił na ramię tobolek i ruszył w dół wzgórza.

– Zegarmistrz – wyjaśnił Herr Sumper, wróciwszy do mnie. Młody mężczyzna gniewnie zamachnął się tobołkiem i uderzył nim o drzewo. – Biedak – powiedział Sumper, a jego pokiereszowana twarz wyglądała na jeszcze brzydszą teraz, gdy malowało się na niej współczucie. – Dostał się w sidła pakowacza.

Basta. Wiedziałem, że na świecie są miliony milionów serc, tyle, ile komarów i much, a każde wypełnione jakimś osobistym smutkiem, tak jak to tutaj. Ale gdzie miałem wreszcie zostać ukarany?

– Kto to taki ten pakowacz? – zapytałem, ale w myślach oceniałem już rozmiar jego potężnych ramion.

– Pakowacze – wyjaśnił – skupują zegary od ubogich rodzin, które je wytwarzają.

Rzemieślnicy są zmuszeni zaakceptować każdą cenę, nawet najniższą.

Zatrzymałem się, wznosząc zaciśnięte pięści.

– Dokąd idziemy, niech cię szlag?

– Niech mnie szlag? – Uśmiechnął się szeroko, odtrącając na bok moje pięści.

Dookoła otaczały mnie ślady działalności porządnych Niemców, którzy uprawiali swoje

małe poletka, rozrzucali gnój, grzybnię i każdą inną obrzydliwość potrzebną ziemi. Byli pracowici, skromni, uparci. Orali ziemię, spulchniali ją motyką i plewili, aż zgodziła się rodzić plony. Czemu trafiłem na szaleńca? Znałem odpowiedź. Żle o mnie świadczyło, że ją zapomniałem.

– Kiedy byłem młody – powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu i zmuszając mnie w ten sposób do kroczenia przy nim, zachowując przy tym pozory przyjacielskiej bliskości – pakowacze chodzili po domach i osobiście odbierali zegary. Teraz porośli w piórka. Zmuszają zegarmistrzów, by ci sami przynosili im towar. Każą im czekać. Oczywiście większość z pakowaczy to karczmarze – dodał. – Im dłużej czekają, tym więcej piją piwa, a to jest potem odliczane od ceny zegara. Więc młodzi mężczyźni nie mają innego wyjścia. Jadą do Anglii, zostawiając tu matki i żony – ciągnął.

Stojąc u stóp wzgórza, tuż przy wąskim strumyczku, niemalże współczułem opuchniętemu brutalowi.

– Zupełnie jak pan – zauważyłem.

Przyglądał mi się przez moment jakby z rozbawieniem, po czym zaczął kontemplować krajobraz.

– Oto moja żona – rzekł.

Później Herr Sumper upierał się przy bardzo wielu dziwacznych i kompletnie szalonych rzeczach – jak na przykład umiejętność przywoływania burz z piorunami – a ta drobna uwaga z pewnością do nich należała, gdyż jego „żona” wydawała się niczym innym, jak wcześniej wzmiankowaną „kupą gnoju”. Było nią Furtwangen, z wąziutkimi i nieregularnymi zaułkami, krętymi uliczkami, dziwaczными starymi domami, drewnianymi płaskorzeźbami i wszechobecными staromodnymi wyrobami metalowymi. Jedyną skazę na tym obrazie stanowił ostentacyjnie nowoczesny budynek, wysoki i płaski, ponury i prozaiczny.

– Co to za budowla? – zapytałem.

Dokładnie w tym momencie, gdy opuściłem gardę, rzucił się na mnie.

Uderzyłem go w grdykę.

Wytrzeszczył oczy.

Splunąłem mu w twarz.

Chwycił mnie w niedźwiedzi uścisk, tak mocny, że zmiażdżył mi płuca i wycisnął z nich zupełnie nieprzystający mężczyźnie kwik, podniósł mnie, obrócił w lewo, w prawo i do góry nogami, i wreszcie postawił znów na ziemi.

– Tutaj właśnie – krzyknął, całując mnie w oba policzki – powstają dla pana sprężyny.

Pojąłem, że ów szaleniec naprawdę zamierza – pomimo wszystkiego, co powiedziałem i uczyniłem – skonstruować mój automat. Czyli mój syn będzie żył. Z czystej ulgi uderzyłem go w twarz.

## Spotkanie w sprawie procedur

Pokój 404, Aneks  
3 maja 2010

Obecni: E. Croft (Kustosz Działu Horologii), C. Gehrig (Konserwator z Działu Horologii), H. Williamson (Konserwator z Działu Ceramiki), S. Hall (Dyrektor Odpowiedzialny)

Celem spotkania było opracowanie harmonogramu identyfikacji, konserwacji i rekonstrukcji automatu wpisanego do ewidencji pod numerem H234.

Postanowiono, że C. Gehrig dokona inwentaryzacji automatu i przedstawi wyniki swoich prac Kustoszowi oraz Konserwatorowi z Działu Ceramiki w ostatnim tygodniu czerwca. Jako że stan fizyczny legatu może być opisany jako „kot w worku”, uzgodniono, iż C. Gehrig oraz E. Croft (być może przy współudziale Działu Rozwoju i Promocji) spotkają się przed sierpniowym długim weekendem, by się zorientować w postępach prac. C. Gehrig zapytała, czy badany przedmiot powstał głównie „ku uciesze gawiedzi”. E. Croft odparł, że badanie tego typu przedmiotów nigdy nie było misją muzeum. Dodał, że choć budżet przeznaczony na rekonstrukcję będzie początkowo ograniczony, przyszłość napawa go optymizmem.

Następnie E. Croft przedstawił komisji rachunek za srebro kupione na wagę, wystawiony na „monsieur Sumpera”.

Wchodzące w skład legatu szklane rurki i srebrne rybki sugerują sposób działania. Ustalenie wartości łabędzia (jeśli jakkolwiek przedstawia), zarówno w sensie historycznym (c. 1854), jak i możliwości wykorzystania go przez Komisję Wystawienniczą, wymagać będzie dokładnej wyceny. Obecnie prace znajdują się „we wczesnym stadium zaawansowania”.

Zgodnie z sugestią Kustosza działania Konserwatorów należy przeprowadzić w trzech etapach:

1. wycena i identyfikacja;
2. rekonstrukcja automatu i uzupełnienie mechanizmu zegarowego wspólnie wykonanym postumentem lub cokołem na wzór oryginału zaprojektowanego przez Vaucansona. To umożliwi wystawienie eksponatu w roku 2011 i pomoże zdobyć fundusze na realizację drugiego etapu. Konserwator wyraziła ogólną aprobatę tej strategii;
3. rekonstrukcja oryginalnej płyty, co samo w sobie przedstawia liczne trudności, a także wymagać będzie większych zasobów finansowych niż te, które muzeum może w chwili obecnej wyasygnować.

Note pour Monsieur Sampier

90	Feuilles (grandes)	Poids	2 K. 700
32	ie. (Petites)	ie.	800
			<hr/>
			3 K. 500

116	Rondelles de Cou	} Poids	1 K. 200
	avec tête		8. 225
	Cygnel seul		35
7	Petits poissons		<hr/>
			9 K. 460

5 Clefs pour le Cygne  
3 ie. p. la Vitrine

~~Les~~ les vises sont restés en place  
sauf ceux de la Vitrine qui sont  
dans la caisse du Cygne.

Uczestnicy spotkania podzielili opinię Konserwator Horologii, iż etap wyceny i identyfikacji może być sprawnie przeprowadzony przez nią samą.

S. Hall poinformowała, że niemal od razu może postawić do dyspozycji Konserwator asystentkę (absolwentkę Courtauld i West Dean – młodą, lecz godną polecenia). E. Croft zgodził się ocenić postępy prac po upływie dziesięciu dni i oszacować, jakie środki finansowe okażą się niezbędne.

Biorąc pod uwagę wiek automatu i niewłaściwy sposób, w jaki był przechowywany, C. Gehrig ostrzegła, że zarówno sprężyny, jak i wałki naciągu mogą być niesprawne. Wyjęcie sprężyn z bębna będzie wymagało użycia specjalnie w tym celu wykonanego drewnianego zacisku, co pociągnie za sobą spore koszty, zważywszy na to, że należy go zamówić w University College London. E. Croft przeprowadzi rozmowę z uczelnią i spróbuje wynegocjować satysfakcjonującą wycenę kosztów. Podkreślił, że choć początkowo budżet przeznaczony na rekonstrukcję przedmiotu będzie ograniczony, ma duże nadzieje na to, że uda mu się „odkręcić kurek z pieniędzmi”.

## Catherine

Towarzystwo jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, ale nie pozostawiono mi wyboru. Oto ona, moja niechciana asystentka. Jest obrzydliwie młoda i zaangażowana, ma długie jasne włosy, ciemne brwi i szczupłą figurę, jakby stworzoną do noszenia bryczesów, wiatrówek i białych koszulowych bluzek.

– To ty jesteś Amanda?

– Tak.

– Dziewczyna z Courtauld?

– Chyba tak, można tak powiedzieć. – Jej głos zdradza pochodzenie z wyższych warstw klasy wyższej, lecz niektóre samogłoski są trochę rozciągnięte; taka dziwna mieszanka Faubourg St Germain i Esseksu. Od jego brzmienia aż mnie bolą zęby.

– Wejdz – mówię spokojnie, starając się nie podrażnić męczącego mnie kaca.

Mimo przenikliwego głosiku jest bardzo ładna, ma porcelanową cerę, bardzo niebieskie oczy i długie rzęsy. Posłusznie czeka, aż włączę komputer, lecz kiedy dociera do mnie, że muzealny serwer znów działa, myślę tylko o tym, jak dostać się do maili od Matthew. To dużo ważniejsze niż reanimacja jakiegoś łabędzia.

– Możesz tam odwiesić parasolkę.

Miałam pewne przypuszczenia co do hasła, którym posługiwał się Matthew. Będzie to sekret nie do odgadnięcia przez nikogo innego.

Kiedy już sprawdzę swoją teorię, będę dla niej bardzo, bardzo miła, zabiorę ją do Fortnuma na herbatkę – wygląda na kogoś, komu sprawi to przyjemność. Teraz, choć jestem niezwykle podekscytowana, zmuszam się, by ją zapytać, od jak dawna u nas pracuje i jakie są jej dotychczasowe osiągnięcia.

– Obawiam się, że niezbyt imponujące. Muszę przyznać, że te szklane rurki mnie fascynują.

Naprawdę nie mam ochoty na rozmowy.

– Wiesz, do czego służą? – pytam.

– Myślę, że tak. To znaczy nie, oczywiście że nie. Czy obracają się, udając wodę?

Czy Crofty mi ją podsunął? Może to czyjaś córka?

– Sprawdzałaś w sieci? – sugeruję.

– Nie rozumiem?

– Wyszukiwałaś informacje na temat automatów w internecie?

– Nie, absolutnie, nie zrobiłabym tego. – Wydaje się tak zszokowana, że reaguję uśmiechem. – Będzie diabelsko trudno je wyczyścić, prawda? Zastanawiałam się, jak chce pani to zrobić. Zna pani jakiś sposób?

– Jedyne to pozostawienie czyszczenia tym z Ceramiki.

– Aha.

– Rozczarowana?

– Lubię czyścić różne rzeczy. Myślę, że dlatego mnie tu przysłali.

A więc to tak jej się pozbędzie. Wyślę ją po Hilary z Ceramiki. Bardzo uważnie wysłuchuje skomplikowanych instrukcji, których jej udzielam – normalną reakcją na wskazówki, jak poruszać się po Swinburne, jest panika, lecz ona słucha uważnie, z przechyloną na bok głową. Spodziewam się, że poprosi mnie o powtórzenie wyjaśnień. Wychodzi. Chwilę później próbuję dostać się do konta Matthew.

Nazwa użytkownika: MTINDALL

Hasło: CATHERINE i mój najdroższy otwiera się przede mną niczym kielich kwiatu. Jest tu wszystko, czego mi potrzeba, moje listy do ciebie, twoje do mnie, obejmujące całe lata. Dobry Boże, któryś jest w niebie! Kocham cię, Matthew. Tak mi smutno, że muszę to wszystko usunąć.

Ledwo zaczęłam, gdy obydwie wróciły do pracowni i musiałam się wylogować. Muszę mieć na twarzy wypisane winę i podekscytowanie, lecz dziewczę z Courtauld gra rolę w swoim własnym filmie. Jest zarumieniona i wiem, że – zresztą słusznie – bardzo z siebie zadowolona.

Szklane rurki należy teraz niezwykle ostrożnie załadować na długi stalowy wózek, co zabiera im nie więcej niż pięć minut, które muszę przeczekać z rosnącą niecierpliwością, zanim znów zostanę sama.

„Spotkajmy się na zewnątrz”. Usuń.

„Do zobaczenia”. Usuń.

„Całuję twoje paluszki”. Usuń.

„Kocham cię. Przepraszam, że byłem taki okropny”. Usuń.

Są ich setki tysięcy. Powinam wszystkie zachować, lecz brak mi odwagi. Tracę poczucie czasu. Nawet nie słyszę powrotu dziewczyny i z przerażeniem dostrzegam, że stoi tuż przy mnie.

– Pewnie dostaje pani mnóstwo e-maili?

Zdaję sobie sprawę, że muszę dziwnie wyglądać.

– Niezbyt lubię gadać – oznajmiam, wylogowując się ponownie z konta Matthew. – Mam nadzieję, że nie będzie ci to bardzo przeszkadzać?

– Nie – odpowiada, lecz widzę wyraźnie, iż mój wygląd wytrącił ją z równowagi.

– To świetnie – mówię. – A teraz możesz rozpakować skrzynki po herbacie.

– Sama?

– Myślisz, że dasz radę? – rzucam lekkim tonem.

– Tak, jeśli tylko nie ma pani nic przeciwko temu.

– Będzie tam trochę cięższych rzeczy. W razie jakichś wątpliwości zwołaj mnie.

– A co to właściwie jest?

– Prawdopodobnie łabędź.

Zaskoczona nie odrywa ode mnie wzroku.

– Czy mam rozpocząć sporządzanie inwentaryzacji? – pyta. Za zębami dostrzegam koniuszek różowego języka. Samogłoski w słowie „inwentaryzacja” pobrzmiwiają lekkim fałszem.

– Nie, po prostu wszystko rozpakuj. Zachowaj tylko gazety użyte do pakowania. Zwracaj uwagę na wszelkiego rodzaju dokumentację, nawet znaczki pocztowe.

– Jak to wszystko ułożyć? To znaczy wedle jakiej kolejności?

Nie chce mi się mówić ani nawet na nią patrzeć.

– Nieważne. Jak chcesz.

Mój kolosalny brak zainteresowania jest nie do pojęcia. W prawdziwym życiu nigdy by do tego nie doszło, lecz nawet w stanie huśtawki emocjonalnej udało mi się mieć na nią oko.

Widzę, że układa elementy mechanizmu według rozmiaru, od najmniejszych do największych.

Ty mały łobuzie, myślę sobie, gnojku bezczelny.

„Jak ci mija dzień?”. Usuń.

„Nienawidzę wszystkich poza tobą, skarbie”. Usuń.

„Jestem geniuszem. Zajrzyj i zobacz, co zrobiłem”.

Dziewczyna rozpakowuje i klasyfikuje. Kawalek po kawałku odkrawam sobie serce. Usuń, usuń, usuń. Może jest szybsza, mniej bolesna metoda, ale wątpię, czy bym z niej skorzystała, nawet gdybym wiedziała jak. Wkraczam w obszar elektrycznych turbulencji,



druzgoczących kości kominów powietrznych – maile od jego żony. Usuń. Nigdy go nie pytałam, czy uprawiają seks. Całkowicie mu ufałam. Mimo to jednak obwąchiwałam jego skórę. Usuń. Są też maile do nieznanymi mi kobiet. Nie mogę się powstrzymać przed ich otwarciem i przy każdym zalewa mnie wstyd. Usuń. Zagłębiając się coraz dalej, a dziewczę z Courtauld grzebie w skrzyniach.

– Dasz sobie radę? – pytam.

Ale dostrzegam, że słucha muzyki z jakiegoś urządzenia, którego nawet nie widzę. Kiedy indziej zirytowałoby mnie to.

Mnóstwo maili jest adresowanych do jego synów. Muszę je przeczytać, nie mogę ich usunąć.

„Dostałeś przesyłkę z lekarstwami?”, pisze.

„Potrzebna ci ciepła kurtka?”.

„Przyjadę po was o szóstej. Nastawcie dwa budziki”.

„Kocham cię, tata”.

„Kocham cię”.

„Na zawsze wasz”.

Około południa zostawiam Amandę Snyder samą pod pozorem wyjścia na papierosa. Wracam zapłakana, z nową butelką wódki przemycaną w idealnej torebce. Moja asystentka je kanapkę z jajkiem, pochylona nad czymś, co, jak się później dowiem, określa mianem Frankenpoda, gdyż sama go złożyła z części.

– Jeśli chcesz, możesz zjeść z innymi w stołówce.

– Przepraszam, ale nie jestem przyzwyczajona do towarzystwa.

– Przecież chodziłaś do szkoły.

Wyjmuję z ucha słuchawkę. Kątem oka dostrzegam czarny kłębiący się obraz na wyświetlaczu.

– Uczył mnie dziadek.

– Był nauczycielem?

– Raczej wojskowym.

– Mieszkaliście w Londynie?

– Nie, w Suffolk.

Nie pytam, gdzie w Suffolk. Jeszcze powiedziałyby, że w Beccles, Southwold, Aldeburgh albo Blythburgh, a to litania naszych prywatnych miłosnych nazw. Nie pozwolę na to, by ktoś zagrał albo zbezczeszczył nasze prywatne hrabstwo Suffolk.

– No a później w Courtauld?

– A potem jeszcze w West Dean. Nabrałam ogłady, nauczyłam się korzystać z klucza i tak dalej.

Nauczyła się korzystać z klucza? No cóż, sama jestem trochę dziwna, gdyż nie potrafię przyjąć do wiadomości części składowych łabędzia, które tak ładnie ułożyła na blacie. Jako istota wysoce wyspecjalizowana powinnam zidentyfikować większość z nich nawet przez sen. Nawet czytając chwytające za serce maile, nie sposób nie dostrzec zaśniedziałych srebrnych elementów; niektóre z nich wyglądają jak kółka do serwetek. Zauważyłam odbijające światło płytki, które umieszczane były pod szklanymi pręcikami, częsty wybieg w podobnego typu automatach. Ich zadaniem jest sprawienie, by „woda” migotała. Te leżące teraz na stole bynajmniej nie migoczą. Koniecznie trzeba je pokryć odbłaskową srebrną folią, którą później można oczywiście usunąć. Nie mogę zaprzeczyć istnieniu wałka pozytywki, przedmiotu świetnie znanego przedstawicielom mojej profesji. Nie chce mi się liczyć, ale ma z tysiąc wypustek. Nie mam wątpliwości, że ów Herr Sumper tworzył nie dla Henry’ego Brandlinga, lecz dla siebie samego. Większość styków

wykonana jest z mosiądzu, ale część zastąpiono stalowymi. Zupełnie mnie to nie interesuje, lecz zauważam, że wiele z nich znajduje się obecnie w niewłaściwym położeniu.

To jak zostawić dziecko samo na ruchliwej ulicy, ale przecież jestem w pobliżu, obserwuję ją kątem oka. Zastanawiam się, kim był lub jest jej dziadek. Kiedy ludzie z wyższych sfer mówią „wojskowy”, mają na myśli marszałka polnego albo szpiega.

Wciąż odkopuje kości, a ja wciąż palę swoją przeszłość.

Nagle wpada Eric ubrany w idiotyczny obcisły garnitur w prążki, opinający talię i szerokie ramiona. Jest za gorąco na taki strój. Wnosi ze sobą zapach restauracji Ivy – aromat karty win, a nie zapiekanki pasterskiej.

Przyglądam się ukradkiem, jaka będzie jego reakcja na dziewczę z Courtauld. Udaje, że jej nie widzi ani nie zna, co jest wystarczającym dowodem na to, że to on sam ją na mnie nasłał. Zastanawiam się, czy ów „wojskowy” nie jest jednym z członków zarządu.

Eric obiega pokój wokół niczym pies pracujący na lotnisku i wybiega na zewnątrz.

Chwilę później pytam:

– Czy on naprawdę powiedział „serwus”?

Chichocze w odpowiedzi.

– Kto mówi „serwus”?

– Chyba Bertie Wooster<sup>[6]</sup>.

– Jesteś za młoda, żeby pamiętać Woostera.

– Stephen Fry grał Jeevesa – odpowiada mi na to. – Widziałam jeden odcinek, w pubie w Walberswick.

Walberswick. Usuń.

– Jak myślisz, dlaczego pan Croft mówi „serwus”?

Uśmiecha się bez słowa.

Wszyscy sądzą, że na przerost wyobraźni cierpią Amerykanie, ale to my, Brytyjczycy, jesteśmy prawdziwymi fantastami, nie tylko Crofty. Amanda Snyder obwieszcza trochę niewyraźnym głosem: „To chyba szyja”.

Biedny Henry Brandling. Nigdy nie dostał swojej kaczkę. Czytając rachunek, ucieszyłam się, że przemieniła się w łabędzia, lecz tu, w pracowni, wydaje mi się nagle niesamowita – życie, penis, gęsia szyja w Boże Narodzenie. Jest straszna, brudna, nieziemsko szaro-błękitna. Koronkowe łączenia stalowych kręgów nie miałyby szans powstać w Londynie w 2010 roku.

Amanda wyciąga do mnie rękę z szyją łabędzia.

– Nie, odłóż ją.

Zupełnie nie wiem, dlaczego znów zaczynam płakać.

– Ojej – mówi i przez zamglone oczy widzę, jak popołudniowe słońce oświetla jej ładną twarz, jej nadzieję i ból. Jest zbyt normalna i hojna, żeby tu tkwić.

– Panno Gehrig. – I wtedy dopiero dostrzegam tuż pod linią włosów paskudny plastikowy aparat słuchowy i orientuję się, że jej akcent jest typowy dla klasy niepełnosprawnej. To dlatego wkłada tylko jedną słuchawkę.

– Nic się nie stało – odpowiadam. – Straciłam kogoś bliskiego. To wszystko. Nic się nie stało.

– Czy wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Ktoś umarł, to wszystko, każdego dnia ktoś umiera.

– Czy mogę o coś zapytać?

– Nie.

Przez resztę dnia każę jej towarzyszyć sobie z notatnikiem w dłoni. Dyktuję jej funkcje poszczególnych elementów i pozwalam przypisać im kolejne liczby porządkowe.

Dokonyję wstępnej klasyfikacji rozpakowanych już elementów – to już jakiś początek, choć nie dotarliśmy jeszcze do głównego mechanizmu.

– Włóż rękawiczki – radzę.

– Tak – odpowiada, rzucając mi nagłe spojrzenie. – Kontakt z częściami pozostawia takie dziwne mrowienie na skórze.

Domyślam się, że widzi moje cierpienie w pełnych barwach, biedaczka, ale podejrzewam, że jest w stanie znieść niemal wszystko.

<sup>[6]</sup> Bertie Wooster oraz Jeeves – para głównych bohaterów popularnych opowiadań i powieści humorystycznych angielskiego pisarza P.G. Wodehouse'a, zekranizowanych m.in. przez telewizję ITV na początku lat 90. XX wieku. W rolę Woostera wcielił się wówczas Hugh Laurie, a w rolę Jeevesa – Stephen Fry.

## Catherine i Henry

Nie raz nad ranem szukałam ucieczki w zapiskach Henry'ego Brandlinga, którego nieco mechaniczny charakter pisma maskował nietuzinkowość opisywanych wydarzeń. Jego relacja była intrygująca, w najlepszym, a zarazem najgorszym znaczeniu tego słowa. Pominięte przez niego detale wywoływały u mnie często dezorientację lub frustrację. Narracja najeżona była gwałtownymi i wyprowadzającymi z równowagi skrótami. Gdy czytelnik wyobrażał sobie, że autor powrócił do tartaku, nagle ze zdumieniem napotykał fragment wspominający, że właśnie siedział na krześle przed gospodą. Wyobraziłam sobie krzesło w stylu Van Gogha, ale kto mógł to wiedzieć?

Znienacka w opowieści pojawiał się Carl, nawet nie w całej swej okazałości, tylko lekkie muśnięcie ramienia, błoto na jego butach. Oczywiście było, że Henry go kochał i był zazdrosny o jego przywiązanie do Sumpera, który „nabijał chłopcu głowę niebezpiecznymi bzdurami”. „Zabawki” Carla były tak zaskakujące, że według Henry'ego jedynym logicznym wyjaśnieniem było to, że „zrobił je sam Sumper tylko po to, żeby mnie podrażnić”. Mnie samej dużo bardziej podobała się ta druga możliwość, zakładająca, że chłopiec naprawdę był tak inteligentny, że były to jego własne wynalazki. Miał (a może też sam skonstruował?) *camera obscura* i „trwonił czas” na fotografowanie turystów. Na tym temat się urwał, lecz już w następnej linijce Carl znów się pojawił, bez ostrzeżenia, kładąc u stóp Brandlinga ogniwa galwaniczne.

Jeśli ogniwo galwaniczne to rodzaj baterii (sprawdziłam, że istotnie tak jest), wydawało się anachronizmem. Ale z pewnością nim nie było. Po Henrym Brandlingu nie można się było spodziewać opowieści w stylu fantastyki naukowej.

Jak pisał Henry, Carl ułożył baterie na drodze przed gospodą i wyjął z kieszeni zdechłą mysz, którą podpiął do kabelków. Mysz podskoczyła wysoko, wytrzeszczając oczy „w zdziwieniu” i obnażając kielki gotowe przegryźć kark bezbronnej ofierze.

Następnie „święte dziecko” „pierzchnęło” przez łań podoschniętego lnu, unosząc ze sobą „przrzędy” schowane w „sakwie”.

Ponad wiek później czytelniczka Henry'ego popijała lodowatą wódkę przy Kennington Road. Odwróciła wzrok od swego samotnego odbicia w czarnym kuchennym szkłe i kątem oka pochwyciła ulotny obraz psotnego aniołka zjawiającego się przed gospodą z malutkim „silniczkiem”. Co w ogóle oznaczało słowo „silnik” w 1854 roku? Trudno wyobrazić sobie motor z „jednym dużym kołem i jednym małym”, który „kuśtyka i kuleje”, sunąc „z rykiem drogą spowity kłębam dymu”.

Te wszystkie „sztuczki i kaprysy” martwiły Henry'ego, gdyż zabierały cenny czas niezbędny do skonstruowania kaczki.

Dla pogrążonej w rozpacz specjalistki w dziedzinie horologii, codziennie oddającej się pracy w Aneksie Muzeum Swinburne, jasne było, że nawet jeśli Sumper był oszustem, był też wybitnym technikiem. Trudno byłoby wymienić więcej niż dwóch spośród mu współczesnych, którzy byliby w stanie zaprojektować i wykonać równie zaawansowane mechanizmy. Stając w obliczu trudności, jaką była osobowość i postura Sumpera, Henry naturalnie skłaniał się do przyjęcia wersji Arnauda, według której zegarmistrz był brutalnym prostakiem.

Każdego ranka utwierdzałam się w przekonaniu, że tak nie było.

Co do samego Arnauda, zgadywałam (raczej trafnie), że nie był ani szpiegiem, ani domokrażcą, ale wędrownym złotnikiem, którego prawdziwe zajęcie ukrywano przed sponsorem – odkrycie prawdziwego zawodu Arnauda uświadomiłoby Henry'emu, że będzie musiał wyłożyć

o wiele, wiele więcej niż dotychczas.

Potwierdzeniem moich przypuszczeń były znajdowane codziennie w pracowni nr 404 nowe dowody, które wyraźnie świadczyły o determinacji i perfidii konstruktorów urządzenia. Sumper ewidentnie robił to, na co miał ochotę. Z przykrością czytałam tak często pojawiające się w rękopisach jego klienta słowo „kaczka”, wiedząc, że owym stworzeniem był i zawsze będzie majestatyczny łabędź – sto trzynaście obrączek ze szczerego srebra połączonych w długą łabędzią szyję; na każdym z nich grawerunek ze wzorem łabędzich piór; wszystko obfotografowane, obmierzone, zważone i opisane.

Pracująca u mego boku dziewczyna z Courtauld była wyjątkowo pilna i znakomicie radziła sobie z Excelem, programem, który zawsze mnie irytował. A mimo to prace postępowały powoli. Sama opisałam w ciągu dnia osiemdziesiąt sześć obrączek oraz załadowała na komputer i zidentyfikowała ich zdjęcia w formacie JPEG. Pracując we dwie, straciłyśmy dwa dni.

Często wyobrażałam sobie, że Herr Sumper przewidział, iż pewnego dnia Amanda i ja będziemy się zmagać z jego łamigłówką. Był dla nas o wiele bardziej pomocny niż dla Henry'ego Brandlinga, dostarczając nam instrukcje montażu w postaci kodu numerycznego umieszczonego na obrączkach.

– Czy to uszkodzenie? – zapytała Amanda Snyder. – Może to pęknięcie z powodu przeciążenia?

Cieszyło mnie, że dostrzega drobiazgi, lecz choć cechowało ją świeże spojrzenie i głód wiedzy, nadal nieustannie szukałam wymówek, by ją odesłać – po to, żeby móc w spokoju czytać naszą korespondencję. Szczerze mówiąc, to właśnie był powód tak powolnego postępu prac.

Na przykład automat otoczony był kryzą lub wieńcem wykonanym ze stu dwudziestu dwóch srebrnych listków. Kazałam jej zanieść jeden z nich do Metali. Pracował tam ładny chłopiec, jej pobratymiec, schludny, z różowymi policzkami, na co dzień ubrany w przyduży płaszcz po ojcu.

Wróciła z informacją, że łabędź powstał we Francji.

Była to oczywista bzdura, ale bardzo mnie ucieszyło, że znów będę mogła ją gdzieś posłać.

– Niestety – zauważyłam – przypadkiem wiemy, że powstał w Niemczech.

– A skąd mamy taką pewność? – zapytała, lecz oczywiście nie miałam zamiaru zdradzać się z wiedzą o zapiskach Henry'ego. – Jest na nim znak Minerwy – nalegała. – Czy to nie znaczy, że powstał we Francji?

– Czy młody człowiek był pomocny?

– Chyba dużo wie.

Uśmiechnęłam się do niej, na co odpowiedziała rumieńcem. Ucieszyło mnie, że spodobał jej się chłopiec od metali w eleganckim krawacie w niebiesko-czerwone pasy. Czy chciałby pocałować dziewczynę z aparatem słuchowym? Głupie pytanie. Była prawdziwą pięknoscią.

– Tak – odparłam – ale łabędź naprawdę powstał w Niemczech.

– Skąd to wiadomo?

– Popatrz tutaj – powiedziałam, wskazując znaleziony przeze mnie znaczek złotniczy, zwykłą literkę A, która po prawdzie mogła oznaczać kogokolwiek. – To znak złotnika nazwiskiem Arnaud – oświadczyłam. – To hugenockie nazwisko, lecz faktycznie pracował w Niemczech.

Powinłam się wstydzić (nawet jeśli później miało się to okazać szczerą prawdą).

– Co do głowy Minerwy, jest to znak francuskiego urzędu probierczego, wymagany przy sprzedaży wyrobów złotniczych we Francji. W roku 1870 otwarto Wystawę Światową w Paryżu.

Możliwe, że łabędź był na niej wystawiany. I to twoje następne zadanie, Amando. Znasz Muzeum Brytyjskie?

Oczywiście znała. Prawdziwy z niej klejnot.

Nie przyszło mi nawet do głowy, że może mi jej brakować albo że będę wyglądać jej powrotu następnego popołudnia. Pojawiła się około piętnastej, w stroju weekendowym, z torbą od Burberry'ego i szalikiem z Liberty. Dlaczego dziewczyny z dobrych domów tak się ubierają, czemu noszą te paskudne kolorowe rajtuzy?

– Wyjeżdżasz na weekend? – zapytałam, kiedy przekazała mi zdobyte informacje.

– Do dziadka.

– Jak miło.

– Kocham go. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak jest. – Spojrzała na mnie raczej wyzywająco. – A pani jeździ czasem na wieś?

Akurat usuwałam zdjęcia z pola golfowego w Southwold. Nie roześmiałam się, nawet nie uśmiechnęłam, tylko pokręciłam głową.

– Przykro mi z powodu pani przyjaciela.

Najpierw poczułam wdzięczność za jej świetną intuicję, ale potem, od razu, pewność, że wie o mnie więcej niż powinna.

**Catherine**

Odkąd tylko uniosłam plandekę, zaczęłam żyć tym, co protokół z procedur określał nieadekwatnie mianem ramy, a co wyglądało raczej na drewniany kadłub poczerniony smołą. Jasne było, że kiedyś mieścił w sobie mechanizm, choć to odkrycie było mało pomocne przy naszym obecnym zajęciu – rekonstrukcji mechanizmu i osadzeniu go na współcześnie wykonanym cokole.

Zirytowałam się więc, gdy wróciwszy do pracowni, zastałam dziewczę z Courtauld pochylone nie nad prawdziwą magiczną uczta przygotowaną przez Sumpera, lecz nad makabrycznym kadłubem, równie atrakcyjnym jak rozjechany jeź na wiejskiej drodze.

Trzy razy udało mi się odciągnąć ją od niego, a za czwartym straciłam panowanie nad sobą i ostro rzuciłam: „Weź się do swojej cholernej roboty”.

W odpowiedzi ścisnęła mnie za rękę. „Panno Gehrig, proszę przyznać, że i pani jest choć odrobinę zaciekawiona”.

Omali nie uderzyłam jej w twarz. Strach pomyśleć, do czego by doszło, gdyby akurat nie napatoczył się Eric. Ją jak zwykle zignorował. Nazwał mnie Cat i nakazał mi nakręcić pozytywkę, po czym wykonał do wygrywanej przez nią melodyjki uroczo pozbawiony wdzięku wodewilowy taniec.

– Cudowne, cudowne – powiedział, zacierając suche kwadratowe dłonie. – To szesnasty cud świata. – I wyszedł.

Poprosiłam Amandę o pomoc w wyjęciu głównej sprężyny i zdawało się, że zapomniała o kadłubie. Poplamiła swój drogi sweter smarem, lecz chyba jej to nie obeszło. Urządziłam jej pogadankę o potrzebie wkładania fartuchów ochronnych, której wysłuchała ze słabo skrywaną niecierpliwością.

– Wspaniałe, prawda? – zapytała, gdy już przestałam zmywać jej głowę.

– Owszem.

– To moja cholerna robota, prawda?

Nieźle z niej ziółko. Musiałam się uśmiechnąć.

Sprężyna pozytywki była bardzo stara i wykonana ręcznie. Odznaczała się bogatą fakturą i bardzo się różniła od współcześnie produkowanych sprężyn. Wspólnymi siłami udało nam się położyć ją na stole. Obydwie umazałyśmy się przy tym smarem. Sweter Amandy był kompletnie zniszczony, lecz twarz kwitła rumieńcami, a oczy błyszczały.

W tej krótkiej chwili po raz pierwszy od śmierci Matthew poczułam, że żyję. Oczywiście zdałam sobie z tego sprawę poniewczasie, kiedy już wysączyło się ze mnie całe ciepło.

Była już siedemnasta, ale udawałam, że nie zdaję sobie sprawy z upływu czasu, i zabrałyśmy się do pracy nad ramą młoteczka, tym samym stając się pierwszymi od stulecia osobami odczytującymi alchemiczne szyfry umieszczone na dzwoneczkach. To dopiero była smakowita tajemnica. Miło, że nie musiałam jej prosić o ustawienie oświetlenia niezbędnego do sporządzenia dokumentacji fotograficznej. Już wcześniej dowiodła, że znakomicie radzi sobie z aparatem.

Gdy ona robiła zdjęcia, ja zajęłam się walekiem – choć niektóre z wypustek zostały wymienione, wiele było oryginalnych, co oznaczało, że spora partia melodii też może być autentyczna. Przetoczyłam walek po kalce, tworząc w ten sposób obraz, który następnie zeskanowałam. Kilkoma kliknięciami myszki przesłałam odbity wzór uroczemu pracownikowi Muzeum Muzyki Mechanicznej w Utrechcie, który w bardzo niedalekiej przyszłości zagra



melodię na pianinie i prześle mi ją w pliku MP3. Wyobrażałam sobie, że te cuda techniki wcale nie byłyby dużym zaskoczeniem dla Herr Sumpere.

Zanim Amanda uporała się ze zdjęciami, zrobiła się osiemnasta, lecz dziewczyna została dłużej, podczas gdy zgrywałam fotografie na twardy dysk, obdarzając ją przy okazji całkiem zasłużonymi komplementami. Były bardzo wyraźne i dokładne.

– Ta rzecz – powiedziała z wahaniem – ta rzecz, na którą nie wolno mi patrzeć...

– Tak, Amando? – Skupiałam całą uwagę na komputerze. Byłam zajęta zmienianiem nazw plików JPEG dokumentujących łabędzia.

– Obejrzałam ją.

– Jest znacznie więcej bardziej wartościowych rzeczy do zbadania.

– Określiła ją pani mianem kadłuba.

– To nieistotne. Nie przejmuj się tym.

Wydawałoby się całkiem racjonalne oczekiwanie od podwładnej zrozumienia takiego przesłania, lecz ona upierała się przy swoim.

– Próbowałam wyliczyć, czy byłby w stanie utrzymać się na powierzchni wody obciążony masą mechanizmu.

Zachowałam milczenie.

– Jestem beznadziejna z fizyki – wyznała z gniewem. – Kompletnie do niczego.

– No cóż.

– Ale byłoby cudownie, prawda, gdyby okazało się, że szklana imitacja wody sąsiadowała z prawdziwą wodą. Przepraszam, wiem, że jestem wkurzająca.

Owszem, była wkurzająca.

– Przepraszam – powtórzyła – ale nie potrafię trzymać się od tego z daleka.

Nie skomentowałam tego.

– Zrobiłam rysunek – oświadczyła, otwierając moleskinowy notes.

– Amando – powiedziałam – nie jesteś już na uczelni. Nasza ciekawość nie jest bezinteresowna. Nie będziemy organizować seminariów. Mamy bardzo konkretne zadanie. – Ale oczywiście spojrzałam na ten cholerny rysunek. Ukazywał długie klepki i podwójne drewniane pokrycie. Pięknie rysowała, z pewnością siebie niespotykaną u kogoś tak młodego, co ogólnie było największą wadą jej charakteru.

– Czarna kreda – wyjaśniła. – Wiem, to bardzo pretensjonalne.

– Dlaczego?

– Bo żaden ze mnie Giorgione.

Sama nie wiem, jak jeszcze dobitniej mogę powiedzieć, że tak silna wola u młodego konserwatora jest cechą absolutnie zaskakującą. Pojęłam, że od tej chwili moim zadaniem jest nie tylko rekonstrukcja łabędzia, lecz także poskromienie tej niebezpiecznej energii.

Wyjęłam jej z rąk notes i zamknęłam go.

– Myślisz, że mogłabyś napisać raport o stanie przedmiotu? To byłoby bardziej produktywnie zajęcie.

Nie była to jedynie hojność wobec nowicjusza. Nie wątpiłam, że ostatecznie na mnie spadnie obowiązek napisania lwiej części raportu, lecz jeśli Crofty naprawdę chciał opracować katalog, ten piękny i szczegółowy rysunek ukazałby znacznie więcej niż nawet najlepsza fotografia.

– Czy mogę pani coś pokazać? – zapytała.

Czyżby nie pojmowała, że właśnie lekkomyślnie wyświadczyłam jej wielką przysługę? Najwyraźniej nie, gdyż znów znalazła się przy kadłubie. Była jak mucha w świątyni, którą ciekawi tylko kupa gówna.

– Tu chyba butwieje.

Oczywiście miała rację – kilka centymetrów poniżej części, którą można by nazwać łata dachową albo stępką, widoczna była niewielka plamka. Smoła w tym miejscu odpadła, odkrywając zszarzałe drewno.

– Proszę spojrzeć. – Zanim zdołałam ją powstrzymać, podważyła krawędź smoły, która oderwała się wraz z fragmentem łuszczącego się drewna.

– Nie! – Zaszokował mnie wstrętny dźwięk, który wydobył mi się z gardła, rwący się i chrapliwy niczym krzyk mewy.

– Przepraszam. – Przeraziłam ją.

– Nie szkodzi – powiedziałam. – Zrób mi przysługę i daj sobie z tym spokój.

– Szkodzi. Szkodzi, i to bardzo. Nawaliłam.

Spojrzałam na jej niechlujny strój, na perły i plamy ze smaru, i zdałam sobie sprawę, że musimy wyglądać naprawdę dziwnie. Zaczęłam się śmiać, a ona wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam, przepraszam, popsułam go. Przepraszam. Proszę się nie śmiać.

I jak tu jej nie współczuć?

– Przynieś, proszę, latarkę długopisową, leży na moim biurku.

– Długopisową?

– To taka mała latareczka LED-owa, na włączniku zaznaczona jest niebieskim lakierem do paznokci.

Powróciła, cała wymazana i czarna, z latarką w wyciągniętej ręce.

Gdy przyglądałam się uszkodzeniu, stało się jasne, że miała rację co do butwienia. To świetna wymówka, by usunąć kadłub z zasięgu jej wzroku.

Powstała dziura miała średnicę pięćdziesięciopensówki, światło latarki było ostre i mocne i gdy zaświeciłam nim w głąb otworu, dojrzałam coś naprawdę niezwykłego.

– Amando, podejdź no tutaj – powiedziałam głupio.

– Co zrobiłam?

– Powiedz mi, co widzisz.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. – Wzięła latarkę w dwa palce. – Och, panno Gehrig.

– No i?

– To kostka – odezwała się w końcu. – Sześcian o boku dwóch i pół centymetra.

W kolorze chabrowym. Znam się na kolorach – powiedziała z naciskiem. – Sprawdzę to jeszcze ze skalą Pantone, ale jestem przekonana, że to chabrowy.

Nie zastanowiłam się ani przez chwilę, jaki to będzie miało na nią wpływ. Myślałam tylko o niebieskich klockach Carla i jego sprytnej sztuczce. Odnalezienie go w trumnie kadłuba zaparło mi dech w piersiach.

Usunęłam na zawsze niebiańską światłość przebijającą przez gałęzie sosen w lesie za Walberswick, wrzosowisko w Dunwich w pełni rozkwitu, bardzo opalonego Matthew z uroczym nieśmiałym, bardzo angielskim uśmiechem, ręką w kieszeni, oczyma w cieniu ściągniętych brwi. Usunęłam białą koszulę, luźne spodnie, rzadko już spotykany wiąz, o który się opierał. Kochany Matty T. Był przedstawicielem gatunku pełnych niewymuszonego wdzięku atrakcyjnych mężczyzn, w których specjalizuje się mój kraj. Usunęłam.

Usunęłam także JPEGi z Bungay, Walberswick, Alderburgh i Dunwich, zdjęcia melancholijnego betonowego schronu przeciwlotniczego stojącego za stacją.

W drzwiach pojawiła się Amanda i ruszyła prosto na mnie. Ukryłam to, czym się zajmowałam, i pochwaliłam jej spinę do włosów, obszytą aksamitem, w stylu lat sześćdziesiątych.

Ona w rewanzu pochwaliła moje jedwabne spodnie. Spodziewałabym się raczej, że prezentowana przez nią estetyka rodem z elitarnych szkół czyni ją ślepą na rzeczy pochodzące z Rue de Pré aux Clercs<sup>[7]</sup>, byłam więc przyjemnie zaskoczona.

Powiodłam ją w najbardziej oddalony kąt pracowni, tuż przy łazience, jak najdalej od uszkodzonego kadłuba. Było już i tak za późno, ale jeszcze o tym nie wiedziałam.

Wyłożyłam przed nią srebrne rybki, którymi labędź będzie się „żywił”, gdy wreszcie znów zacznie działać. Rybki „pływały” wzdłuż toru. Dałam jej czas na odkrycie czegoś na ich temat – na przykład gęsto rozmieszczonych śladów przebijaka na ogonach. Wyjęła notes i zaczęła robić notatki. Zostawiłam ją w spokoju, by mogła zbadać tor. Szybko pojęła, na czym polega to zadanie. Nie chciałam popsuć jej zabawy, informując, że jest tylko siedem rybek, choć liczba dziurek sugerowała, że poza nimi było jeszcze dwanaście innych ozdób. Niech to odkrycie będzie moim prezentem dla niej.

Zabrałam się do pracy przy srebrnych obrączkach, usuwając z nich stuletni osad ze smaru. Ledwie zaczęłam, gdy opuściła stanowisko pracy.

Co znowu, zastanawiałam się. Ale ona podeszła tylko do plecaka, z którego wyjęła fartuch ochronny. Wzdłuż jednego rękawa wyhaftowane było jakieś słowo. Zauważyła, że się przyglądam.

– Chłopak – wyjaśniła, co oznaczało, że na fartuchu wyhaftowane jest imię. Podwinęła rękaw, by je ukryć.

– Gus – dodała, rumieniąc się. Nagle przypomniało mi się, jak wspaniale było być młodzieńką studentką na wydziale sztuki. Zaczęłam studia w Goldsmiths College przekonana, że stworzę dzieła, które pozwolą mi osiągnąć spokój ducha. Zamiast nich odkryłam seks. Teraz opłakiwałam swoją niegdysiejszą cerę młódki. Smutno, lecz jednocześnie słodko było wyobrazić sobie tę młodą istotę wtuloną we śnie w szyję równie młodego mężczyzny.

– Całą noc rozmyślałam o tej kostce – powiedziała Amanda.

– Teraz możesz rozmyślać o rybkach.

– Panno Gehrig, mogę pani coś pokazać?

– Wolalabym raczej, żebyś zajęła się rybkami.

Lecz uparta dziewczucha już wyciągała z plecaka małą kostkę z tektury. Sklejenie sześcianu nie jest rzeczą skomplikowaną, lecz jej praca była naprawdę piękna, a kiedy położyła ją przede mną, dostrzegłam, że jest też nieskazitelnie czysta. Będzie z niej świetny konserwator, jeśli tylko nauczy się wykonywać polecenia.

– Proszę go otworzyć – poprosiła.

– Dlaczego? – spytałam kwaśno.

– Proszę.

Bok sześcianu liczył około siedmiu centymetrów długości.

– Nic tu nie ma. A teraz wracaj, proszę, do stołu. Masz zadanie do wykonania.

– Proszę rozłożyć go płasko.

Po raz kolejny zrobiłam to, o co prosiła.

– Sama pani widzi – powiedziała.

– Niby co?

– Po rozłożeniu – wyjaśniła – kostka tworzy składający się z sześciu części krzyż.

Sześcian to Jahwe ukryty, a krzyż to Jahwe objawiony. Super, prawda?

– Nie – odparłam, oddając jej kostkę. – Zewsząd otaczają cię tu tajemnice, naprawdę nie musisz ich dodatkowo wymyślać.

– Proszę się nie gniewać – tłumaczyła się. – Niczego nie wymyślałam.

Uniosłam brwi.

– Panno Gehrig, czy to nie piękne? Nie jestem ckliwa. Czytałam o symbolice sześcianu. Sześcian to „dusza pochodząca od Boga”. Odnoszę to do naszej kostki i zastanawiam się, dlaczego tam była.

– Amando, natychmiast przestań. W tej chwili. Nie jesteśmy tu po to, żeby wymyślać bajki o kadłubie. Naszym zadaniem jest rekonstrukcja tego niezwykłego przedmiotu. Realny świat jest wystarczająco piękny. Kiedy skończymy, dostaniesz gęziej skórki z wrażenia.

Ale nie miała zamiaru posłuchać.

– Sześcian jest geometrycznym wyrażeniem świętego imienia Jahwe. Przepraszam, jeśli uraziłam pani uczucia religijne.

– Nie jestem wierząca. Pewnie nie znasz nikogo mniej religijnego ode mnie. A teraz weź się, do cholery, do roboty i przestań robić zamieszanie.

Byłam zbyt ostra. W jej spojrzeniu nie czaiło się nic niepokojącego, wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że za chwilę się rozplacze. Właśnie dlatego nie cierpię pracować z młodymi kobietami.

– To nie twoja wina – dodałam pojednawczo. – Po prostu jestem racjonalistką.

Podwinęłam rękaw jej fartucha.

– Idź – powiedziałam – i dobrze się spis� z tymi rybami.

Jej chłopcu na imię było Gus. Mój chłopak z Courtauld miał na imię Marcus. Uważany był powszechnie za geniusza. Od lat o nim nie myślałam, lecz gdy delikatnie usuwałam osady ze smaru, przed oczami stanął mi obrazek z przeszłości. Stałam pod platanem, a Marcus, potężnie zbudowany i gestykulujący w sposób, który wydawał mi się wówczas ekspresyjny, bronił zajadle twierdzenia, że człowiek *jak najbardziej* może ulec samospaleniu. Początkowo słuchałam go z uczuciem, które brałam za miłość, i gdy wchodziliśmy tego ranka na Portman Square, byłam zupełnie nieświadoma narastającej we mnie irytacji.

I tak, jak wybuchłam dziś, tak samo wybuchłam wtedy. Nawet nie wiedziałam, że za moment oznajmię: „Co za farmazon?”.

Marcus był wysoki, lecz ja nawet w butach na płaskim obcasie niewiele mu ustępowałam wzrostem, więc mój wzrok był na równi z jego ładnymi oczami, które akurat zwężyły się jak ostrygi. Okrucieństwo tego porównania sprawiło mi dużo radości, wyobraziłam sobie bowiem reakcję ostrygi pokropionej sokiem z cytryny.

– Farmazon? – powtórzył, nieładnie marszcząc usta. – Jezu Chryste, a co to niby za słowo?

Bardzo wyszukane, pomyślałam, więc dobrze ci znane, choćbyś się tego wypierał z całych sił.

– Farmazony. – Zmarszczył oczy, próbując spojrzeć na mnie z góry, co było niemożliwe, choćby nie wiem jak mocno unosił głowę.

– Marcus, a niby jak to sobie wyobrażasz? Uważasz, że człowiek może po prostu stanąć w płomieniach?

– Co? – Nagle zaczął wyglądać jak chłopiec z ostatniej ławki odpytywany z przedmiotu, z którego nie jest mocny.

– Samozapłonowi może ulec stóg siana.

– Co za bzdury, Cat.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, że Marcus jest tępy. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale wciąż nosił przy sobie tę idiotyczną książkę Colina Wilsona. Kiedy ją znalazł, była potwornie stara i obszarpana, jakby obsikał ją pies, a on brał ją ze sobą do łóżka i czytał przy śniadaniu, obciążając stronicę przyciskiem do papieru.

Książka nosiła tytuł *The Occult* i była pełna hipisowskich bredni, choć z początku nie oceniałam go zbyt surowo. Nie był jednak tępy, wręcz bardzo bystry, lecz tak jak mój ogród przy Kennington Road zaanektowała wiele lat później rodzina lisów, tak Londyn tego lata przeżywał drugą inwazję Colina Wilsona. Moje towarzystwo żyło w fałszywie nostalgicznych oparach marihuany, pod której wpływem nawet najbardziej zagorzali ateści czuli się zmuszeni do odczytywania na głos Księgi Ezechiela, która opisywać miała wyczyny latającego spodka. Były to kompletne bzdury, lecz żyłam w tej czasowej pętli, aż poczułam, że mam dość.

– Marcus, doskonale wiesz, że ludzie nie stają w płomieniach tak po prostu, sami z siebie.

– Nie irytuj się tak. – Nie pierwszy raz powiedział tak do mnie, więc nie przyszło mu nawet do głowy, że przekracza jakąś granicę.

Był piękny, miał ciemnoniebieskie oczy i długie rzęsy. Wysoki i barczysty, co wtedy nie było akurat w modzie, absolutnie nie robił wrażenia niewykształconego i w ogóle wyglądał jak ktoś, kogo powinno się na wieki utrwalić w marmurze. Pominąwszy jednak urodę, wydawał mi się bardzo racjonalnym młodym człowiekiem. To właśnie on cierpliwie pokonał mój histeryczny opór wobec analizy spektrometrycznej.

– Dlaczego ludzie ulegają samozapłonowi? – Uśmiechałam się, ale patrzyłam mu wyzywająco w oczy i słyszałam niebezpiecznie oszalamiające brzęczenie w uszach.

– Nie wiem.

– Więc dlaczego wierzysz w te bzdury?

– Jak rany, Catherine, nie przynudzaj.

– No ale dlaczego wierzysz w to, że człowiek może stanąć w płomieniach?

– A dlaczego nie?

Przypominając sobie po latach tę sytuację, oceniałam swoje zachowanie jako sztywne, próżne i zarozumiałe, ale wtedy, kiedy Marcus Stanwood odpowiedział: „A dlaczego nie?”, nie mogłam wprost uwierzyć, że oddałam swe cenne ciało mężczyźnie, z którego ust padły takie słowa.

– To zabobony, kompletne banialuki.

– To niewytłumaczalne! – krzyknął. – Jezus Chrystus wstał z grobu, do kurwy nędzy. Ludzie stają w płomieniach i też nie wiadomo dlaczego.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu odwrócił się na pięcie i ruszył przez plac, niknąc w cieniu platanów. Zrozumiałam poniewczasie, że właśnie ze mną zerwał. Nie chciałam tego, nie było to moim zamiarem.

Wkrótce potem rzuciłam akademię sztuk pięknych i zaczęłam studiować horologię

w West Dean.

Wraz z Amandą Snyder pracowałyśmy aż do obiadu w nieprzerwanej ani słowem grobowej ciszy. W tym czasie nie udało jej się domyślić, że brakującymi ozdobami są prawdopodobnie trzciny. Słońce zaszło za chmury i rolety ocieniające pracownię pociemniały.

Punkt o pierwszej wstała z miejsca i stanęła za moimi plecami.

– Proszę – powiedziała, delikatnie kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Ależ oczywiście – odparłam. – Ja zjem za chwilę.

– Nie, proszę. Czy mogę rzucić okiem na niebieski sześcian, jeśli obiecuję zachować dla siebie wszelkie metafizyczne uwagi?

– Naprawdę musisz?

– Myślałam o nim przez całą noc. Zastanawiałam się, skąd się tu wziął, co oznacza.

Nie mogłam jej pohamować w żaden racjonalny sposób, więc w odpowiedzi przesunęłam w jej stronę LED-ową latareczkę. Już dobitniej nie mogłam okazać kompletnego braku zainteresowania.

– Panno Gehrig.

– Jestem zajęta.

– Panno Gehrig.

Z westchnieniem odłożyłam obrączkę na stół.

– Tak, Amando? O co chodzi tym razem?

– Ktoś przy nim majstrował – powiedziała.

– Nonsens – odparłam. – Pokaż.

– Niech pani sama spojrzy.

Wzięłam od niej latarkę i zajrzałam do wnętrza kadłuba, w którym, jak już wiedziałam, nie kryło się nic poza niewielką ilością trocin. Przyglądała mi się. Uciekłam spojrzeniem, lecz natychmiast stałam się obiektem impertynenckiego dochodzenia.

Zwiałam pod pretekstem poinformowania Erica Crofta.

Nie będziemy toczyć żadnych rozmów na temat jakichkolwiek aspektów niebieskich kostek, ani metaforycznych, ani duchowych, ani nawet fizycznych. W ogóle będziemy niewiele rozmawiać. Wzięłam do pracy kartkę i ołówek, starając się naszkicować na niej, w jaki sposób części mechanizmu sterującego rybkami – tory, po których się poruszały, mocowania, dźwignie, krzywki i rolki – współpracowały ze sobą.

Minęły niemal dwa dni, zanim się zorientowałam, że ruch rybek był sterowany bezpośrednio przez szyję łabędzia. Pojęłam, że te dwa elementy urządzenia połączone są serią dźwigniek, a następnie odrzuciłam tę możliwość, by ponownie do niej wrócić. Początkowo założyłam, że rybki poruszały się zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara lub w kierunku przeciwnym i zmarnowałam mnóstwo czasu na próby rozstrzygnięcia, która z tych możliwości jest właściwa. Ale oczywiście dziwnego Herr Sumpera nie zadowoliliby tak proste rozwiązanie i dlatego siedem rolek było dwukierunkowych. Według projektu ryby mogły pływać w dwóch kierunkach, podzielone na dwie „drużyny”: cztery pływały zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, a trzy w kierunku przeciwnym. Cytując Amandę Snyde, której wreszcie pozwoliłam się wypowiedzieć, miało to przypominać „baraszkowanie”. Genialnie skonstruowana maszyna działała w ten sposób, że gdy automat skręcał szyję i pochylał głowę (czyli kiedy „łabędź” rzucił się na swe ofiary), rybki pospiesznie się wycofywały. Gdy moja asystentka to zrozumiała, aż podskoczyła i odważyłam się na nowo ją polubić.

Odwiedził nas nasz stały gość, więc Amanda usunęła się w kąt wraz ze swoim mikrometrem. Crofty nigdy nie posiadał trudnej sztuki używania wody po goleniu blenheim bouquet, którą najwyraźniej dopiero co ponownie sobie zaaplikował. Kosztowała „dwadzieścia pięć funciaków za flakon” – oznajmiał zawsze ze źle skrywaną satysfakcją, lecz dziś był zdecydowanie nie w sosie. Miałam nadzieję, że zły humor minie mu, gdy zrozumie, co przedstawia mój szkic.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując siniak na moim przedramieniu.

– A cóż to za pytanie? – odparłam. – Od kiedy to mężczyźnie wypada wypytywać kobietę o jej siniaki?

– Wszystko w porządku? – naciskał skwaszony, niczym niezniechęcony.

Nie podobało mi się to, co oznaczało tu określenie „w porządku”.

– Poślizgnęłam się pod prysznicem, wystarczy?

– Jak to się poślizgnęłaś?

– Ericu... poślizgnęłam... się... pod... prysznicem.

Amanda nie odrywała oczu od swojego Frankenpoda. Jej piękny kark był blady i nieruchomy.

Nie miałam pojęcia, skąd się wziął ten siniec, wiedziałam tylko, że byłam kompletnie nawalona. Kiedy się obudziłam następnego ranka, zasłona prysznicowa leżała pomięta na ziemi. Sam upadek pamiętałam jedynie jak przez mgłę. Najwyraźniej zdołałam również opróżnić całą butelkę wódki, a także schowałam do lodówki trzy nakręcane zegarki.

– Powinnaś sprawić sobie matę antypoślizgową.

– Masz rację – zgodziłam się.

Nadal nie zwracał najmniejszej uwagi na mój rysunek.

– Może zobaczysz, na co wpadłyśmy? – zaproponowałam. – Naprawdę robi wrażenie.

– Oczywiście. Wpadnę do was później, po południu. Teraz idę do dentysty. – W tej chwili

Amanda Snyder gwałtownie poderwała głowę, więc Eric przywitał się z nią.

– Dzień dobry, panie Croft – odpowiedziała i bezzwłocznie wróciła do pracy.

– Bardzo cię boli? – zapytałam.

Lecz jego oczy błędnymi już po rozłożonych na blacie elementach, jak gdyby te stanowiły część jakiejś gry pamięciowej.

– Słucham? – zapytał, lecz wyraźnie było widać, że nie interesuje go odpowiedź na to pytanie.

Przyglądałam się, jak obwąchuje wszystko z bliska, pochylając się nad srebrnymi obrączkami, lecz tak naprawdę nie okazując im zawodowego zainteresowania.

– Wpadłem tylko na chwilę. Już lecę. – Dopiero wtedy, już wychodząc z pracowni, dostrzegł plamkę spróchniałego drewna, lecz to „dostrzeżenie” było kompletną ściemą – uszkodzenie kadłuba nie było nawet widoczne z miejsca, gdzie stał, a dziwaczne wykręcenie szyi nie uczyniło tej pantomimy bardziej przekonującą.

– Poproszę George’a, żeby rzucił na to okiem w przyszłym tygodniu – odrzekłam.

– Tak, George’a – powtórzył, lecz już bezczelnie wyjmował z kieszeni własną latareczkę i pochylał się, by zajrzeć do wnętrza kadłuba.

Mój śmiech pewnie nie zabrzmiał zbyt miło, lecz on zdawał się go nie słyszeć. Gdy się wyprostował, na jego obliczu malowała się powaga i wyrzuty sumienia. Wychodząc z pokoju, wsunął latarkę do kieszeni spodni.

Gdy po Ericu pozostał jedynie zapach blenheim bouquet, skierowałam uwagę na dziewczę z Courtauld, które obmierzało coś za pomocą mikrometru. Gęste włosy spięte były bakelitową spinką, nic więc nie mogło ukryć triumfalnego szkarłatu, który oblał jej kark.

Mogłam spytać, czy drogi dziadzius nie jest przypadkiem przyjacielem Erica Crofta, lecz nie było już takiej potrzeby. Ty mały szpiclu, pomyślałam. Do końca dnia byłam dla niej bardzo oschła. Wychodząc, nawet się nie pożegnałam.

Upadek w wannie bardzo mnie przestraszył, lecz zmierzch i tak zastał mnie tradycyjnie w monopolowym przy Kennington Road, gdzie miły Ahmad o łagodnych oczach czekał już na mnie z butelką schłodzonej wódki stolicznej. Eric mógł sobie pytać, czy „wszystko w porządku”, ale jeden jedyny Ahmad miał pojęcie, ile dokładnie piję. Przynajmniej nic nie wiedział o zegarkach ukrytych w lodówce. To przerażające – dorastałam wśród tykania zegarów i zawsze znajdowałam pocieszenie w symfonii ich biegu, podobnego do ruchu morskich prądów, we wszechogarniającym naturalnym porządku. Włożenie zegarka do lodówki było aktem przemocy, niemożliwym do wyjaśnienia.

Przeszłam na drugą stronę Kennington Road, cudem uchodząc śmierci pod kołami samochodu. Po wejściu do mieszkania pootwierałam okna i zapaliłam świece o zapachu lawendy, by zabić przykry odór. Wódka trafiła do zamrażalnika, lecz jedynie na krótką chwilę.

Usiadłam na sofie, bardzo prostym meblu zaprojektowanym przez George’a Nelsona, znakomitym przykładzie dość kwakerskiego modernizmu, który zawsze tak lubiłam. Siedząc na niej, mogłam wyglądać przez wysoko umieszczone okno i podziwiać sylwetkę rosnącego za nim kasztanowca, przysłuchiwać się kłótniom kosów o najlepsze miejsca na gałęzi i obserwować, jak niebo powoli staje się atramentowe, nigdy zupełnie czarne, gdyż samobójczy silnik Londynu nigdy nie przestaje pracować, nawet nocami.

Pod oknem, wzdłuż ściany, stał niski regał na książki projektu Brunona Mathssona. Zazwyczaj nic na nim nie leżało, lecz wszystko wskazywało na to, że podczas pełnej przygód zeszłej nocy położyłam na nim niebieski drewniany klocek. I czemu by nie? To bardzo ładny kolor. Najwyraźniej bardzo starannie obmyślałam także odpowiednią oprawę świetlną, wykorzystując maleńką lampkę do czytania, którą Matthew kupił w Conran Shop przy



Marylebone High Street. Bawiłam się nią, dopóki frontowe ścianki tego memento nie zostały idealnie oświetlone.

Pociągnęłam łyk wódki.

Skradziony klejnot jaśniał odbitym światłem, tajemniczy, smutny i melancholijny, studium w błękicie, lecz także coś na kształt chłopięcych kapci, zostawionych pod łóżkiem trzy tysiące letnich nocy temu. Nie od razu, lecz dość szybko mój umysł zaczął krążyć po ścieżkach Henry'ego Brandlinga, tych wąskich kreskach przecinających łąkę w miejscach, gdzie trawa była pogięta, połamana i pozółkła, świeżych śladach prowadzących wprost do podskakującego jak zając Carla, mądrego, sprytnego Carla, martwego już i zimnego. Jego ciało skostniało i skruszało, a po mózgu, który niegdyś wymyślił i wykonał kostkę, nie pozostało nawet tyle, co zostaje z robaczka świętojańskiego czy cykady zasuszonej w pudełku. W tej chwili, opróżniając kieliszek, tak jak zeszłej nocy usłyszałam muzykę zegarów. Nakręcana orkiestra zawsze wygrywała melodię z Clerkenwell, dającą otuchę, bezpieczeństwo i spokój. Przez całe życie dawałam się uwodzić tykaniu zegarów, nie próbując nawet usłyszeć kryjącej się w nim grozy.

Potrzebowałam Henry'ego, żywego, dobrodusznego Henry'ego. Jego towarzystwo było mi nieodzowne podczas tej niekończącej się nocy. Czytałam, a on pisał.

<sup>[7]</sup> Rue de Pré aux Clercs – uliczka w paryskiej 7. dzielnicy, znana m.in. z eleganckich butików z odzieżą.

*Henry*

# 1

Między stronicami notatnika Sumpera panował istny galimatias wykresów i litografii przedstawiających rozmaite koła. Wyciągnął teraz z niego zapisaną gęsto notatkami kartkę, na którą naniesiono całe mnóstwo poprawek. Poinformował mnie skwapliwie, że to lista aniołów, a następnie, jak to miał w zwyczaju, schował ją z powrotem w ten stóg siana, nie dając mi szansy na dalszą dyskusję.

– Dlaczego więc w ogóle pan mi to pokazał?

Ruchem brody wskazał chłopca siedzącego cichutko przy oknie, zajętego opiłowywaniem kawałka metalu.

– Na tej liście jest jego imię – wyjaśnił.

– Chłopiec jest aniołem? Podejrzałem raczej, że jest pan przeciwnikiem zabobonów.

Gdyby w Furtwangen żył serafin, z pewnością nie miałyby tak brudnych paznokci i nietypowo długich palców. Usadowiło się na nich kilka kurzajek, które Carl próbował wyleczyć, nacierając je rozmarynem. Mój własny najdroższy chłopiec zawsze pachniał mydłem Pears, lecz zapach Carla był nie mniej przyjemny – jego przybycie zapowiadała zawsze drzewna woń.

Nie był aniołem, lecz dość bystrym chłopcem o pięknie ukształtowanej głowie. Zrobił z drutu figurkę skaczącego jelenia i jakoby sprzedął ją pakowaczowi. Podobny przedmiot rzekomo został zakupiony przez barona chorego na galopujące suchoty, a jeszcze kolejny trafił do chłopca z Anglii, który cierpiał na tę samą chorobę. Gdyby to Percy podarował mi takie upominki, stałyby się dla mnie najdroższym skarbem, lecz w przypadku Carla tylko mnie irytowały. Ceniłem w nim jedynie to, że był siłą napędową całego warsztatu. Pod jego nieobecność prace zwalniały, a gdy tylko wbiegał po schodach na górę, stukanie młotka i świst tokarki przyspieszały.

Percy potrzebował tylko jednego, jedyne go prezentu, tego ode mnie. Gdy Carl wręczył mi kostkę, skrzywiłem się i gdyby jego matka nie przytrzymała mnie za rękę, wyszedłbym z pokoju. Myślami byłem w innym kraju, gdzie posadzka zalana była wodą, a powietrze przesycone odorem siarki. Sumper pochwycił kostkę, a Frau Helga przesunęła moim paznokciem po polakierowanej powierzchni. Uruchoimiło to dźwigienkę, która spowodowała otwarcie pokrywy, a ze środka kostki wyskoczyła wysoka na piętnaście centymetrów figurka Anglika.

Ta absurdalna postać, z zarośniętą twarzą, wyłupiastymi oczami i cylindrem na wielkiej kwadratowej głowie, miała oczywiście przedstawiać mnie, mężczyznę, któremu gruźlica odebrała już jedno dziecko. Nie potrzebowałem zabawek, chciałem tylko zobaczyć, za co płacę.

– Zamierzam udać się na policję! – krzyknąłem.

Mina Sumpera wyrażała jedynie zniecierpliwienie, lecz twarze Helgi i jej syna powlókł smutek.

– Herr Brandling, wręczyliśmy panu podarunek.

– Skradliście moje plany.

– Nieprawda, Herr Brandling – powiedział chłopiec, blady jak śmierć.

– Wypełniamy pańskie polecenia – dodała Frau Helga. – Zapłacił pan nam za to.

Ich przerażenie sprawiło mi wielką satysfakcję.

– Zgadza się, droga Helgo, z tym że Herr Sumper nie jest w stanie pokazać mi żadnych dowodów. Majstruje, drażni się ze mną, ale widzę tylko, jak moje pieniądze znikają bez śladu w jego kiesie.

Sumper niebezpiecznie zbliżył swą wielką twarz do mojej i uszczypnął mnie w policzek. Odtrąciłem jego rękę, a on roześmiał się i burknął coś zaskoczony.

– Nawet gdybyś pan był papieżem – syknął – albo samym Jezusem Chrystusem, też ukrywałbym przed panem moją pracę. Muszę ją wpieryw doprowadzić do etapu, który będziesz pan w stanie pojąć.

– To banalnie proste, Herr Sumper – jeśli nie zdoła pan przedstawić mi dowodów na zadowolający postęp prac.

Być może potajemnie zasygnalizował coś Heldze. Wprawdzie niczego nie dostrzegłem, lecz to ona odezwała się teraz: „Pokażemy panu”.

Podążyłem za nimi nie na górę, lecz na dwór, w zimną ciemność otaczającą tartak. Tutaj, w letnim warsztacie, którego wcześniej nie widziałem, pokazano mi solidny stół roboczy, niedawno postawiony ponad ocienionym strumieniem. Przed nim stały trzy stojaki, na których wspierała się beczkowata konstrukcja podobna do kadłuba małej łodzi, lecz zbyt krótka i pękata, by mogła dobrze spełniać to zadanie.

We czwórkę otoczyliśmy ów szalony obiekt.

– A cóż to właściwie jest?

Sumper miał czelność wzruszyć ramionami.

– Tak jak mówiłem, nie zrozumie pan.

– Czy prosiłem o skonstruowanie łodzi?

– Czy zbudowałem dla pana łódź?

– W takim razie co to jest?

– Masz pan staw – rozpoczął swe niedorzeczne wyjaśnienia Sumper. – Zaprojektowałem to tak, że woda ze stawu będzie się przelewać przez reling, a następnie spływać wzdłuż tego rowku, więc cała ta pływająca konstrukcja będzie ukryta pod wodą. Dzięki temu kaczka będzie sprawiała wrażenie, że się porusza i łapie rybki, które będą się starały uniknąć tego smutnego przeznaczenia.

Mój Boże, mój najdroższy chłopiec leży w łóżku, blade jak kreda, a co godzinę krew odsysają mu wampiry.

– Kaczki nie żywią się rybami.

Sumper westchnął, pochylił głowę i podparł czoło dwoma palcami.

– Nurogęsi żywią się małymi rybkami – odrzekł. – Ale nie o to chodzi.

– Nie mam żadnego stawu! – krzyknąłem. Mam chłopca, ukochane dziecko, którego nie mogę zostawić samego, dodałem w myślach.

– Masz pan *coś*, staw czy zbiornik. W końcu jesteś pan angielskim szlachcicem, prawda?

– Uśmiechał się przy tym jak cyrkowy sztukmistrz, nie mogłem się więc przyznać do wypełnionego siarką basenu do hydroterapii.

– Kaczka Vaucansona żywiła się ziarnem – wyjaśniłem.

Być może dostrzegł mój ból, gdyż odezwał się dużo łagodniejszym tonem:

– Ma pan rację pod każdym względem. Popelnia pan tylko jeden błąd w rozumowaniu.

Proszę mnie zapytać, Herr Brandling, proszę mnie zapytać, w czym on tkwi. Powiem panu – nie jestem Vaucansonem. – Roześmiał się, poklepując mnie pocieszająco po plecach. – Proszę mnie teraz zapytać, czym jest Londyn.

– Jestem pewien, że zaraz sam pan sobie odpowie.

– Zgadza się. Londyn to niebiański klejnot – ciągnął Herr Sumper aksamitnym głosem. – Kiedyś nie miałem o tym pojęcia. Nie wyruszyłem z Furtwangen w poszukiwaniu sławy i zaszczytów, lecz po to, by uciec od mojego przeznaczenia, którym było ojcostwo. Proszę za mną – powiedział, podając mi chusteczkę do nosa. – Nie jestem Vaucansonem. Dzięki Bogu

w tym się zgadzamy.

Wybacz mi, najdroższy Percy.

Paradoksalnie w wyniku tych dwóch starć nawiązała się między nami bliższa zażyłość i weszły nam w nawyk wspólne spacerowanie w porze melancholijnego zmierzchu. Nie przeszkadzało mi, że tak mało ciekawi go moje życie. Szczerze mówiąc, było mi to na rękę, poza tym rozmowa z nim nigdy nie była nudna. To podczas jednego z takich spacerów, stojąc na skraju przepaści, wyznał mi, że planował zamordować ojca, powalając na jego łóżko drzewo. Niestety (jak sam powiedział), zaciął się jeden z bloczków i drzewo spadło na inny pokój. Teraz dopiero widzi, że było to pierwsze w pełni oryginalne urządzenie, jakie zaprojektował – podsumował dziwacznie, bez odrobiny skruchy, z chłodnym podziwem dla własnego geniuszu.

Ponieważ to właśnie jego geniuszu potrzebowałem, nie ośmieliłem się go oceniać.

Gdy nie udało mu się zamordować rodziców – bo przecież gdyby plan się powiódł, zginęliby obydwój – wskoczył na tratwę i spokojnie odpłynął. „Nie przypuszczałem nawet, że zmierzam w kierunku zupełnie nowej konstelacji”.

Ledwie widoczna w zapadającym mroku niemiecka koza wspinała się na drżących nogach na odsłonięte skaliste wzgórze. „Czyż całe moje życie nie było jednym wielkim cudem?” zapytał.

Przyznał się, że żywił „typowe wiejskie uprzedzenia” w stosunku do Anglików, dopóki nie poznał w Awinionie Angielki, za którą podążył do Londynu. A kiedy pokazała mu, co skrywała przed nim jego dolina, marzył o zesłaniu na nią powodzi, która zmyłaby cały Szwarzwald do morza.

Słyszałem żalosne beczenie kozy, lecz w ciemności widziałem tylko kredowy zarys drogi.

Lecz będąc w Londynie, Sumper zetknął się z przyszłością. Otaczały go cuda, tak mi powiedział. Czy wiem, co to jest barometr? Czy widziałem kiedyś balon na ogrzane powietrze? W Furtwangen nikt nigdy nie widział balonu, powiedział. Gdyby nad nimi przeleciał, nawet by go nie dostrzegli. Byli jak dzicy w Nowej Południowej Walii, którzy nie zauważyli angielskich statków, gdyż nie wiedzieli, że coś takiego w ogóle istnieje.

Czy przyszło mi kiedyś do głowy, zapytywał, że i ja mogę cierpieć na podobną ślepotę? Gdybym tak szedł drogą i nagle rozświeciłyby ją jaśniejące koniki morskie? Czy potrafiłbym dostrzec coś, co uważam za nieprawdopodobne?

W oddali Frau Helga uderzyła w dzwonek wzywający na kolację. To sprowokowało Sumpera do oświadczenia, że nie zamierza budować imitacji układu pokarmowego, nie jest bowiem oszustem. Przekonywał mnie, bym dotknął jego brzucha, gdzie miał bliźnę po nacięciu, przez które otrzymał bezpośrednie Rozkazy.

Udałem, że nie rozumiem, więc nie miał innego wyjścia, niż podążyć za mną na wezwanie dzwonka.

Na szczęście temat blizny nie pojawił się na nowo tej nocy, lecz gdy po posiłku Carl i Frau Helga udali się na spoczynek, Sumper wyjął coś, co wziąłem za owinięty w szmatę kawał mięsa, kozi udziec lub gnata dla psa.

Pisałem. Usiadł, nie czekając na zaproszenie i rzucił na mój brulion mały srebrny listek. Podziwiałem go lękliwie, mając nadzieję, że nie ma on nic wspólnego ze mną.

– Być może to się panu bardziej spodoba – powiedział, wolno odwijając zagadkowy przedmiot trzymany na kolanach. Nie była to bynajmniej kość, lecz pięć lśniących stalowych elementów połączonych ze sobą przegubowo.

– Szyja – wyjaśnił – dla pańskiego syna.

Nie była to jednak szyja kaczki. Przyznam, że wpadłem w panikę.

– Mój drogi mecenasie – rzekł, chwytając mnie za rękę – chyba jesteś pan szczęśliwy.

Musisz wieszować sobie powodzenia.

Byłem bliski łez.

– Sam pan pomyśl – ciągnął przymilnie – jakie to zaskakujące: wszedłeś do byle jakiego hoteliku w Karlsruhe, a skończyłeś z tym.

– Ale to nie jest kaczka.

Nie udało mi się go zawstydzić. Wykonał węzowy ruch ręką, niezwykle zwinny i kręty, podnosząc ze stołu solniczkę i szybko wpuszczając w rękaw. Popatrzył na mnie z triumfem, dumny ze swej złodziejskiej sztuczki.

– Szyja jest za długa – upierałem się. – Musi się pan zgodzić.

Odpowiedział mi najpierw niski, gardłowy śmiech, a potem zastanawiająca pseudopowaga.

– Zupełnie jak w przypadku męskiego członka. To po prostu niemożliwe.

Zdaje się, że jęknąłem. Tak czy owak, padłem ofiarą swoich własnych nadmiernych emocji.

– Prosty ze mnie chłop, ale proszę przyjrzeć się tej kunsztownej robocie, kupionej za pańskie pieniądze. Wszystko jest wykonane z precyzją do jednej setnej milimetra. Niech pan to weźmie pod uwagę. Proszę zobaczyć, jak te elementy pracują jeden w drugim, jak się obracają.

– Ale co to właściwie jest?

– Herr Brandling, powstanie z tego naprawdę niezwykle łabędź.

– Niech cię szlag, człowieku, gdzie twoje ludzkie uczucia? Kto daje dziecku w prezencie łabędzia?

– Cóż, pan będzie pierwszy.

– Łabędź nie może być zabawką.

– Wcale nie zamierzałem skonstruować zabawki.

– Człowieku, łabędzie łamią kości, to zabójcy.

– Herr Brandling, to, co pan mówisz, może i jest prawdą, tak jak i to, że niektóre łabędzie uprawiają miłość z młodymi pannami. Ten łabędź taki nie będzie. Wedle mojego zamiaru będzie to zaklinacz dzieci, piękny i przyjazny. Nikomu nie stanie się krzywda. Nikt nie umrze. Nawet połknięte przez niego rybki zmartwychwstaną i znów będą pływać.

– Prawdziwy cud – rzekłem.

– To sarkazm?

Nie, raczej wściekłość. Lecz nagle, w samym środku tego napadu złości, dostrzegłem

szklankę w połowie pełną. Sumper był nieokrzesany i zarozumiały, ale czy to stworzenie nie będzie w stanie działać tego, czego spodziewałem się po kaczcze? Czyż nie posłuży równie dobrze wywołaniu pobudzenia magnetycznego? Czemu by nie?

– Anglicy uwielbiają sarkazm – ciągnął Sumper – lecz skoro mówisz pan „cud”, mogę się tylko zgodzić. Tak jak cudem znalazł się pan w gospodzie Frau Beck w Karlsruhe, tak jak ja cudem trafiłem na Bowling Green Lane w Londynie. Nie, proszę usiąść. Niech pan nie wstaje. Jest pan zły, czuje się bezsilny, lecz to pan jest zleceniodawcą, choć nie ma nawet pojęcia, co umożliwił. Masz pan o wiele więcej mocy, niż się panu zdaje. Otóż, Henry, znałem tylko sześć słów po angielsku: „Jestem bardzo dobrym zegarmistrzem ze Szwajcarii”. To kłamstwo na niewiele mi się zdało i zanim znalazłem się przy Bowling Green Lane, zostały mi tylko dwie monety. Znasz pan nazwisko Thigpen?

Mój ojciec miał zegarek z dewizką z firmy Thigpen & Thwaite.

– To nazwisko wywodzi się od określenia kogoś, kto zebrze o grosze. Byłem właśnie takim zziębniętym i wygłodniałym żebrakiem, gdy przystanąłem przy wystawie sklepu Thigpen & Co. tylko dlatego, że na szybie, jak na wystawie sklepu tytoniowego, widniało to właśnie słowo wypisane złotą czcionką. Za szkłem ustawione było urządzenie kompletnie nieznane w Furtwangen, barometr. W środku zastałem młodego Anglika odzianego w skórzany fartuch. Zacząłem jak zwykle od historyjki o moim szwajcarskim pochodzeniu. A on co zrobił? Niech pan zapyta, co zrobił.

Ale nie było to konieczne.

– Cóż, Herr Brandling, poszedł po Herr Thigpena, szwarcwaldczyka z krwi i kości, który kiedy tylko otworzyłem usta, wziął mnie za bezużytecznego wytwórcę kukulek. Ale – ciągnął Sumper, przytrzymując mnie za nadgarstek, jak gdybym planował ucieczkę – ale, Herr Brandling, dźwięk ojczyściej mowy tak bardzo mnie uradował, że ubłagałem go, by pozwolił mi pracować u siebie przez tydzień bez żadnego wynagrodzenia.

Thigpen potrzebował kogoś do obsługi imadła i tokarki w prowadzonej przez siebie fabryce urządzeń.

Sumper natychmiast oświadczył, że jest w tych dziedzinach specjalistą.

Thigpen wyglądał na sprytnego staruszka, z bystrymi błękitnymi oczami ocienionymi krzaczastymi brwiami i siwymi włosami związanymi z tyłu wstążką.

„Najpierw byłeś Szwajcarem – zapytał drwiąco – a teraz znasz się na obsłudze imadła i tokarki?”

Kazał młodemu człowiekowi pokazać ręce, które już wcześniej zostały uznane przez angielską branżę zegarmistrzowską za zbyt potężne.

„Lubisz swoje ręce? – zapytał. – Myślisz, że potrafisz je uchronić przed obcięciem?”. Oczywiście przeraził Sumpera, który znał jedynie małe tokarki, używane przez zegarmistrzów.

„Chodź, Kukułko – polecił Thigpen. – Za mną”.

Szedł pierwszy między stołami, przy których pracowali zegarmistrzowie, zagłębieni w swej modlitwie niczym seminarzyści, minął wychodek i wszedł do drugiego budynku fabrycznego, który ciągnął się aż do Northampton Road. Tam, w długim i zimnym warsztacie ze szklanym sufitem, Sumper dojrzał zarysy wielkiego instrumentu naukowego, jakby liczydła wielkoluda albo silnik lokomotywy, zaskakującego niczym słoń zbudowany z mosiądzu i stali. Owo tajemnicze urządzenie, jak teraz twierdził, odmieniło jego życie, lecz w tamtej chwili nie mógł sobie pozwolić na przyglądanie mu się zbyt bacznie – był zbyt zajęty odgrywaniem roli tokarza bieglego w obsłudze imadeł.

– Herr Brandling, nie jesteś pan w stanie wyobrazić sobie, z jaką nienawiścią ludzie reagują na obcych. – Anglicy tokarze wykonali gest ilustrujący poderżnięcie gardła, co



oznaczało, że albo sami zabiją Sumpera, albo też zrobi to za nich maszyna.

Kiedy Sumper ujrzał po raz pierwszy potężną tokarkę, nie wydała mu się zbyt przerażająca. Thigpen wyjaśnił, że inne narzędzia używane w warsztacie są niezwykle delikatne i wymagają precyzyjnej regulacji przed każdym użyciem. Bardzo często czas spędzony na ich kalibracji był dłuższy od czasu produkcji.

Powiedziałem Sumperowi, że nie jestem mechanikiem i nie rozumiem, o czym mówi.

– Tak samo było i w moim przypadku, Herr Brandling. Nie miałem nawet czasu, by zapamiętać, jak się co nazywa.

Ogólnie rzecz ujmując, tłumaczył Thigpen, najbardziej racjonalne i opłacalne było stałe używanie danej maszyny do jednego, konkretnego zadania. Żadnego pierdzenia w stołek, wyjaśnił. Na przykład jedna tokarka powinna nieustannie produkować cylindry. Jego pracownicy z dumą oddają się nicnierobieniu, lecz dni pierdzenia w stołki przy Bowling Green Lane są już policzone.

– Jedna tokarka, jedno zadanie – powiedział.

Sumper był cudzoziemcem, który chętnie robił to, czego nie chcieli robić Anglicy. Nie bał się ich. Wielokrotnie to powtarzał.

Jeżeli ma umrzeć, zabije go monotonia. Praca przy fabrycznie ustawionej tokarce wymagała od tokarza dokonania mordu na wszelkiej inteligencji i umiejętnościach.

Choć pochodził z niższych sfer, dostrzegł, że toczy się tu gra o wyższą stawkę. Wraz z doskonaleniem umiejętności zdobywał więcej czasu na rozglądanie się dookoła i zaczął dostrzegać, że fabrykę odwiedzają regularnie szlachta, lordowie i książęta oraz członkowie Towarzystwa Królewskiego.

– Towarzystwo Królewskie – podchwyciłem. – Pewnie przynosili dla pana Rozkazy? – Mój żart nie spotkał się z miłym przyjęciem i pospiesznie spróbowałem naprawić gafę. – I czegoż to nauczył się pan przy Bowling Green Lane, Herr Sumper?

– Czegóż się nauczyłem, mój mały? Jedyne tego, że istnieją światy poza granicami mojej wiedzy i pańskiej wyobraźni. – Podniósł stalowe kości łabędzia i zamachał nimi przed moimi oczami w tak złowróżbny sposób, że od razu pożałowałem swojego głupiego żarciku. Jak tancerz wyginał długą rękę w sposób imitujący ruch szyi łabędzia. Stojąc na krześle, z całą mocą swych dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów, zamasyście i groźnie załopotał rękami niby potężnymi skrzydłami.

**Catherine**

# 1

Amanda z pewnością powiedziała dziadkowi, że ukradłam niebieską kostkę Carla, a on powiedział Crofty'emu. Wyobraziłam sobie ich równie obrazowo, jak wyobrażałam sobie Brandlinga i Sumpera siedzących w gospodzie – Amanda, jej dziadek i Eric, wszyscy razem w zapuszczonym salonie gdzieś w Suffolk – przeszklone regały na książki i zapadnięty w jednym miejscu sufit – raport szpiega i podejmowane przez całą trójkę decyzje co do spraw, które wcale ich nie dotyczą.

Trzeba nauczyć dziewczę z Courtauld, że ma raportować mnie, a nie swojemu dziadkowi lub Ericowi Croftowi.

Porozmawiałam więc z Amandą, choć oczywiście nie o kostce. Ukaralam ją. Zabroniłam jej zabierania się do czegokolwiek, co „wykracza poza zakres jej obowiązków”. Zachowałam się jak skończona suka. Odebrałam jej ukochane srebrne obrączki (które znakomicie doprowadzała do porządku) i kazałam wprowadzać do dokumentacji wymiary i przeznaczenie wszystkich ponumerowanych elementów. Nie było to mądre wykorzystanie jej czasu, gdyż kiepsko radziła sobie z mikrometrem i przy każdej pomyłce wydawała ciche okrzyki rozpacz. Było to irytujące dla nas obydwu, lecz niezłomnie tkwiłam przy swoim postanowieniu pokazania jej, kto tu rządzi. Chyba niespecjalnie mi to wyszło. Narobiłam jej tylko zamętu w głowie, zwłaszcza kiedy zabroniłam używania tak zwanego Frankenpoda, nawet w porze obiadu, kiedy pogryzała suszone owoce i orzeszki, spoglądając na jakieś burzliwe obrazki na jego wyświetlaczu.

– Co to jest? – zapytałam na koniec naszej dość przykrew rozmowy. – Jakiś teledysk?

– Nie wie pani?

– Inaczej przecież bym nie pytała.

– Wyciek oleju. To obraz na żywo z kamery ukazującej wyciek oleju.

Tak więc Catherine Gehrig jako ostatni człowiek na ziemi dowiedziała się, że do Zatoki Meksykańskiej trafiły miliony baryłek ropy. Do katastrofy doszło najwyraźniej w przeddzień śmierci Matthew.

Amanda była bliska łez. Spakowała swoje rzeczy i schowała Frankenpoda, lecz ja, podstępna hipokrytka, zapamiętałam już adres URL. Wieczorem w domu godzinami kontemplowałam ten obrzydliwy widok.

Gdy następnego ranka weszłam do pracowni, Amanda już na mnie czekała. Widać było, że chce doprowadzić do otwartej konfrontacji. Nie mogłam jednak ujawnić przed nią ani osobistego stosunku do skradzionej kostki, ani przerażenia, jakie ogarnęło mnie na widok pomyj wlewających się do wód zatoki, owego „wypadku”, który zdawał się być końcem całej historii ludzkości.

Zakrzątnęłam się przy pracy, przeglądając wykresy w Excelu przygotowane przez Amandę.

– Bardzo dobre są te wykresy – pochwaliłam. I była to prawda. Były wręcz znakomite. Lecz nadal nie byłam gotowa wybaczyć jej zdrady.

Chyba w tej właśnie chwili pojęłam, że Amanda to Amanda i że nie odpuści. Gdy tylko skończyłam analizować wykresy, zmusiła mnie do stawienia jej czoła.

– Głupio zrobiłam – powiedziała. – Przepraszam, że wystąpiłam przed szereg. Przykro mi.

Była taka młoda, a jej piękna skóra taka jędrna i gładka. Kto mógłby wątpić w szczerść jej skruchy?

- Kochasz dziadka – odparłam.
- Ale wiem, gdzie pobłądziłam, panno Gehrig. Nie powinnam była z nim plotkować.
- Jak rozumiem, pan Croft składa wizyty twojemu dziadkowi.
- Nagle coś, jakiś lęk albo poczucie dumy, kazało jej cofnąć się o krok.
- Ależ ja nic nie wiem o panu Crofcie. Naprawdę.
- Amando! Z pewnością to on pomógł ci dostać tę pracę.

– Nie!

Twarz miała teraz czerwoną, wręcz szkarłatną.

– Nie. Dziadek nigdy by czegoś podobnego nie zrobił. Gardzi ludźmi wykorzystującymi swoje znajomości.

Nie uwierzyłam jej na słowo, lecz jasne było, że ona sama głęboko wierzy w to, co mówi. Koniec końców ta wymiana zdań pozwoliła nam się uspokoić.

Na drugie śniadanie podzieliłyśmy się kanapką. Potem wręczyłam jej wielofunkcyjną krzywkę, którą miała rozłożyć, oczyścić, sfotografować i opisać. Był to piękny prezent.

Wczesnym popołudniem słońce wyszło zza chmur, podświetlając zniecka rolety osłaniające okna pracowni.

O siedemnastej zapytała, czy może wyjść na „drinka z kolegami”. Nie miałam pojęcia, gdzie się wybiera, lecz oczy jej błyszczały. Pogłaskałam ją po ramieniu odzianym w angorę.

– Czy oglądałaś wczoraj obraz z tej kamery internetowej? – zapytałam.

– Tak.

– Wszyscy to oglądają? Twój znajomi?

– Nie, nie wszyscy.

– To okropne.

– Zgadza się – przytaknęła. – Czy mogę już iść, panno Gehrig?

Wynalazcy silnika spalinowego nie przewidzieli tak potwornych skutków. Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że ich wynalazek nie tylko podniesie temperaturę całej ziemi, ale również zamieni oceany w smoliste piekło.

Zamaszyste ruchy pióra Henry’ego były jak wygryzione przez korniki tunele w przeszłość. Byłam tam. Widziałam, jak Herr Sumper odpakuje przegubową szyję. Widziałam wybuchową zabawkę Carla przelatującą z hukiem nad gospodą, jego zgalwanizowaną mysz, błękitny klocek, potężny instrument naukowy Thigpena wielkości słonia. Przez jeden z tych tuneli, cienki jak rurka do napojów, dostrzegłam ten wynalazek w całej jego błyskotliwej i toksycznej krasie.

W domu postawiłam na kuchence garnek z wodą i zapaliłam gaz. Będę gotować. Makaron, sardynki, kapary, czerstwy chleb, oliwa z oliwek. Będę jeść, macerować, wydalać.

Zadzwoił dzwonek u drzwi – to Eric, przyszedł po skradzioną kostkę. Wyjęłam dla niego talerz i widelec.

– Nie, nie – odpowiedział.

– Za dużo ugotowałam. Nie mogę się odzwyczaić.

– Jestem z kimś umówiony na kolację – wykręcał się.

Mimo to nakryłam też dla niego. Obok talerza położyłam zawinięty w chusteczkę niebieski klocek.

Byłam pewna, że chce ujrzeć chabrowy błękit.

– Wzięłaś go do domu, żeby przeprowadzić jakieś badania? – zapytał.

Uśmiechnęłam się.

– Wariatka – skwitował.

– Zgadza się.

– A niech cię – powiedział z uśmiechem. Lubiłam zmarszczki wokół jego oczu. Wyobrażałam sobie, jak gra w pokera. I rzeczywiście, wyjął z kieszeni kopertę wielkości karty do gry. W środku znalazłam wiktoriański portrecik na tekturze.

– Twój facet – powiedział, przypominając mi, za co go tak lubię: za to, że jest takim nicponiem. – To właśnie on zlecił wykonanie łabędzia. – Spoglądał na mnie tajemniczo. Pomyślałam, że jednak zadał sobie trud przeczytania brulionów. Przeczytał je na samym początku. – Nazywał się Henry Brandling – oznajmił.

– Tak? A skąd wiesz?

Znów ten uśmiech.

Nie mógł nawet przypuszczać, jak żywo interesuje mnie Henry. Zakładał z pewnością, że jestem ciekawa, lecz jak mógłby odgadnąć, ile znaczyło dla mnie to, że mój ukochany autor był tak wysoki i przystojny, z dzieckiem w ramionach? To, że mogłam go w ten sposób poznać, docenić jego szlachetność i czułość, nappełniło mnie szczęściem i dodało otuchy.

– Percy – powiedziałam.

– Henry – poprawił mnie. – Henry Brandling.

– Dziecko.

– Ach, o nim nic mi nie wiadomo.

W fotografii było coś niepokojącego, wyjęłam ją więc z plastikowej koszulki, by bliżej się jej przyjrzeć.

– To nie było wtedy tak rzadko spotykane – wyjaśnił Eric.

– Skąd to masz?

Położył mi rękę na plecach.

– Okropne, prawda?

Dopiero wtedy zrozumiałam – dziecko w ramionach ojca było dziełem sztuki wiktoriańskiego przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Gówna prawda – odpowiedziałam.

– Cat, Cat, o co chodzi?

Wyciągnął ku mnie rękę i nagle nie był już urwisem z sympatycznymi zmarszczkami wokół oczu. Dlaczego usiłujesz mnie zniszczyć, zastanawiałam się.

– Cat.

– Nie mów do mnie Cat. Nigdy.

– Catherine.

– Idź sobie, wynoś się! – Wyjęłam z szafy jego płaszcz i cisnęłam w niego. Sięgnął po błękitną kostkę, ale go ubiegłam.

Kilka godzin później odkryłam na rewersie datę i pojęłam wreszcie, że na fotografii jest nie Percy, lecz jego siostra Alice, której imię wspomniał w związku z zegarem pogrążony w żalobie Henry Brandling.

Zaczęłam na nowo czytać gazety. Dowiedziałam się z nich, że Amerykanie zbudowali robota, który uczy dzieci autystyczne. Pod wieloma względami przewyższa ludzi. To znaczy jako robot nigdy nie jest wyczerpany emocjonalnie; nigdy nie traci cierpliwości; nie płacze i nie miewa napadów złości.

Robot nazywa się KayKay. Nie bardzo wiem dlaczego. Nie próbuje ukrywać kabelków i innych wnętrzności. Wedle doniesień gazety, gdy po raz pierwszy pojawił się w zakładzie w Austin, w stanie Teksas, dzieci rzuciły się na niego całą gromadą. Pod koniec pierwszego dnia chłopiec z zespołem Aspergera wyrwał mu ramiona.

Dziennikarz był trochę za bardzo ucieszony tym faktem, lecz firma produkująca robota stwierdziła, że to reakcja typowa dla „krzywej uczenia się”. Gdy robot ponownie wyszedł do ludzi, jak donosił „Guardian”, ramiona były już naprawione. Teraz, kiedy KayKay płakał, mali Aspie już go nie „krzywdzili”. Jeśli płacz nie ustawał, obejmowali robota.

Catherine chce mieć KayKay.

KayKay jeździłby na kółkach krok w krok za Catherine po całym mieszkaniu, zbliżając się ostrożnie, z boku i nigdy nie naruszając jej „przestrzeni osobistej”. KayKay mówiłby „Uh huh” (dźwięk oznaczający zachętę w amerykańskiej odmianie angielskiego) za każdym razem, gdy Catherine zbliżałaby się do niego. Kiedy Catherine by się oddalała, KayKay mówiłby „Aw” (w dialekcie amerykańskim oznacza to rozczarowanie).

Pomyślałam, że Eric Croft ma już dość moich łez i złości. Czy można go za to winić? Kto nie wolałby towarzystwa kogoś normalnego?

Siedziałam przy kuchennym stole, wpatrzona w falujące łańcuchy znaków pozostawionych przez pióro Henry’ego Brandlinga. Patrząc z góry na linijki jego pisma, dostrzegałam między nimi migotliwe świece i głęboki cień miejsca, które jest „gdzie indziej”. Dzielili nas olbrzymia odległość, lecz widziałam ciemne smutne oczy Henry’ego, bacznie obserwujące pozostałych mieszkańców tartaku w Furtwangen – czwórkę lub piątkę – łączących maleńkie ogniwa łańcuszka.

Henry Brandling nie miał jeszcze pojęcia, jaką funkcję będzie spełniał ów łańcuszek.

Za to na czwartym piętrze Aneksu Muzeum Swinburne Catherine już go dotykała, naciągała, nakazywała mu poruszać szkieletem łabędziej szyi.

W świetle płomieni oczy Henry’ego Brandlinga wydawały się niespokojne i przestraszone. Już stracił jedno dziecko. Jak trudne musiały to być dla niego minuty, każda z nich była męczarnią.

Każdy z Niemców dzierżył małe narzędzie do montażu, niewiele więcej niż wspornik z pojedynczym rowkiem, w który wpasowywano drobne elementy łańcucha, aby umożliwić właściwe rozmieszczenie nitów. Najszybciej pracował chłopiec, lecz Henry z największym zdumieniem obserwował Sumpera i pracę jego potężnych rąk. Mężczyzna skrycie rywalizował z chłopcem.

Często Henry mógł się jedynie przyglądać z wręcz przerażającą intensywnością, która nie miała nic wspólnego z wykonywanym przedmiotem. Siedział na trójnożnym taborecie przy dogasającym ogniu.

Czy Henry Brandling mógł przewidzieć istnienie Catherine?

Jasne było, że przewidywał obecność kogoś, kto będzie go podglądał przez tunelik wiodący do przyszłości. To dla tego kogoś pisał. Bezustannie rozmyślał o chwili, kiedy

łańcuszek ożywi łabędzia, którego uparcie nazywał „moją kaczką”.

Domyślałam się, że kłamie, lecz nie mnie.

Za oknem szumiały opony samochodów przejeżdżających Kennington Road. Wyblakłe linijki, które wyszły niegdyś spod pióra Henry’ego Brandlinga, przypominały wodorosty falujące pod powierzchnią wody. Zbieracz baśni i złotnik powoli zlewali się w jedno. Tak jak już wcześniej odgadłam, byli jedną i tą samą osobą. Jeśli Henry nie kłamał przede mną, w takim razie przed kim? Przed Bogiem? Powróciłam do Furtwangen i przerzuciłam stronę.

Sumper splunął w ogień.

– Posłuchaj mnie pan uważniej – rzekł do zbieracza baśni. – Taka jest natura nauki, że to, co prawdziwe, jest zawsze niemożliwe do zaakceptowania przez ludzi.

Oczywiście ja, Catherine, zgadzałam się z nim. Kto z nas nie przyznałby mu racji?

– Opowiem wam prawdziwą historię – zaproponował zbieracz baśni.

Chłopiec prosząco spojrział na Sumpera, choć jego drobne, pokryte kurzajkami palce „nawet na moment nie zwolniły”. Był jak ptaszek, nieustannie wydziobujący z miski ognia łańcuszka.

Zbieracz baśni lekko zastukał w łańcuch delikatnym czarnym młoteczkim.

– Dokładnie 15 kwietnia 1614 roku, co jest absolutną prawdą, w starej części Salzwedel, tuż przy ulicy prowadzącej do klasztoru św. Anny, popełniono morderstwo.

Carlowi zwięzły się oczy.

Kolekcjoner baśni był bezlitosny. Opisywał, jak mordercy odcięto dłonie, jak torturowano go rozgrzanymi do czerwoności obcęgami, jak zaciągnięto go na miejsce egzekucji i przywiązano do góry nogami do koła. „Cudowne”, a jednocześnie potworne było to, jak twierdził zbieracz baśni, że dłoń, którą morderca popełnił ów okropny czyn, krwawiła nieprzerwanie przez trzy następne dni.

– Czemuż muszę tutaj tkwić? – wykrzyknął Sumper, najwyraźniej nieświadomy przykrości, jaką opowieść sprawiała dziecku. – Czemu zdarza się to akurat mnie, czemu muszę siedzieć tutaj i słuchać tych bzdur?

Catherine w pełni go rozumiała i współczuła mu. Zasługiwał na rozmowę na wyższym poziomie. Ona sama toczyła z nim każdego dnia przy pracy o wiele bardziej odpowiednie dyskusje.

Stałam tuż obok niego, tuż obok całej czwórki montującej łańcuszek do bębna wyrównawczego, a raczej cztery łańcuszki. Widziałam, jak rosną w oczach, stuk puk, szybciotko. Zapadła długa chwila ciszy, nieprzerwana ani słowem, a zdania najeżone straszonym, niespokojnym przecuciem ciągnęły się przez stronicę. Wreszcie Sumper odezwał się do „obrzydliwej gnidy”.

– Słyszałeś pan pewnie o Sir Albercie Cruickshanku.

Catherine nie słyszała.

Sumper wstał od stołu. Anielski chłopiec „ukradkiem porównał” długości obu łańcuszków, swojego i Sumpera. Szepnął coś do matki, a ona wyjęła łańcuszek Sumpera z niebiańskiej ręki syna i odłożyła go z powrotem do zakuwarki. W chwilę później zegarmistrz powrócił do kuchni z „mocno wyświechtaną” książką w dłoni. Pieszczotliwie potarł Carla za włosy i obaj wybuchnęli śmiechem.

Catherine przeczytała tytuł dzieła: *Mysterium Tremendum*.

– Autorem jest Sir Albert Cruickshank – wyjaśnił Sumper zbieraczowi baśni. – Jest profesorem matematyki w Katedrze Lucasa w Cambridge<sup>[8]</sup>. Jest członkiem Towarzystwa Królewskiego i wynalazcą Maszyny Cruickshanka.

Zbieracz baśni wymownie westchnął, lecz dziecko z oczekiwaniem spoglądało na książkę

i na łaciński tytuł wytłoczony złotą czcionką połyskującą w świetle płomieni. Henry zgadywał, że była to dobrze wszystkim znana melodia.

– M. Arnaud – kontynuował Herr Sumper – *Mysterium Tremendum* powstało na Uniwersytecie Cambridge i niech pan się nie wstydzi, jeśli nigdy pan nie słyszał o tej instytucji. Istnieje ona bowiem poza granicami pańskiego świata. „Zaklinałem przeto mojego przewodnika – przeczytał – by pozwolił mi ujrzeć choć przez chwilę te istoty o wyższej inteligencji, to, w jaki sposób rozumują i w czym znajdują przyjemność. To stworzenia daleko wyżej rozwinięte, niż ludzki umysł jest w stanie sobie imagiować”.

„Znów byłem w ruchu” (Herr Sumper wstał). „Ujrzałem pod sobą jeziora i morza, a na ich powierzchni dostrzegłem żyjące istoty, których nie potrafię opisać odpowiednimi słowy. Poruszały się podobnie jak koniki morskie. Przenosiły się z miejsca na miejsce za pomocą sześciu cieniusieńkich błon używanych jak skrzydła. Ujrzałem niezliczone splecione ze sobą przewody, na myśl przywodzące trąbę słonia, które zajmowały, jak sądziłem, górną część ich ciała. Moje zdumienie przeszło w obrzydzenie, tak dziwaczne były te narządy”.

O rany, pomyślała Catherine, ja piórkuję. Poczula się tak, jakby wpuściła do domu świadka Jehowy. Lecz chłopcu było w to graj. Słuchał z otwartymi ustami, a jego czupryna „odbijała światło świec”. Objął dłoń matki swoimi długimi, szczupłymi palcami, „bladymi, plastycznymi, giętkimi jak szysza ptaka”.

– Pan – tu Sumper wycelował palcem w Henry’ego Brandlinga – pan jesteś teraz w takim stanie jak mucha, której mikroskopijne oko zastąpiono ludzkim.

Chłopiec posłał Henry’emu „uroczy i współczujący uśmiech”. Bezgłośnie wtórował Sumperowi, gdy ten czytał: „JESTEŚ CAŁKOWICIE NIEZDOLNY DO POŁĄCZENIA TEGO, CO WIDZISZ, Z TYM, CZEGO NAUCZYŁO CIĘ ŻYCIE”.

Catherine zadrżała. Co o tym wszystkim myśleć? Czyżby wielki mechanik był równocześnie mistykiem?

Sumper czytał dalej: „Owe istoty jawiące się teraz przed tobą, istoty, które wydają ci się niemal równie niedoskonałe jak proste zoofity, odznaczają się wrażliwością i intelektem daleko większymi niżli mieszkańcy tej ziemi”.

Nie mogłam uwierzyć, że te słowa naprawdę mogły wyjść spod pióra człowieka nauki. Nie miałam pojęcia, ile Cruickshank zaczerpnął z dzieła *Consolations in Travel* Humphry’ego Davy’ego. Na myśl nie przychodziło mi bynajmniej Towarzystwo Królewskie, lecz raczej C.S. Lewis, piszący pod wpływem LSD. Nie spodziewałam się tego po Sumperze, dla którego pracy czułam przez cały dzień jedynie podziw i szacunek.

– Nie masz pan pojęcia, gdzie jesteś – mówił Sumper do Brandlinga – ani co się tu wydarzy. W tym właśnie pokoju – ciągnął – zostałeś pan namaszczonej na posłańca i odegra pan swoją rolę, nie wiedząc, na czym tak naprawdę ona polega, albo wyobrażając sobie, że pełni sprawczą funkcję w opowieści, której nigdy nie będzie mu dane przeczytać.

Henry opisał „szaleństwo buchające niczym żar z pieca” i przerażenie, które „zmroziło mu krew i zjeżyło włos na głowie”.

Catherine ponownie odczytywała ten fragment: „Owe istoty jawiące się teraz przed tobą, istoty, które wydają ci się niemal równie niedoskonałe jak proste zoofity, odznaczają się wrażliwością i intelektem daleko większymi niżli mieszkańcy tej ziemi”.

Catherine chce mieć KayKay. Byłam przerażona.



### 3

Jeszcze nawet nie było dziewiątej, lecz Amanda Snyde już tkwiła przy swoim stanowisku pracy, zgodnie z moją prośbą czyszcząc srebrne obrączki.

Oto nasz „przedmiot” – nie paląca fajkę małpka, lecz błyszczący fallus odarty do gołego metalu, jakby oskalpowany.

Wkrótce przymocujemy łańcuszki bębna wyrównawczego do gładkiej przegubowej szyi, jak nerwy do rdzeni kręgowych. Łańcuszki przesuwają się po bloczkach, które usprawniały pracę dolnego i górnego odcinka szyi, skinięcia głowy i ruchy rybek w łabędzim dziobie.

Było w sumie pięć łańcuszków różnej grubości. Najcieńszy z nich liczył sto siedemdziesiąt ogniw, co według Amandy Snyde, która je liczyła, oznaczało około siedmiuset elementów połączonych ze sobą nitami. Tak delikatna robota wymagała drobnych dłoni i młodych oczu dzieci i kobiet.

Wiedziałyśmy, że pierwszy łańcuszek odpowiadał za pracę dolnej części dzioba, wygładzanie piórek i chwytanie ryb. Drugi poruszał samymi rybkami. Trzeci umożliwiał łabędziowi poruszanie głową. Czwarty wyginał szyję, a piąty połączony był ze środkowym odcinkiem szyi i jeżeli nasze przypuszczenia były słuszne, sprawiał, że jej ruch był naturalny i pełen gracji.

Dzisiejszy dzień miał być pierwszym z dwóch „dni na szyję”, lecz zanim przystąpiłyśmy do pracy, spędziłam zwyczajowe pół godziny sam na sam z mailami od Matthew, co nazywałam po prostu „zajęciami gospodarskimi”. Amanda trzymała się na odległość i nie zadawała żadnych pytań, przez co nabrałam pewności, że trafnie odgadła, czym się naprawdę zajmuję.

Teraz notowała dane na temat konstrukcji i wymiarów każdego ogniwa bębna wyrównawczego, więc byłam sam na sam z moim ukochanym. Byliśmy prawdziwymi oryginałami, on i ja, racjonalnie myślącymi, lecz jednocześnie zmysłowymi, tak dumnymi z naszych ciał i dbającymi o nie, świadomymi tego, że nasz czas jest ograniczony, lecz zachowującymi się tak, jakbyśmy mieli żyć wiecznie. Tak czule do mnie pisał i tak często. Nie negowaliśmy upływu czasu, jak to mają w zwyczaju robić ludzie. Gdy pływaliśmy przy plaży w Dunwich, byliśmy w pełni świadomi naszej skóry, serc, wody, wiatru, ogromnej i skomplikowanej maszyny, jaką jest ziemia, deszczu lejącego się strumieniami z nieba, parowania i przyptyków, niecichnącego wiatru gnącego drzewa rosnące na wrzosowisku. Gdy potem obserwowałam, jak krew z ciał jamistych penisa odprowadzana jest naczyniami krwionośnymi, które licznie ukazują się na jego powierzchni i zbiegają na grzbiecie narządu, tworząc głęboką żyłę grzbietową prącia, aż zakręciło mi się w głowie. Boże drogi, pomyślałam, kiedyś żyliśmy seksem, a może już nigdy nie będę go uprawiać. Wyłączyłam komputer w poczuciu pustki i osamotnienia. Spróbowałam wziąć się na nowo do pracy, lecz przed oczami stanęła mi ropa naftowa zalewająca porosty i wrzosa, sarny, króliki, skapująca ze skrzydeł lelków kozodojów, podwodne roboty czołgające się w mroku.

W myślach podziękowałam Bogu za Amandę. Może był to brak konsekwencji z mojej strony, ale w lepsze dni moja asystentka potrafiła naprawdę dodać mi otuchy. Była jedną z tych rzadko spotykanych osób, które podają ci szczypce, zanim jeszcze o nie poprosisz. Prace postępowały wolno i wymagały wielkiego skupienia, lecz z właściwą asystentką pracuje się jak w dobrze zgranym duecie. Pracując powoli i uważnie, z każdą godziną buduje się nowe relacje z mechanizmem i doświadczają ogromnej przyjemności, jaka płynie ze współpracy pomiędzy dwiema istotami ludzkimi. A mimo to z czasem do mojego umysłu zakradły się na nowo, jak

podstępne przywry, rozmaite nieszczęścia, blade i połyskliwe. Bardzo tęskniłam za Matthew, bardzo cierpiałam.

W porze obiadu wysłałam do Erica pełen skruchy e-mail, przepraszając za wczorajszy wybuch. Poczekalam do końca dnia, a gdy wciąż nie dostałam odpowiedzi, zadzwoniłam do niego.

– Croft.

Spanikowałam i odłożyłam słuchawkę. W zdenerwowaniu przerwałam najdelikatniejszy łańcuszek, co spotkało się z dużo większym współczuciem, niż tego potrzebowałam. Amanda wzięła mnie za rękę.

– Przeraza panią? – zapytała.

Miała na myśli łabędzia, nie Crofty'ego.

– Nie, oczywiście że nie.

– Myślenie, że diabeł jest brzydki, jest błędem – powiedziała.

W myślach pytałam: dlaczego musisz snuć te mroczne sny? Dlaczego nie umiesz docenić mechanicznego cudu, który masz przed oczami?

– Amando, moja droga, zajmujemy się naprawą mechanizmu.

– Owszem, lecz nie zmienia to faktu, że Lucyfer jest piękny.

Wyzywająco patrzyła mi prosto w oczy.

– Tak opisuje Lucyfera Ezechiel – dodała. – „A ze złota wykonano okrętki i oprawy na tobie, przygotowane w dniu twego stworzenia”<sup>[9]</sup>.

– Cóż – odpowiedziałam – na dziś to chyba już wszystko.

– Spiesz się pani.

Tak, to prawda, spieszyłam się.

Przedpokój mojego mieszkania był jednocześnie wysoką biblioteką, dużo węższą niż wymagana londyńskimi przepisami przynajmniej metrowa szerokość korytarza. Półki regałów, oświetlone żarówkami LED, zrobione były z jasnego, miękkiego, jedwabistego w dotyku australijskiego drewna coachwood<sup>[10]</sup>. Na podłodze leżał stary perski chodnik z Tebrizu, który wyglądał na o wiele lepszy jakościowo, niż faktycznie był.

To pomieszczenie było jak szkatułka na kosztowności. Zawsze odpowiednio je oświetlałam, tak by mój gość mógł je w pełni docenić. Mówiąc „mój gość”, mam na myśli Matthew. Rzadko kiedy dopuszczałam kogokolwiek do mojego sanktuarium. W przypadku Erica, chcąc zachować uprzejmość, musiałabym wyjść na zewnątrz, by go wpuścić do środka.

Tej nocy, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, ujrzałam za nimi nie Erica, lecz duchy i lustrzane odbicia mojego ukochanego, moknących na deszczu jego dwóch synów o ciemnych oczach.

Starszy nosił spodnie takie jak Matthew – z zakładkami, dopasowane w pasie. Pochodziły pewnie ze sklepu z używaną odzieżą St Vincent de Paul, lecz były wyjątkowo eleganckie. To Angus, matematyk. Odziedziczył po ojcu włosy, wydatny nos i pełne, żartobliwe w wyrazie usta.

– Proszę – powiedziałam i wyszłam przed próg. Cofnęły się jak wystraszone konie.

Młodszy i wyższy z nich to Noah. Na zdjęciach wyglądał atrakcyjnie, ale teraz miał kudłatą brodę i okropnie poczochrane włosy, wystrzyżone w kępki prawdopodobnie nożyczkami do paznokci.

– Proszę, wejdźcie do środka. – Drżały mi ręce.

– Przepraszamy – powiedział Angus. Guziki przy jego koszuli były ręcznie malowane.

W tym świetle wyglądały jak indyjskie miniatury.

– Nie będziecie przecież tak stać na deszczu.

Noah spojrzał oskarżycielsko na brata.

– Przepraszamy – powtórzył Angus i dziarskim krokiem wszedł do biblioteki. Noah ruszył za nim, schylając się w drzwiach. Miał zabłocone buty, ale się nie zdenerwowałam. Patrzyłam na długie nogi biegacza, zupełnie takie, jakie miał jego ojciec.

Noah musnął półkę, jakby sprawdzając, czy dobrze dbam o porządek, a jednocześnie skrycie badając rodzaj drewna, z jakiego jest wykonana. Był zagorzałym ekologiem i genialnym filologiem klasycznym. W wieku czternastu lat wrócił do domu pijany i zwymiotował w łóżku. Choć nigdy go nie poznałam, żyłam blisko niego od wielu długich lat.

Wycierali buty w indyjski kilim Dorrie, pastelowy, delikatny dywanik, jaki mają tylko osoby bezdzietne. Nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, wybrałam więc sofę Case Study projektu Nelsona i przysiadłam na jednym jej końcu. Noah usiadł naprzeciwko w osiemdziesięcioletnim fotelu z giętego drewna zaprojektowanym przez Gustava Axela Berga, który obrócił się pod jego ciężarem.

Angus ostatecznie wybrał drugi koniec sofy. Nawet z takiej odległości poczułam od niego nieprzyjemny zapach niemytego ciała.

Skradziona niebieska kostka leżała pośrodku stolika na czasopiśmie. Noah podążył spojrzeniem za moim wzrokiem. Był nieodrodnym synem swojego ojca. Podniósł sześcian z blatu.

– Mogę zapalić? – zapytał.

– Oczywiście – odparłam.

Wyjął z kieszeni torebkę z tytoniem, odkładając zabawkę Carla na kolano.

Biedni chłopcy, pomyślałam – ich poczciwe oczy były jak głębokie ciemne jeziora wypełnione smutkiem. Bardziej niż do ojca byli podobni do siebie nawzajem – niskie czoła, intensywne milczące skupienie. Nie wiedziałam, na czym się tak koncentrują. Widziałam w nich urodę Matthew, w ich ścięgnach, kościach, kwadratowych ramionach, pięknych nosach.

– Przyniosę popielniczkę.

Postanowiłam, że podając mu popielniczkę, zabiorę kostkę. Nie wiem dlaczego, lecz kiedy wróciłam, trzymał ją mocno między kolanami.

– Nie mieliśmy okazji się poznać – powiedziałam do jego brata.

– Nie, formalnie się nie poznaliśmy.

– Ale masz na imię Angus?

– Tak.

– A ja to ten, który sprawia problemy – odezwał się Noah, odkładając kostkę Carla na stół. – Mam na imię Noah. A pani nazywa się Catherine Gehrig. Wyguglowałam panią.

Cisza.

– Mógłbym dostać drinka? – poprosił Noah.

Wiedziałam, że Matthew nie chciałby, żebym poczęstowała go alkoholem.

– Ma pani może piwo?

– Tylko czerwone wino i whisky.

– Whisky – odpowiedział, wytrzymując mój wzrok.

Spojrzałam na jego starszego brata. Potrząsnął głową.

– Dziś to ja prowadzę.

Kiedy poznałam ich ojca, Noah właśnie wpadł w tarapaty z powodu dowcipu o wielbłądzie homoseksualiście. Był wtedy tylko małym chłopcem. Wydawało mu się zabawne, że wielbłąd może być gejem. Szkoła była odrębnego zdania.

– To dziwne, prawda? – zawołałam do nich, nalewając w kuchni whisky. Moje „prawda?” zabrzmiało staro i fałszywie.

– Co?

Oprócz whisky zaniiosłam mu też szklanek wody. Angus stał przed zdjęciem przedstawiającym stajnię.

– To dziwne, że jesteście tu razem, wszyscy troje – powiedziałam, a chłopiec wychylił whisky, nie rozcieńczając jej wodą. – Przykro mi, jeśli uwiera was ta sytuacja.

– Podobało się tam pani? – zapytał Angus, spoglądając na fotografię. Zachowywał się jak dorosły, lecz pachniał jak nastolatek.

Stanęłam obok niego.

– Tobie chyba się tam nie podobało.

Wyjął z kieszeni Frankenpoda, iSmroda czy coś w tym stylu.

– Próbowала pani kiedyś wyszukać ją w sieci? Chciałaby pani zobaczyć?

Oczywiście nie chciałam.

– Tak – odpowiedziałam.

Angus usiadł na sofie po mojej prawej stronie. Pochyliliśmy się nad urządzeniem, prawie stykając się głowami, i oto ujrzałam satelitarne zdjęcie stajni, zarys klifu, drzewa, szary ocieniony dach.

W Suffolk była teraz noc, a zdjęcie zrobiono za dnia, co sprawiło, że ten obraz z przeszłości wydał mi się jeszcze bardziej niepokojący. Satelita szpiegował nas tego lata, gdy panowała susza, trawy były zbrązowiałe, a drzewa umierające. Dostrzegłam na zdjęciu motocykl Norton Commando, więc byliśmy tam we dwójkę, oboje wciąż żywi, niczego nieświadomi.

– Pewnie byliśmy w środku – powiedziałam i ze wstydem uświadomiłam sobie, co mogli sobie pomyśleć: ten wstrętny seks. – Czy mieliście poczucie, że odbieram wam ojca?

– Spójrzmy prawdzie w oczy – odparł Noah. – Tak było.

Przemknęły między nimi jakieś niewypowiedziane słowa.

– Nie, to nie była pani wina – odezwał się Angus, ale przecież z pewnością tkwiłam pomiędzy nimi.

Noah wyszedł z pokoju – nie mam pojęcia po co – więc chwyciłam kostkę Carla i odłożyłam ją na półkę obok siebie.

Kiedy wrócił z butelką whisky, odezwał się do brata:

– Mieliśmy mówić prawdę. Tak się umawialiśmy.

Poczułam ukłucie w sercu.

Usta Noaha, tak jak usta jego ojca, potrafiły wyrażać całe mnóstwo emocjonalnych niuansów. Wpatrywał się w półkę nad moją głową i choć prawie na pewno był rozbawiony, nie mogłam odgadnąć, o czym myśli.

Angus zdjął ze ściany oprawioną w ramki fotografię. Nigdy nie lubiłam, jak ludzie bawią się moimi rzeczami, lecz zapomniałam o tym zupełnie, gdy nagle spostrzegłam jak smutne i brudne mam ściany.

– Teraz należy do pani – powiedział Angus.

Byłam tak spięta, że początkowo pomyślałam, iż chodzi mu o zdjęcie, i poczułam się oburzona, że uważa się za uprawnionego do darowania mi tego, co już jest moją własnością.

– O tym mówisz?

– Tak, o stajni. Należy do pani.

Serce podskoczyło mi w piersi, lecz przecież to tylko chłopcy, którzy wiedzą o wiele mniej niż ja. Rozmawialiśmy z Matthew o jego testamencie. Chciał dochować po śmierci naszej tajemnicy i nawet jeżeli sprawiło mi to przykrość, nie trwało to zbyt długo.

– To bardzo miłe z waszej strony. Chciałabym, żeby istotnie tak było.

Noah podniósł butelkę whisky i wszyscy obserwowaliśmy, jak wypływają z niej ostatnie krople trunku.

– Stajnia jest teraz pani. – Mówił z tą lekko odpychającą pewnością siebie, która cechuje młodych absolwentów szkół prywatnych. Miałam ochotę rzucić mu w twarz: Widziałam testament twojego ojca, ty gnojku. Podpisał go w 2006 roku i mogę cię zapewnić, że Catherine Gehrig nie odgrywa w nim nawet niemej roli.

– Tata nie mógł jej pani oczywiście zapisać w spadku – powiedział Angus.

– Nie, oczywiście, że nie. – Pogrywał sobie ze mną. Od trzynastu lat byłam niewidzialna dla tej rodziny, choć uczestniczyłam w ich życiu, problemach z matematyką i wymiotach. Nie przeszkadzało mi to. Naprawdę, nie miałam nic przeciwko temu.

– Zostawił ją nam.

– Całkiem słusznie – odparłam, ukrywając rozgoryczenie nawet przed samą sobą.

– Nie mógł przecież wspomnieć o pani w testamencie.

Cóż, mógł, pomyślałam, choć nigdy bym go o to nie poprosiła.

– Trochę dziwnie by to wyglądało w oczach waszej matki. – Uśmiechnęłam się najszczerzej jak mogłam.

– Przedyskutowaliśmy to, Noah i ja. Jako nowi właściciele stajni postanowiliśmy, że od teraz będzie należeć do pani.

W pokoju aż ciasno było od różnych emocji, lecz dwaj młodzieńcy zachowywali spokój, siedząc z rękami na kolanach.

– Nazywa się to czynszem symbolicznym. Przynieśliśmy pani do podpisu umowę najmu.

Będzie nam pani płaciła symbolicznego pensa rocznie.

- Przyprawiliśmy też mini, dla pani.
- Naprawdę? Sami to wszystko przygotowaliście?
- Przyjaciel taty podsunął nam ten pomysł z najmem.
- Pewnie pan Croft?
- Był dla nas bardzo dobry.
- Na kogo zarejestrował samochód?
- Żaden z nich nie wiedział.
- Zaparkowaliśmy go na ulicy.
- Umyliśmy go, ale się rozpadało.
- Jesteście naprawdę kochani, ale ja nie umiem prowadzić. – To nie była prawda.
- Niech się pani nauczy – zaproponował Angus. – To naprawdę nie jest trudne.
- Mogę panią nauczyć – rzekł Noah. – Ukończyłem zaawansowany kurs jazdy, łącznie

z kontrolą poślizgu.

Nie byłam w stanie nic odpowiedzieć. Byłam zbyt poruszona, zasmucona, wściekła. Moi młodzi obrońcy wyczuli intuicyjnie, że za moment się rozpłaczę. Szybko uzgodnili, że przechowają gdzieś mini i że się spotkamy, by się umówić na lekcje jazdy. Podpisałam umowę, dałam każdemu po pensie i za chwilę znów byliśmy w bibliotece, gdzie znalazłam się w lekko woniejącym, misiowatym uścisku. Kość z kości Matthew.

Gdy poszli, położyłam się na łóżku i rozmyślałam o letnim wietrzyku muskającym naszą nagą skórę, o zimowych zamieciach, które kołysały nas do snu, o Morzu Północnym wgrzającym się w podstawę klifu.

Usuwasz mnie, mój ukochany, mój najdroższy, o tej wczesnej godzinie, w Aneksie – twoje szerokie, miękkie usta na mojej szyi. Chętnie oczyściłabym twoje kości i ułożyła je na powietrzu, oczyściłabym twój mostek, zajęła się kręgosłupem, szorowałabym i skrobała, z miłością, każdy kręgosłup z osobna, każdy z nich równie charakterystyczny jak kształt nosa, i ułożyłabym cię w trawie pośród dzwonek. Tam, w twojej tajemnej krainie, byłabym najbardziej uległym najemcą, leżałabym u twojego boku, a deszcz, wiatr i burze szalałyby dookoła, oplatałyby jak sznurowadła nasze puste oczodoły.

Takie myśli chodzą mi po głowie w chwili, gdy Amanda powraca ze swojego świata, w którym Zatoka Meksykańska stała się jeziorem wypełnionym ropą. Czy ma dla tego jakieś mitologiczne lub kosmologiczne wyjaśnienie?

– Dzień dobry – mówi, odkładając plecak.

– Dzień dobry – odpowiadam, choć myślę: Usuń.

Zerkam na nią i od razu się domyślam, że ma nowego kochanka. Dziś ma na sobie luźne spodnie w kolorze indygo i top na ramiączkach z cekinów przypominających rybią łuskę. Pod swobodnym odzieniem kryje się ciało tak młode, że aż chce się płakać. Jej uwaga skupiona jest na łabędziu. Proszę, proszę, nie zniosę więcej fantastycznych bredni. Proszę, naucz się dostrzegać to, co masz przed oczami tu i teraz.

– To, co teraz powiem – odzywa się – nie jest moim interesem.

Włosy jeżą mi się na karku. Usuwasz list, którego nawet nie przeczytałam.

– Chcę tylko pomóc.

Czytam, archiwizuję, przenoszę do folderu ze spamem, usuwasz.

– Naprawdę przykro mi na to patrzeć – mówi.

– To tylko łabędź, Amando. Maszyna.

– Panno Gehrig, to nie musi zajmować tyle czasu. Mogłaby się pani z tym uporać w kilka minut. Nie ma potrzeby tak się mordować.

Podaje mi mały plastikowy przedmiot, który w strachu i gniewie biorę za zapalniczkę. Na jednym boku prostą czcionką wypisane jest toporne nie-słowo. Z czarnej osłony wyłania się jakaś stalowa część, jak szminka.

– Wystarczy utworzyć nowy folder na e-maile, skompresować go i przenieść na pamięć USB.

– Co to jest pamięć USB?

– Właśnie to. – Podtyka mi ją pod nos, co wcale mi się nie podoba.

– Mogę je dla pani ściągnąć. To zajmie tylko chwilę.

– Poradzę sobie, dziękuję. – Pracuje dla mnie, podlega mi, lecz nawet kiedy odrzucam jej pomoc, nie rezygnuje z prób przerobienia mnie na swoją modłę.

– Amando, co twoim zdaniem robię?

Nie chce odpowiedzieć.

– Mówię tylko, że nie musi pani tak się męczyć godzinami. To musi być straszne.

– Kto ci powiedział?

Lecz cała jej uwaga skoncentrowana jest na próbie przejęcia kontroli nad moim komputerem.

– Czy dowiedziałaś się od pana Crofta?

Jej lalczynie oczy wilgotnieją z nieproszonego współczucia. Ma bardzo duże tęczy, jak

stwór żyjący w ciemności.

– Proszę, niech mi pani pozwoli tylko... – I już wślizguje się pomiędzy mnie i komputer, stukając w klawisze. – Może pani teraz zabrać je do domu i zgrać na własny komputer. To Mac?

– Nie, pecet. A więc twój sposób nie zadziała.

Spogląda przez ramię, badawczo mi się przyglądając, jakbym była dziką bestią. Patrzy mi prosto w oczy. Z bliska czuję jej lekko duszący zapach. Zauważam, że ma brudne paznokcie.

– Czy wiesz, od kogo są te maile? – pytam.

– Już się ładują.

– Kto ci powiedział, Amando?

– Obie dobrze wiemy kto. – Kładzie mi mały przedmiot na dłoni i zamyka na nim moje palce. Doszło do jakiegoś subtelnego przejęcia władzy.

– Panno Gehrig, on się martwi o panią.

– Nie.

– Chce tylko, by ktoś nad panią czuwał.

– Ale nie możemy powiedzieć na głos, kim on jest.

– Nie.

– Choć tak naprawdę już to zrobiliśmy.

– Łabędź ma bardzo duże znaczenie dla muzeum, dobrze pani o tym wie. Wie pani również, że strasznie mu trudno zdobyć pieniądze. Musi się wszystkim podlizywać i przymilać. Zebranie o pieniądzu u tych chuliganów jest bardzo przykrym zajęciem.

Tak więc moja młodziutka asystentka uczy mnie jak dzieci robić. Lecz najbardziej boli mnie to, że słodkie, śliczne, mądre dziewczę z Courtauld na siłę wymazało Matthew z pamięci podręcznej. Przez nią przechowuję go jak prochy w fiołce.

<sup>[8]</sup> Lucasian Chair of Mathematics; w 1663 roku Henry Lucas założył nową katedrę matematyki na Uniwersytecie Cambridge. Stanowisko profesora Katedry Lucasa jest jednym z najbardziej prestiżowych w świecie akademickim. Zajmowali je m.in. Isaac Newton i Stephen Hawking.

<sup>[9]</sup> Ez 28,13, Biblia Tysiąclecia.

<sup>[10]</sup> Coachwood (łac. *Ceratopetalum apetalum*) – występujące we wschodniej Australii drzewo z rodziny radzilizkowatych.



*Henry*

Opuściliśmy z Sumperem wioskę, niosąc ciężką mosiężną beczkę przytroczoną do dwóch drągów. Była tak ciężka, że chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć na miejsce, mknęliśmy więc przez mgłę kryjącą rynek, zaułkami w dół ku potokowi, przez mostek na pola, niebezpiecznie potykając się w bruzdach, i dalej, tam, gdzie majaczył tartak. Liście spadły już z drzew, obnażając prawdziwe oblicze natury, niby oblicze starca, któremu zgolono brodę, by pokazać, jak okrutne piętno odcisnął na nim czas. Drogi ojciec.

Maszerowaliśmy przez nierówne pole w tak żwawym tempie, że obawiałem się, iż szarżująca z flanki Frau Helga może doprowadzić do wylania zawartości. Pędząc galopem, wyprzedziła mnie i przypuściła atak na Herr Sumpera, biegnąc teraz dziwnym klusem w tył i energicznie wymachując listami.

– Dalej! – zakrzyknął Sumper. – Dalej!

– Nie, to z Anglii!

– Dalej!

Percy! pomyślałem. Ale byłem związany z Sumperem w każdym tego słowa znaczeniu, więc musiałem iść „dalej!” i szedłem, choć niemal stratowaliśmy biedną kobietę.

Zgadywałem, że to list od Binnsa. Mój chłopiec nie doczekał. Umarł, w samotności, a ja nawet nie ucałowałem jego ust. Weszliśmy na ścieżkę wiodącą wzdłuż rzeki, gdzie Święte Dziecko wypadło na nas z krzaków z dzikim wrzaskiem. Miał błyszczące oczy i krzyczał zbyt piskliwie. Potrząsnął przed twarzą matki zamordowanym królikiem i pobiegł dalej w kulawych podskokach, wymachując trzymanymi w lewej ręce kluczami.

Gnaliśmy naprzód. Najświętszy Boże, co za głupiec ze mnie, pozwól mu żyć. Złożyliśmy nasz ciężar w wychłodzonym letnim warsztacie nad rzeką.

Sięgnąłem po list i ujrzałem charakter pisma mojego brata.

– Jakie wieści? – zapytała Helga.

Carl też czekał, a królicza krew kapała mu na stopy.

Dzięki ci, Boże, dzięki ci, Jezu, już niedługo będziemy razem.

Lecz nie – mój brat był zdeterminowany, by nadal opóźnić mój powrót. Dwa miesiące wcześniej, pisał ten podstępny pajak, został mianowany moim pełnomocnikiem i obecnie to on może decydować wedle własnego uznania, jakie sumy będą przekazywane do mojej dyspozycji i jak często, obłudny drań.

Twierdził, że nasz ojciec „postradał zmysły”.

Oczywiście nie było zupełnie niemożliwe, że umysł ojca odmówił posłuszeństwa dokładnie w chwili, gdy zamknąłem za sobą drzwi, lecz twierdzenie brata, że ojciec jest „niepoczytalny”, on sam nazwałby „niezłym żartem”. Tak naprawdę zawsze był „niepoczytalny”.

Czerwononosy Douglas zdobył dokument stwierdzający, iż ojciec jest *non compos mentis*. To cały Douglas, przeszedł sam siebie. Cytując: „Nie w pełni pojmujesz, Henry, że jestem człowiekiem interesów, a interesy to o wiele więcej niż szyny kolejowe”.

Nie reprezentował sobą żadnego typu osobowości, a te wszystkie upiorne papierki miały tylko odwrócić moją uwagę od jego inwestycji w Banku Ohio. Pytam was: kto tu postradał zmysły? Rozbójnik Douglas postawił firmę Brandling i Synowie w „trudnej sytuacji”.

Z przykrością mnie teraz zawiadamiał, jako mój pełnomocnik – imaginujecie sobie? – że nie będę mógł korzystać z dodatkowych środków, dopóki „panika w Ameryce” się nie uspokoi.

Sumper odwrócił się do mnie plecami. Nie widziałem jego twarzy, jedynie ramiona,

zielony płaszcz, potężną białą dłoń, którą ze smutkiem pieścił sprężynę, jak gdyby była świeżo złowionym pstrągiem.

– Złe wieści, Herr Brandling?

Dobrze to przyjął, Frau Helga nieco gorzej. Zalana łzami pobiegła przez mostek do domu, a Carl pospieszył za nią, zostawiając za sobą krwawe ślady.

– Nakopcie ziemniaków! – zawołał za nimi Sumper.

Odwrócił się do mnie kamienną twarzą i powiedział:

– Problem z bogaczami jest taki, że rzadko kiedy mają cierpliwość do naprawę wielkich rzeczy.

Myślałem, że mnie obwinia. Przeprosiłem więc najładniej, jak umiałem, lecz on tylko lekceważąco machnął ręką.

– Kiedy to ich własny interes – dodał – wtedy wiedzą, co robić.

– Co pan ma na myśli?

– Kiedy porzucają swe kantory lub fabryki, bo muszą koniecznie zrobić sobie portret, zamieniają się w idiotów. Zupełnie tracą głowę. Idą do tych swoich klubów, gdzie spotykają innych idiotów i zaczynają się ich radzić. „Zamówiłem swój portret – zwierzają się – i ten gość używa bardzo dużo niebieskiego. Jak myślisz? Trochę mnie martwi ten cholerny błękit”.

Zrozumiałem wówczas, co chce powiedzieć, i wyjątkowo w pełni się z tym zgadzałem. Było *nie do zniesienia*, żeby głupiec taki jak Douglas igrał z życiem i śmiercią.

– Rządzą – to jedyna rzecz, jaką potrafią. Zupełnie tak samo, jak wasza angielska królowa, oczywiście Niemka z pochodzenia, zupełnie nieświadoma tego, gdzie się znajduje. To ona, księżna Sachsen-Coburg-Gotha, zhańbiła Anglię i moją ojczyznę, zakręcając finansowanie budowy niezwykłego urzędnika. To dlatego właśnie złożyłem później wizytę księciu Albertowi w Pałacu Buckingham.

– Rozumiem – odparłem, myśląc jednocześnie, że potrafi mówić tylko o sobie.

– Nie wygląda pan wcale na zdziwionego?

Nie wyglądałem na zdziwionego, gdyż ani przez chwilę mu nie wierzyłem. Pod każdym względem było to absolutnie niemożliwe.

Tego wieczora napisałem do Percy'ego w sprawie tego, co określałem mianem „naszego sekretu”. Obiecałem mu, że wbrew „trudnościom” sprawianym przez jego stryja i matkę, zgodnie z obietnicą powrócę, a jeśli będzie grzecznie jadł owsiankę i dzielnie znosił hydroterapię, już niedługo sprawię, że zupełnie ozdrowieje.

Jeśli kryło się w tym ryzyko, nie umiałem go dostrzec. Krew się we mnie gotowała i zamierzałem dotrzymać danego słowa.

Herr Sumper mówi, że gdy pierwszy raz spotkał genialnego Alberta Cruickshanka, wziął go mylnie za zwykłego włóczęgę i był oburzony, że takiemu obdartusowi pozwolono przekroczyć próg fabryki przy Bowling Green Lane. Mankiety jego spodni ciągnęły się po posadzce maszynowni, siwe włosy zwisały w długich strąkach, miał napięte mięśnie szczęki i zaciśnięte usta. Autor *Mysterium Tremendum* (był to bowiem on we własnej osobie) trzymał pod pachą prostokątną deskę, którą Sumper z początku wziął za tabliczkę z błagalnym apelem o pomoc, jakie często widywał w rękach szaleńców wystawających pod budynkiem parlamentu.

Gościowi pozwolono poruszać się swobodnie, „jak hinduskiej świętej krowie”, pomiędzy tokarkami i prasami gigantycznej przemysłowej katedry. Wiertła pracowały w równym tempie, pasy nieprzerwanie przesuwały się po kołach przekładni, żaden z pracowników nie próbował nawet powstrzymać intruza kierującego się między tokarkami ku miejscu, gdzie w kościele stałby ołtarz. Nie istniał chyba jednak dorównujący rozmiarami temu olbrzymiemu urządzeniu. Sumper porównywał go do słonia, lokomotywy, rzędu kolumn zbudowanych z okrągłych dysków, a wszystkie te porównania stały ze sobą w sprzeczności, tak więc co pozostawało słuchaczowi? – mgliste wyobrażenie wielkiego mechanizmu, jakby widmowego, a zarazem dotykającego, złocistego, złożonego niczym serce zegara. Wiedziałem, że mój zegarmistrz ma skłonności do fantazjowania (ostatnio na temat księcia Alberta), lecz był tak przekonujący, że bez trudności wyobraziłem sobie, jak połączone ze sobą stalowe i mosiężne elementy odbijają światło, podobnie jak złoczone ramy obrazów wiszących na wysokich ścianach mojego rodzinnego domu potrafiły odbić światło płomienia samotnej świecy, stojącej na stole cztery i pół metra niżej. Złapałem się na skrytym żalu, że nie dane było mi oglądać tego cudu.

W ciągu pierwszego tygodnia w firmie Thigpen & Co., pomimo wyzwania stawianych mu przez fabrycznie ustawioną tokarkę (chwalił się, że szybko opanował sztukę jej obsługi, jednocześnie podkreślając, jak niebezpieczne było to urządzenie), Sumper sprawdził się także w roli bardzo skutecznego szpiega.

Po jednej stronie ołtarza stały deski kreślarskie. To tu, w miejscu, gdzie w kościele stałyby stalle, dostrzegł potężną, przygarbioną postać Thigpena i grupę najbardziej doświadczonych mechaników, w skupieniu studiujących plany.

Dowiedział się, że jedynie najbardziej poważani spośród zatrudnionych w firmie rzemieślników pracują przy urządzeniu i że trzeba wykonać jeszcze dziesięć tysięcy brakujących części. Żadna z owych dziesięciu tysięcy części nie mogła być wykonana przed sporządzeniem niezwykle szczegółowego szkicu, a oględziny każdego nowego szkicu prowadziły do gorących dyskusji (a czasem nawet awantur). Przedstawił mi to wszystko w dość komiczny sposób, tak jakby maszyna była bożkiem, a pracujący przy nim mężczyźni jego demonicznymi wyznawcami.

– Wszyscy byli o sobie jak najlepszego zdania – mówił Sumper – lecz żadnemu z nich, nawet Thigpenowi, nie powstało w głowie, że może nastąpić awaria i w rezultacie maszyna wyłąduje na złomowisku.

Oczywiście on też nie mógł tego wiedzieć. Wiedział mniej niż inni i przyglądał się ze zdumieniem, jak włóczęga ściska rękę Herr Thigpena. Ku swojemu zaskoczeniu zorientował się, że „tabliczka” jest w rzeczywistości teczką ze szkicami, z której pojedynczo, z namaszczeniem, wyjmowano rysunki.

Anglik wydedukowałby zapewne, że starzec jest projektantem urządzenia, w dodatku prawdopodobnie dość sławnym, lecz Sumper wziął go za włóczęgę sprzedającego kradzione

towary.

Tak to bywa z cudzoziemcami.

Sumper uważał, że jego sytuacja podczas pobytu w Anglii była trudniejsza niż moja w Niemczech – Anglicy w warsztacie podobno byli wściekli, że zgodził się obsługiwać fabrycznie ustawioną tokarkę. Być może (albo i nie) został zaatakowany przed pensjonatem, gdzie zamieszkał. Być może (albo i nie), jak sam twierdził, sprął ich na kwaśne jabłko. Uwielbiał przechwałki, ale dygnitarzami składającymi wizyty przy desce kreślarskiej – „peruki jak z kości słoniowej”, mówił, „płaszcz jak klejnoty” – zachwycał się naprawdę szczerze.

Jego praca była prawdopodobnie nużąca, wymagająca „umysłu prostszego niż konstrukcja zegara z kukułką”. Dwa razy w chwili dekoncentracji, która jest stałą towarzyszką nudy, omal nie stracił ręki. Za drugim razem, gdy o włos uniknął amputacji – akurat kiedy postanowił znaleźć sobie inne zajęcie – fabryczna syrena zawyła trzy razy. Dzięki Bogu, pomyślał, lecz dzień jeszcze nie dobiegł końca.

Po ciemnej kamiennej posadzce toczyło się zawsze mnóstwo wózków i stalowych stołów na kółkach i za jednym z nich ruszyli teraz w głąb fabryki w beładnej procesji, jak krowy w porze dojenia.

Na przedzie szedł majster, siwowłosy olbrzym. Kiedy mechanicy zebrali się wokół niego, stary Thigpen zdjął szmatę zakrywającą wózek i ukazał im urządzenie ze stali i mosiądzu. Przemówił. Wedle przekładu Sumpera, urządzenie to było „nasieniem wielkiej idei, której służymy”. Zgadza się to z resztą opowieści.

Sumper porównał ów przyrząd do liczydeł. Zanotowałem to.

– Wcale nie był podobny do liczydeł – tłumaczył mi później. – Umknie panu cały sens, jeśli dalej będzie pan tak rozumował. – Co za męczydusza. Powiedział również, że urządzenie było dokładne, genialne i niezwykle. Był to automat służący do dodawania.

Wówczas przemówił „włóczęga”. Miał głęboki, melodyjny głos. Dla żadnego Anglika nie byłaby zaskoczeniem wiadomość, że jest trzecim synem księcia Kumbrii. Rzekł: „Panowie, pokażę wam coś nieprawdopodobnego”.

Prości, skromni mechanicy wyciągali szyje niczym charty uwiązane na smyczy. Przepychali się bliżej ku sercu urządzenia – dwóm mosiężnym kołom, na których wygrawerowane były cyfry.

Cruickshank poprosił pana Thigpena, żeby nastawił pierwsze z nich w ten sposób, by cyfra 2 zrównała się z nacięciem w kształcie litery V. Oznajmił zebrany, że ta wartość zostanie teraz dodana do wartości ustawionej na drugim kole.

Ciała mechaników były ociężałe od zmęczenia i potu, lecz przepychali się jeden przez drugiego, wyciągali szyje i bacznie obserwowali ochotnika, który zrobił jeden obrót kołką.

I co takiego ujrzeli? Cóż, że  $2+0 = 2$ .

To jest ta wielka idea, której służą? Włóczęga nie był bynajmniej zakłopotany. Zachęcał pracowników do obracania ręczką. Jednego po drugim. Byli podwładnymi, nie mieli wyboru. Podchodzili kolejno, obracali pierwsze koło (2) i dodawali do rosnącej wartości na drugim kole.

Cudowna maszyna radziła sobie nie lepiej od ucznia.

$$2+2 = 4$$

$$2+4 = 6$$

$$2+6 = 8$$

$$2+8 = 10$$

Cruickshank reagował na każdy wynik z idiotycznym zdumieniem. Robotnicy byli coraz bardziej nadąsani i oporni, coraz wolniej podchodzili wywołani po nazwisku. Wreszcie krnąbrny farbiarz Coutts zwany „Kartoflem” dodał 2 do liczby 102.

Maszyna podała wynik 171.

Ktoś odważył się zagwizdać. Herr Thigpen spojrzął na niego wilkiem.

Cruickshank klasnął w dłonie i wykrzyknął: „Hura!”.

A Sumper uśmiechnął się z radości.

– Tylko dziecko uśmiecha się, nie rozumiejąc niczego – tłumaczył mi. Oczywiście Geniusz mnie zauważył. Byłem najwyższy ze wszystkich i jako jedyny nie patrzyłem na niego spode łba.

Nie wiadomo, co wcześniej powiedział Cruickshank Thigpenowi ani jaki był zamierzony efekt tej demonstracji, lecz jeśli jej zadaniem miało być podniesienie morale, poniósł klęskę na całym froncie. Właściciel fabryki gwałtownie ruszył z powrotem do swojego kantorku.

– Oto – przemówił Cruickshank, gdy za majstrem z hukiem zamknęły się drzwi – oto jesteście świadkiem cudu.

Przez grupkę zebranych przebiegł nerwowy śmiech.

– To, czego byliście świadkami – ciągnął Cruickshank z uśmiechem – musi wam się wydawać pogwałceniem praw matematyki. Musi się wam to zdawać nienaturalne, nawet panu majstrowi.

Dokładnie w momencie wypowiedzenia słowa „majster”, przypadkowo lub z rozmysłem, Thigpen uruchomił syrenę. W chwilę później mężczyźni zaczęli się cisnąć ku wyjściu, jedynie kilku pozostało na miejscu, niepewnych, co zrobić.

– Nie jestem waszym majstrem – gruchał Cruickshank – lecz to ja zaprogramowałem to urządzenie. Jeśli teraz wyjdziecie, nigdy się nie dowiecie, że zaprogramowałem je w taki sposób, by po pięćdziesięciu jeden działaniach dodawania wykonało zaplanowany przeze mnie cud – po pięćdziesięciu jeden dodawaniach miało zachować się niespójnie.

Słowo „cud” bardzo poruszyło jednego z pozostałych robotników. Splunął, potrząsnął pięścią i ruszył w stronę drzwi.

– Dla mnie, Jimie, nie jest to niezgodność z prawem, lecz manifestacja ważniejszego prawa, znanego mnie, lecz nieznanego tobie, Fredzie.

Jednak wszystko było już stracone. Nie był w stanie ich zatrzymać.

– Oczekujecie, że dwa plus 102 równa się 104, lecz ja napisałem nowe prawo, zgodnie z którym 102 plus dwa równa się 171. W rezultacie – tłumaczył Cruickshank ostatnim dwóm słuchaczom – w rezultacie decyzji, która zapadła *poza waszą wiedzę*, zaskoczyła dźwigenka. Ujrzeście, że dwa plus 102 równa się 171. W naturze nazywamy to cudem, a ja, który umiałem to przewidzieć, nazwany byłbym prorokiem.

I w taki to sposób Geniusz udowodnił, że wyznawane w Furtwangen wyobrażenia Boga są mizerne i żalosne, że istnieją mechanizmy wykraczające poza granice ludzkiego poznania, że w zasięgu naszego wzroku, lecz poza zasięgiem naszej wiedzy, funkcjonują systemy, których możemy nigdy nie zrozumieć, światy, które poznaliśmy i zapomnieliśmy. Tam, przy Bowling Green Lane, Sumper wspominał myśli z dzieciństwa, kiedy całym sercem marzył o tym, by poczuć, jak to jest być ważką na wszystkich trzech etapach rozwoju, larwą żyjącą pod ziemią, stworzeniem żyjącym w wodzie i owadem latającym w powietrzu. Czy ważka na ostatnim etapie swego rozwoju pamięta cokolwiek z pierwszego stadium? Czy zatem nareszcie może stać się ważką, a jeśli tak, jak mógłby pojąć świat? „*Mysterium Tremendum*” powiedział. Zachwyt wszechświatem i lęk przed nim. Ani przez chwilę nie wątpił, że Cruickshank jest Geniuszem, może nawet Istotą Wyższą o zupełnie innej naturze. Dlaczego by nie? W końcu wierzymy, że Jezus stąpił po wodzie.

– Jesteśmy arogancy w naszej ignorancji – powiedział bezczelny zegarmistrz, a jego niepokojące oczy pobłyskiwały w świetle ognia płonącego w Furtwangen. – Skąd wiemy, może

zwierzęta posiadają zmysły inne niż nasze? Stworzenia, którymi pogardzamy, mogą czerpać informacje ze źródeł, o których nawet nam się nie śniło. Ich cielesna i intelektualna egzystencja może górować nad naszą, czemu by nie, czemu by nie, mój drogi Angliku? Wtedy, w Londynie, miałem dwadzieścia osiem lat – ciągnął Sumper. – Byłem upojony takimi ideami, które trzymałem w sekrecie niekiedy już od dzieciństwa, jak kamyki w kieszeni. Gdy więc Geniusz spojrzał mi w oczy, spostrzegł, że chcę mu służyć, a kiedy ucichło zamieszanie w fabryce, poprosił, bym odprowadził go do domu, w okolice placu Soho.

Dla Percy'ego byłem jak silnik, puls, ogniwo galwaniczne. Atrament z mojego pióra, opisującego powstawanie nigdy przeze mnie niewidzianego automatu, dostarczał mu pożywki. Na tym upływały mi dni. Noce natomiast były nie do zniesienia, gdyż nic nie było w stanie powstrzymać słowotoku Sumpera. Carl i jego matka uciekali przed nim do łóżka, a wtedy moja sytuacja stawała się jeszcze gorsza. Tonąłem w jego słowach, pochłaniały mnie. Zasy pył sięgały już do parapetu.

Sumper twierdził, że „narodził się” w chwili, gdy przekroczył frontowe drzwi domu Cruickshanka. Tu, przy placu Soho, wkrótce „w pełni zrozumiał” ideę Maszyny Cruickshanka, oznajmił, wyzywająco patrząc mi w oczy. Może przedstawić na to niezbite dowody, gdyż miał zaszczyt przedstawić „bardzo praktyczne, a nie teoretyczne” sprawozdanie z postępów prac nad wynalazkiem samemu księciu Albertowi.

W jego wielkich końskich oczach dostrzegłem oczekiwanie na jakąś reakcję. Cóż mogłem odpowiedzieć? Nie było to zwykłe kłamstwo, lecz absolutnie nieprawdopodobny wymysł. Książę Sachsen-Coburg, jak dobrze wiadomo było memu ojcu, miał naturę skrajnego samotnika i odludka. Nie spotkałby się z człowiekiem pokroju Sumpera.

Owszem, może się to wydawać mało prawdopodobne, przyznał wreszcie zegarmistrz, lecz było to jednak wydarzenie o „dokładnie takim samym stopniu prawdopodobieństwa” jak to, że przybyły z zagranicy syn właściciela tartaku będzie się prowadzić ramię w ramię z czcigodnym Albertem Cruickshankiem. „No i co, Henry? Hm?”.

Światem, który rozciągał się u szczytu schodów w domu Cruickshanka, rządził *wewnętrzny porządek*. Wyznawca ciągnął swą bzdurną opowieść, niczym przechrzta przemawiający do sekty baptystów. Uwięziony w Niemczech patrzyłem, jak spaceruje długimi krokami pomiędzy kaflowym piecem a stołem i wkrótce pojąłem, że to, co z takim entuzjazmem nazywał „wewnętrznym porządkiem”, było jedynie próbą racjonalizacji chaosu godną Prawdziwego Wyznawcy – dziecięce zabawki, orientalne figurki, nakręcane mosiężne urządzenia, kawałki marmuru i olbrzymia biblioteka wypełniona po brzegi książkami, a przed niemal każdą z nich wyeksponowana jakaś ciekawostka lub inny przedmiot, każdy zasługujący na uwagę.

W samym centrum tego układu słonecznego stworzonego przez starca znajdowała się jakoby olbrzymia witryna mieszcząca srebrne automaty, które Cruickshank otwarcie nazywał dwiema damami obdarzonymi przezeń miłością od dziecięcych lat. Obie były nagie, żywe, lecz nieżywe, z błyszczącego srebra, wysokości ponad trzydziestu centymetrów.

Cruickshank nakręcił srebrne damy.

– Zdumiewające – powiedziałem.

– Nic pan nie rozumie.

Najwyraźniej nie mogłem pojąć, że Albert Cruickshank był Geniusem i że ten Geniusz wiedział, iż Sumper rozumie go lepiej niż ktokolwiek inny. Było to tym bardziej zdumiewające, że był jedynie niewykształconym pracownikiem tartaku.

Srebrna dama obserwowała Sumpera szklanymi oczami – czy widziała to prostackie ciało okryte szorstkim, zatęchłym odzieniem, wielkie ręce przyciśnięte do szemrzącego serca? Potem odwróciła się ku swojej towarzysze. Druga dama była tancerką. Na jej dłoni siedział srebrny ptaszek. Ona podrygiwała, a on kiwał ogonkiem i trzepotał skrzydełkami.

Powiedziałem Sumperowi, że miał wyjątkowe szczęście. Powiedziałem mu, że całe życie



można mieszkać w Londynie, a i tak nie zobaczy się takich rzeczy.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, bo nie było to prawdą.

Podniecił się. Opowiadał, jak podążył za Cruickshankiem w dół wąskich schodów, u których stóp znajdował się warsztat przyklejony do domu „jak huba”.

W owym *sanctum sanctorum* panował chłód. Wypełnione było zdumiewającymi tokarkami, wiertarkami i prasami, a z boku stała duża deska kreślarska, do której przypiął plany wcześniej pokazywane przy Bowling Green Lane.

Cruickshank próbował go z miejsca zatrudnić.

Lecz Sumper czuł się niegodny. Nie był tokarzem biegłym w obsłudze imadła. Nie znał się na matematyce i rachunkach.

– Przecież się zaśmiałeś – upierał się Cruickshank. – C.b.d.o. To ciebie szukam.

– Tylko się panu zdawało, że zrozumiałem. Ja się po prostu uśmiechnąłem.

– W rzeczy samej.

Każdy by zgadł, mówił Sumper, że mądry człowiek bez powodu nie dodawałby dwóch do dwóch. 2+2 daje przewidywalny wynik. Uśmiechnął się, ponieważ był ciekawy, na czym polega niespodzianka. Oczywiście wiedział, że 171 jest „nieprawidłową” odpowiedzią, lecz jednocześnie zakładał, że musi być to dobry wynik. Wiedział tylko tyle: ten, kto tworzy program, jest bogiem.

– Masz stuprocentową rację – odparł Cruickshank. – Oto, czego od ciebie oczekuję: chcę, byś wykonał drewniane formy, które posłużą do odlewania krzywek w brązie.

– Ależ *ja* nie jestem panu do tego potrzebny. Pierwszy lepszy wytwórca kukulek ma takie umiejętności.

– A więc napijmy się, gdyż znalazłem tego, kogo szukałem.

Sumper się uśmiechnął. Geniusz zaproponował grosik za jego myśli.

– Powiem panu, Herr Brandling – rzekł Sumper – powiem panu to, czego nie mogłem powiedzieć jemu. Pomyślałem sobie wtedy, że moja dusza odnalazła swój prawdziwy dom.

Jakże mu nie zazdrościć?

Przez całe życie byłem uważany za gamonia, który nie jest w stanie pojąć, dlaczego na przykład żona zaczęła sypiać w innym pokoju.

Podobnie sądził Sumper: Henry, nie zrozumiałby pan tego.

A mimo to postanowił wystawić mnie na próbę.

– Otóż, Herr Brandling, spokojnie spałem sobie w łóżku.

Nawet nie pisnąłem.

– Założę się, że nie zgadniesz pan, co się wtedy wydarzyło?

– Pewnie nie, mój drogi.

– Zostałem napadnięty.

Oczywiście nie mogło to być prawdą.

– Nie, nie. Rzucił się na mnie zapłakany mężczyzna – oświadczył. – Spadł na mnie niczym mała z krokwi. Ryczał wniebogłosy i uderzył mnie.

Wyższa Istota, ubrana w koszulę nocną, rzuciła się na śpiącego Sumpera w środku nocy, wyjąc i bijąc go pięściami po twarzy. Pierwsza reakcja Sumpera była, zgodnie z jego naturą, gwałtowna, lecz po niej przyszła o wiele bardziej zaskakująca odpowiedź na ów nocny atak – objął starca i trzymał go w ramionach, dopóki ten nie usnął.

Drogi ojcze, pomyślałem. Te nocne lęki starych ludzi.

Zanim nastał świt, pracodawca się ulotnił. Sumper ubrał się i zszedł na śniadanie. Przy stole, czytając „Timesa”, siedział Cruickshank, który wyszedł z nocnej bójki bez większego uszczerbku na zdrowiu, nie licząc zadrapania na wydatnym orlim nosie.

– Żaden ze mnie lekarz – przyznał Sumper, co jednak nie przeszkodziło mu zdiagnozować u starca porażenia mięśniowego.

W następnych miesiącach uznał, że stan Cruickshanka nie był zwykłą dolegliwością, lecz, jeśli można to tak określić, był nim samym. Cruickshank był wcielonym lękiem. Dopasował swe ciało do kształtu kryjącego się w nim strachu, sprawił, że oczy zapadły mu się głębiej wewnątrz czaszki, usta się zacisnęły w cienką linię, a mięśnie szczęki stały się jak ze stali.

Następnie Sumper doszedł do wniosku, o czym mi powiedział, okazując niewspółmierny zachwyt nad własną inteligencją, że ten sam uraz, który pchał starca co noc, lamentującego i wymachującego rękami, do sypialni na piętrze, ten sam ból stworzył także Maszynę Cruickshanka. Maszyna i Szaleństwo były jednym, stwierdził.

– Rodzina Cruickshanka – żona, dwie córki i synek – zginęła na morzu. Rozumiesz pan, prawda?

Ze wstydem wyznaję, że ziewnąłem. Naprawdę tego nie chciałem. Następnie dowiedziałem się, że przyczyną zatonięcia statku były niedokładne mapy admiralicji. Kapitan wierzył w nie ślepo jak w Biblię, lecz zawiodły go wprost na skały.

Pan Cruickshank był Geniuszem, krzyknął Sumper. Szukał RACJONALNEGO WYTŁUMACZENIA przyczyny tej tragedii, samodzielnie przestudiował tablice nawigacyjne admiralicji i odkrył, że GEŃSTO W NICH BYŁO OD BŁĘDÓW. Nie mógł znieść tego, że jego rodzinę cisnęło na skały i zatopiło nie przeznaczenie, woła boska lub siły przyrody, lecz POMYŁKA. Czy słucham? Błędy w obliczeniach roily się w umyśle biednego Cruickshanka jak rozżłoszczone pszczoły i miesiącami, wciąż w żalobie, siadywał przy biurku z ołówkiem w dłoni i powoli, uważnie poprawiał wszystkie tak liczne błędy. Być może wyobrażał sobie, że w wyniku tego nużącego zajęcia zmarli ożyją, ogień w piecu na nowo zapłonie, a kuchnię wypełni zapach

puddingu yorkshire.

Zawiadomił „ministerstwo” o błędnych obliczeniach, a tam wydrukowano arkusze z erratą i przesłano je flocie handlowej i marynarce wojskowej. Lecz wtedy, ku swemu przerażeniu, Cruickshank odkrył, że błędy podstępnie znów przedostały się na mapy, jak woda przez nieszczelny dach – wiele wkładek z erratą błędnie skopiowano. W 140 tomach tablic nawigacyjnych znalazł około 3700 arkuszy z erratą równie niepoprawnych, jak błędy, które miały z założenia korygować. Wyliczenia do nich przeprowadzali mężczyźni odziani w ochronne celuloidowe okulary, dumnie obnoszący się z takimi tytułami jak Obliczeniowiec, Główny Obliczeniowiec czy Asystent Obliczeniowca. Ich staranne pismo wyglądało jak druk. Niestety, byli tylko prostymi urzędnikami, w dziurawych skarpetkach i z oddechem zionącym cebulą, tak boleśnie ludzcy, że nie można im było powierzyć równie banalnej, powtarzającej się czynności, jak dodawanie.

Wskutek tego w transkrypcji aż się roiło od zgubnych błędów, które namnażały się nieubłaganie w drodze od obliczeniowców do drukarni, do tego dochodziły pomyłki na etapie składu, chmurą obsiadające arkusze niczym szarańcza, i omyłki powstające przy korekcie, niezliczone jak ziarnka piasku, a każda mikroskopijna niedokładność była jak Scylla, zdolna rozłupać dębowy kadłub i choć pogrążony w żalobie nieszczęśnik każdą noc spędzał w służbie arytmetyki, błędom nie było końca.

Według Sumpera konsekwencją tej obsesji była choroba Cruickshanka. Podczas choroby, po niej, a na pewno w jej wyniku, zaczął rozważać sposoby zastąpienia miazgi i włókien ludzkiego mózgu mosiądzem i stalą i nie miał bynajmniej na myśli „połączanych idiotyzmów podobnych do automatu Vaucansona, które służyły jedynie rozrywce bogatych głupców”. Maszyna Cruickshanka była wolna od wszelkiej „zabójczej niezdarności”. Dokładnie tak to określił, mówił Sumper.

Cruickshank prowadził kiedyś zeszyty ze szkicami ptaków i scenek z natury. Nie pomijał nawet najdrobniejszego żuczka. Z pasją wypatrywał sposobów na poznanie i zrozumienie świata natury. Lecz teraz całą swą uwagę skierował do wewnątrz, a jego oczy zazwyczaj wpatrywały się w czubki butów, podczas gdy on starał się wynaleźć napędzany parą automat zdolny do opracowania bezbłędnych tablic nawigacyjnych. Maszyna miała przyjmować wprowadzane do niej liczby i powtarzać działanie dodawania z dokładnością do dziesięciu miejsc po przecinku. Dodawałaby i dodawała, jak najbardziej zawzięty z ludzi, lecz bez typowej dla naszego gatunku skłonności do błędu, a wyniki tych obliczeń pozostawałyby poza zasięgiem zabójczych ludzkich rąk. Maszyna miała podać poprawny wynik, z owych cyfr złożyć tekst BEZ LUDZKIEJ INGERENCJI, następnie przygotować formę odlewniczą, a z niej wyprodukować płytę drukarską, która BEZ LUDZKIEJ INGERENCJI drukowałaby gotowe tablice. To wszystko obmyślił jego pogrążony w smutku mózg, w którym aż szumiało od równań, obracających się osi, pracujących krzywek i dźwigni, obliczeń do siedmiu rzędów wielkości i trzydziestu miejsc po przecinku, tak że każda liczba składała się z trzydziestu lub trzydziestu jeden cyfr.

Pogrążony w żalobie Geniusz, ciągnął Sumper, błąkał się po londyńskich ulicach, nieustannie projektując – w swojej głowie – kształty, których dotąd nie było na ziemi, i obmyślał, w jaki sposób jedna trójwymiarowa krzywka będzie zmieniać położenie wobec drugiej trójwymiarowej krzywki i w jaki sposób razem będą zamontowane na osi. W porównaniu z tym przedsięwzięciem kaczka Vaucansona powinna być traktowana dokładnie tak, jak na to zasługuje – jak maszyna do produkcji sztucznego gówna, przepraszam za wyrażenie.

Kształty OBJAWIAŁY SIĘ MISTRZOWI, opowiadał dalej Sumper. Każda część RODZIŁA SIĘ W JEGO GŁOWIE. Rysował je ze zdumiewającą precyzją. Następnie nauczył Thigpena odczytywać swoje plany, rytować formy w drewnie, odlewać je w brązie i obrabiać je

na tokarce, aż wszystkie elementy wprawione w ruch stworzą złudzenie płynnego przewodu, wirując wokół osi niby kręgi stworzenia z nieznannej planety. Części wykonane były z tolerancją do jednej setnej milimetra i zaprojektowane w sposób uniemożliwiający jakąkolwiek pomyłkę. Polecenie wymagające od maszyny popełnienia błędu spowodowałoby jej zacięcie.

Aby zrealizować swój pomysł, Cruickshank musiał zbudować ważący wiele ton układ o wymiarach trzy i pół na dwa i pół metra, składający się z dwudziestu pięciu tysięcy części. Mając dziesięć tysięcy części, był już niemal w połowie drogi do celu. Kto mógłby pojąć, czym właściwie jest owa maszyna?

Jej Królewska Mość ani razu nie powiedziała, że ma problemy ze zrozumieniem istoty rzeczy. Ale monarchia to nie tylko bitwy, inwazje, parytet złota czy banicja zabójców, monarchia to także tysiące nieopierzonych ignorantów, mówił Sumper, możliwych uczonych wygłaszających opinie, i ci, zwłaszcza astronomowie, nie umieli sobie wyobrazić, gdyż ludzki umysł nie był w stanie tego obliczyć, ile podobna maszyna może kosztować. Zanim Thigpen zdążył wydać na nią grube tysiące funtów, biurokraci zdecydowali, że może ona przynieść więcej szkody niż pożytku. Nikt, a na pewno nie Cruickshank, nie był w stanie określić, kiedy będzie gotowa.

Tak więc, ciągnął Sumper, ledwie znalazłem się w KRAINIE ZŁOTA, ledwie zostałem wyniesiony na wyżyny, na których mogłem przyczynić się do zmiany kursu historii ludzkości, ledwie pojawiłem się przy placu Soho, pałacowi durnie oświadczyli, że nie pokryją rachunku.

Niemcy, wykrzyknął Sumper. Niemcy! Nie mogłem tego znieść. Idioci, kretyni, zarozumialcy, zdrajcy, jednym słowem, głupcy, którzy mogli zapłacić za Maszynę, gdyby tylko przetopili na złoto parę królewskich koron.

– Widzisz pan, Henry? Pod tym względem jesteś pan równy królowej Wiktorii. Boisz się pan, że zostaniesz oszukany, prawda? Z nią było tak samo.

Zaśmiał się i położył mi dłoń na ramieniu, a następnie pozwolił sobie na znacznie większą poufałość, niż było to przyjęte.

– Byłem tylko młodzikiem – opowiadał – lecz gdy znalazłem zatrudnienie, stało się dla mnie jasne, że z tego szczęścia zamieniłem się w najbardziej chorą istotę na ziemi, w mnicha. Pan, będąc w podobnej sytuacji, umiesz sobie zapewne z łatwością wyobrazić, jak rozpasane były moje sny, które odzwierciedlały wszystko poza moją faktyczną sytuacją i conocnym tuleniem do piersi Geniusza. Tak bardzo pragnąłem ukoić jego skołataną duszę, wybaczy pan to określenie.

Pikantne dykteryjki o burdelach dały Henry'emu Brandlingowi, chrześcijaninowi i dżentelmanowi, wystarczający powód do udania się na spoczynek.

**Catherine**

# 1

Kusiło mnie, by oglądać jakby w zwierciadle, niejasno<sup>[11]</sup>, podglądać czy zgadywać, co wydarzyło się w Furtwangen i Low Hall całe lata temu. Czytanie w ten sposób nie wymagało zasypywania tego niejasnego świata gradem pytań. Szybko można się było zorientować, że to, co z początku wydaje się mylące, nigdy nie zostanie wyjaśnione, choćby nie wiem jak intensywnie się wpatrywać i iloma przekleństwami miotać. Można było nauczyć się żyć z nieostrością i dwuznacznością w stopniu niemożliwym do zaakceptowania w prawdziwym życiu.

A przecież specjalizowałam się w horologii. Moim obowiązkiem było wiedzieć, w jaki sposób rzeczy pasują do siebie. Żadną miarą nie mogłam zaakceptować tego, że Cruickshank był istotą wyższego rzędu lub że zwierzęta mają zaawansowane życie umysłowe. Nie przeczę, ciekawie było rozważać te „tajemnice” i dostrzegać zdumiewające podobieństwa pomiędzy kościstym wielkoludem Sumperem i śliczną blondynką Amandą. Łączył ich zbliżony sposób rozumowania, byli jak dwójka akademików, którzy zawsze starają się dopasować dowody do swojej teorii. Kiedy pierwszy raz uruchomiłyśmy maszynę i ujrzałam odrażające, realistyczne ruchy szyi – bezlitosne, wyrachowane, węzowe, zimne, srebrne, falliczne – okazało się, że nie jestem odporna na wrażenie, jakie to budzi. Tym bardziej byłam więc zadowolona, że Amanda nie czytała o Wyższych Istotach Herr Sumpera.

Oczywiście, łabędź by „służył”, jak się przy tym upierał Sumper, lecz wątpię, by zegarmistrz wyobrażał sobie, że służyłby muzeum, a tu dożywałby swoich dni, przy wejściu od placu Lowndes, wylawiając złote monety z kieszeni klientów jakby za sprawą magnetyzmu. Nie potrzeba kalkulatora, by się zorientować, że dochód pozyskany w ten sposób nigdy by nie wystarczył, by zrównoważyć cięcia budżetowe wprowadzone przez Torysów.

Łabędź nie będzie Lucyferem ani nośnikiem ukrytego krzyża chrześcijan, lecz czymś na kształt instalacji, które pokazuje się dzieciom, z którymi starzejący się mężczyźni w dziurawych butach nawiązują dziwnie bliskie kontakty.

Będą też zaskakująco drogie pocztówki, plakaty, filmy wideo i katalogi z uczonym esejem autorstwa pana Crofta, drugim, bardziej praktycznym, mojego pióra i – dlaczego by nie? – charakterystycznymi rysunkami Amandy. Tak poważny wkład pierwszorocznego asystenta w ważny katalog będzie czymś bardzo nietypowym, nieistotne jednak, jak duże zdziwienie to wzbudzi, bowiem Amanda Snyder, która nie zasłużyła jeszcze na miano naukowca, codziennie wykonywała zaskakująco udane rysunki. Nie mam pojęcia, jak rozstrzygnięto by kwestię autorstwa i związanych z nim praw, gdyż choć wiele ze szkiców tworzyła w godzinach pracy w Swinburne, nie przerywała swego zajęcia z wybiciem siedemnastej. Nie można też było dopatrzeć się realnej granicy pomiędzy szczegółowymi opisami srebrnych obrączek, które wykonała jako konserwator, a pracami o charakterze prywatnym: sporządziła bardzo przemyślany szkic, przedstawiający mnie przy pracy, który chętnie bym kupiła, gdybym się nie obawiała, że wyjdę przy tym na próżną.

Moja asystentka nie kryła się ze swoim szkicownikiem, który trzykrotnie przejrzałam. Były w nim dwa rysunki, bardzo otwarcie zdradzające stan jej umysłu, do których w żaden sposób nie powinnam się wtrącać, tyle że przecież byłam jej szefową.

Pierwszy, bardziej fantastyczny, był dokładnym, trójwymiarowym, architektonicznym odwzorowaniem konstrukcji makabrycznego kadłuba, obrzydliwego grobowca, w którym kostka Carla przekroczyła Styks. Wyraźnie zabroniłam jej się nim bawić, z irytacją więc odkryłam, że godzinami go rysowała. Naszkicowała łukowate wręgi i poszycie tworzące burty, starannie

przedstawiła impregnat bitumiczny, nie ukrywając jednocześnie ziejącej poniżej jamy.

Oczywiście Amanda nie byłaby sobą, gdyby ograniczyła się do tego, co proste i konkretne. Precyzyjnie, z wykorzystaniem techniki cieniowania krzyżowego, narysowała mnóstwo fantazyjnych obiektów ukrytych wśród drewnianego poszycia. Dlaczego mnie to gniewało? Czyżbym była zwolenniczką krępowania wyobraźni? Narysowane przez nią rzeczy skojarzyły mi się z zapasami na życie pozagrobowe, z garncami pełnymi zbóż i owoców, jakie znajdowano w grobowcach faraonów, lecz nic mi nie podpowiadało, jak powinnam je interpretować, a tak czy owak, Amanda była świetną asystentką.

Akurat odkładałam szkicownik na miejsce, gdy otworzyły się drzwi. Miałam nadzieję, że przekonująco odwróciłam sytuację, czyli udałam, że podnoszę to, czego jeszcze nie zdążyłam odłożyć.

– Amando – zapytałam – czy rozmawiałś z panem Croftem o swoich rysunkach?

Położyła torebkę z drugim śniadaniem obok szkicownika.

– Nie, oczywiście, że nie. – Zarumieniła się, niekoniecznie z zadowolenia.

– Mogłabyś skopiować kilka z nich? Te, które najbardziej ci się podobają. Z myślą o katalogu.

W jej oczach dostrzegłam podejrzliwość, lecz gdy zaczęła przerzucać strony zeszytu, nabrałam pewności, że uratuje mnie jej próżność.

Dotknęłam jej dłoni, by nie przerzuciła rysunku sekretnych schowków. Wyraźnie czułam fizyczny opór.

– Czy to może jego dusza? – zapytałam o miniaturowe obiekty. – Co one przedstawiają?

– Tajemnice – odparła i przerzuciła kilka kolejnych stron do wyraźnie erotycznego, bardzo nietypowego, utrzymanego w japońskiej estetyce szkicu łabędzia.

Wyzywająco uniosła brew, lecz była już mniej pewna siebie i lekko zaróżowiona.

– Nie lubię go – powiedziała.

– Świetnie się spisałaś.

– Coś kombinuje, nie uważa pani?

Można by pomyśleć, że osiągnęłyśmy już etap, na którym uzasadnione byłoby podejrzewanie jej o chorobę, lecz ja nie miałam zamiaru rzucać takich podejrzeń.

– Czy pani też się wydaje, że ten niebieski sześcian jest jakiś dziwny?

– Niekoniecznie dziwny – odrzekłam – raczej wzruszający. – Ponieważ nie wiedziała nic o Carlu, moja uwaga musiała być dla niej bezsensowna.

– Panno Gehrig, czy czasem zastanawia się pani, co jeszcze mogło być ukryte w kadłubie?

– Kurz – odpowiedziałam – gwóźdź, mosiężna śrubka, trociny.

Gniewnie potrząsnęła głową.

– W ogóle to pani nie zastanawia?

– Nie.

– A może powinno?

– Nie – odparłam. – A teraz bierzmy się do pracy. Terminy nas gonią.

– Wie pani, mogłybyśmy obliczyć prawdopodobieństwo istnienia innych niebieskich kostek. Matematycznie.

– Nie, Amando, nie sędzę.

– Studiowała pani matematykę?

– Amando, dość tego.

– Pani wybaczy, panno Gehrig, ale gdyby była pani matematyczką, jestem pewna, że zgodziłaby się pani ze mną. Chciałabym, żeby porozmawiała pani z moim znajomym. Jest

genialnym matematykiem. Mogę wyrobić mu przepustkę, panno Gehrig? Proszę. To nie zaszkodzi.

Jestem socjalistką. Nie lubię oceniać kogoś, kto nie zna swojego miejsca. Amanda nie wiedziała, gdzie jej miejsce, lecz nie wytknęłam jej tego. Podpisałam wniosek o wydanie przepustki i pozostawiłam jej do wypełnienia resztę rubryk.

Dziwne było to, że kiedy wspomniała o owym przyjacielu, natychmiast pomyślałam o Angusie. Później, ponieważ wydawało się to zupełnie niemożliwe, przestałam sobie tym zawracać głowę. Czy moja „niewiedza” nie była przypadkiem umyślna? Czy miałam nadzieję, że to rzeczywiście on? Trudno mi powiedzieć, lecz kiedy starszy syn Matthew pojawił się w mojej pracowni, ubrany w luźne spodnie z zakładkami, choć z pewnością zdumiona, byłam niepewna tego, co tak naprawdę czuję. Być może mój stan najlepiej określiłyby słowa „skrajna panika”.

Młody człowiek wyglądał na bardzo skrępowanego, lecz mogło to być spowodowane zarówno wyrazem mojej twarzy, jak i niezwykle chłodnym tonem, jakim odezwałam się do Amandy.

– Czy wiedziałaś, że ojciec Angusa pracował w Swinburne? – zapytałam.

– Nie tutaj. Pracował przy placu Lowndes.

– Jak się poznaliście z Angusem?

– Och, w Suffolk.

Poczułam, że moja przestrzeń osobista została naruszona, pogwałcona. Suffolk było naszym miejscem, Matthew i moim, związane z naszymi losami i oddechami, Southwold, Walberswick, Dunwich, a nawet Norwich były sekretną materią tajemnego życia, które wiedliśmy tylko we dwoje. Jak śmiała wciągać biednego, pięknego chłopca w rejony, jak sam dobrze wiedział, naznaczone życiem jego ojca?

Na mojej twarzy z pewnością odmalował się brzydki grymas niezadowolenia. Coś sprawiło, że nagle zamarli.

– Gdzie w Suffolk, Amando?

Ale nie chciałam usłyszeć odpowiedzi, tak jak nie chce się oglądać łóżka, w którym kochanek zawiódł nasze zaufanie.

– Panno Gehrig, uważam, że nie ma pani prawa kontrolować, kogo znamy.

Zaśmiałam się czy też gwałtownie zaczerpnęłam powietrza, w zależności od punktu widzenia. Jednak nie chciałam wszczynać kłótni z Angusem. Chciałam, żeby mnie wreszcie polubił.

– A więc to ty, oczywiście – zwróciłam się do niego. – Genialny matematyk.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Nerwowo bawił się ręcznie malowanymi guzikami.

Zrozumiałam, że to Amanda je ozdobiła.

– Mogłaby mi go pani pokazać? – poprosił.

Było jasne, że pokazała mu wcześniej rysunek, gdyż mówiąc te słowa, popatrywał na kadłub.

– Tak więc – ciągnął – wiem, że mamy do czynienia z konkretną bryłą podzieloną na przegrody o określonej wielkości. Znam rozmiary niebieskiego sześcianu. Pytanie brzmi, czy jestem w stanie matematycznie wyliczyć prawdopodobieństwo istnienia większej liczby niebieskich kostek?

– Kto wie, co się mogło w nim kryć? Może wcale nie niebieskie kostki – odparła Amanda. – Może to coś zupełnie anachronicznego.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz.

Jeżeli Angus był zaniepokojony, nie dał tego po sobie poznać. Tak czy owak, Amanda była na tyle ładna, by na jej widok każdy młody mężczyzna ogłuchł i osłępl.



– Jeżeli kostki są rozmieszczone przypadkowo – tłumaczył – prawdopodobieństwo znalezienia kolejnej równe jest rozmiarowi przegrody podzielonemu przez rozmiar kostki.

– Nie tylko kostki – wtrąciła autorytatywnie Amanda. – Kto wie, gdzie mogli ukryć przedmioty. Gdybyśmy to wiedziały, mogłybyśmy po prostu wywiercić dziurkę.

Skinęła głową w moim kierunku, jakby podkreślając, że mówi poważnie.

– Nie można przewidzieć tego, co nieprzewidywalne – powiedział młodzieniec.

– Mówiłeś mi, że możesz to zrobić.

– Pozwól, że przytoczę analogiczny przykład na to, o co mnie prosisz – idąc ścieżką, znajdujesz papierową torbę. W środku jest ołówek. W pobliżu dostrzegasz drugą papierową torbę. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w środku też jest ołówek? Odpowiadam: nie mam pojęcia. Wiem, że jest to możliwe, ale na tym kończy się moja wiedza.

– Cóż – nie poddawała się – z pewnością jest ich więcej niż jeden. Inaczej nie miałyby to najmniejszego sensu.

– Amando.

– Panno Gehrig, oczywiście jest, że w środku jest jeszcze wiele innych części. To kluczowe dla kwestii łabędzia.

– A na czym polega owa kwestia łabędzia? – zapytałam, czując, że dostaję gęziej skórki.

– Amando – odezwał się Angus. Wziął ją za rękę, ale go odtrąciła.

– Okłamałeś mnie – powiedziała.

Biedak nie miał bladego pojęcia, o co chodzi.

– Więc w tym podwójnym poszyciu ukryte są jakieś przedmioty?

– Wiesz, że tak. Przecież ci mówiłam.

– Dlaczego go więc nie prześwietlicie? – zaproponował. – Do tego nie jest potrzebna żadna matematyka.

– To niemożliwe.

– Nie, to wcale nie jest niemożliwe – upierał się. – Muzea mają aparaty rentgenowskie. Jeżeli w środku coś jest, będziecie mogły to zobaczyć.

Amanda spojrzała na mnie z mocno ściągniętymi brwiami.

– To prawda? – zapytała. – Czy może kolejne kłamstwo?

Obsesja nie jest szaleństwem, powtarzałam sobie w myślach.

– Moi drodzy – powiedziałam, choć zazwyczaj nie używam takich słów – pozwólcie, że zwrócę wam uwagę na fakt, że jesteśmy świeżo po wyborach, a co za tym idzie, drastycznie obcięto nasz budżet. Jednocześnie pracujemy nad bardzo skomplikowaną rekonstrukcją mechanizmu. Wymiana jednej małej ryбки wymagała trzygodzinnej narady. Nie ma mowy o żadnych prześwietleniach, zapomnijcie o tym.

– Panno Gehrig, proszę – powiedziała błagalnie Amanda i nagle zrozumiała, że nie ulegnę.

To wtedy rzuciła się na mnie z paznokciami.

Nie trzeba było zakładać szwów, ale bardzo się rozzłościłam i kiedy w budynku przy Lowndes Square wynikł jakiś problem z moim identyfikatorem, kompletnie straciłam nad sobą panowanie.

Cała cholerna, nawiedzona klatka schodowa i wszystko inne wokół mnie przesycone było cząsteczkami Matthew, tlenem, który niegdyś pieścił jasnorożową wyściółkę jego płuc. Nie spotkałam nikogo znajomego, a może widzieli, że nadchodzę.

Pewien podolog powiedział mi kiedyś, że ludzie, słysząc moje kroki, mogą myśleć, że jestem zła, i to prawda – chód, atramentowy błękit mojej wirującej spódnicy i mnie samą, zawsze zbyt mocno stukającą obcasami, można określić słowem *podminowany*. Czy byłam umówiona? Nie, ale oto i on, Crofty, i otaczający go ze wszystkich stron miszmasz – książki, papiery, katalogi, karty i zupełnie nic miłego dla oka, chyba że głęboko ukryte w drewnianej skrzyni wypełnionej słomą, która wysypywała się na dywan. A jednak był to bardzo elegancki gabinet, z szerokimi skrzypiącymi georgiańskimi oknami, marmurowym kominkiem i dziedzińcem, słodkim i cichym niczym w klasztorze, tonącym w głębokim cieniu kasztanowca.

– Co ci się, u licha, stało? – zapytał z taką czułością i smutkiem, że gdy wyciągnął ku mnie ręce, przyszedł mi na myśl Max Beckmann w smokingu, samotny, udręczony, życzliwy.

– Ta dziewczyna musi zniknąć – odparłam.

– Słodki Jezu – powiedział. Jego czułość była wszechogarniająca. Nagle intuicyjnie wyczułam drugie dno. – Zaatakowała cię?

Nie pozwoliłam mu dotknąć twarzy.

– Weź chociaż chusteczkę – powiedział.

– Pozbądź się jej – powtórzyłam.

W pokoju stał fotel przykryty folią bąbelkową. Crofty uprzątnął go i usiadłam. Wysunął swój fotel zza biurka, tak że siedzieliśmy, niemal dotykając się kolanami.

– Dobierasz ludzi, jakbyś prowadził jakąś cholerną stajnię ogierów – powiedziałam.

Przez moment wyglądał trochę złowroźnie, jak gdyby się zastanawiał, jak to rozegrać. Znowu podał mi chusteczki. Z pewną satysfakcją spostrzegłam, że mocno krwawię.

– Catherine, o co ci chodzi, na litość boską?

– Okropnie się wtrącasz w cudze sprawy.

Zgadywałam, że teraz zaproponuje mi herbatę.

– Tak? Naprawdę? – Założył ręce na piersi i dostrzegłam roleksa wysuwającego się spod mankietu niczym znak korporacyjnej korupcji. – Przykro mi, że tak myślisz.

– Amanda jest wnuczką twojego przyjaciela Lichfielda, prawda? Lorda.

– Mówisz o fotografii, moja droga. Gerald jest baronem. – Wstał. – Poczekaj chwilkę.

Zniknął i pomyślałam, że teraz na pewno zrobi tę cholerną herbatkę. Będzie to lapsang souchong i zapyta, czy nie przeszkadza mi, że nie ma mleka. Ale kiedy wrócił, miał w rękach plastry, watę i różne ciemne buteleczki. Nalał spirytusu na wacik, rozlewając go przy tym.

Zamierzał zmyć mi krew, ale przejęłam inicjatywę.

– Może zapiec – ostrzegł.

Oczywiście zapiekło.

– W każdym razie – podjęłam – Amanda Snyder jest wnuczką twojego przyjaciela.

– W zasadzie nie jesteśmy przyjaciółmi.

– W takim razie członka zarządu.

- Kolekcjonera, moja droga. To zupełnie inne zwierzę.  
Pozwoliłam mu zabrać zakrwawiony wacik. W zamian wzięłam czysty gazik.
- Tak czy owak, kryją się za tym twoje machinacje?
- Catherine, bardzo mi przykro, że do tego doszło. To oczywiście niewybaczalne, ale dla nas to nawet lepiej, gdy kolekcjonerzy czują się związani z muzeum. A poza tym to wyjątkowa dziewczyna. Widziałas jej indeks. Wykładowcy z Courtauld nie mogli się jej nachwalić. Z West Dean przysłali trzystronicowy list polecający. Jest genialna.
- Choć trochę niezrównoważona?
- Z tego, co wiem, sprawowała się bardzo dobrze.
- Widzisz moją twarz? Widzisz, co zrobiła? Nie życzę jej sobie w mojej pracowni.
- Catherine, pozwól mi chociaż wezwać pielęgniarkę, żeby rzuciła na to okiem. Wszystko wyjaśnię. Teraz nie zwalnia się ludzi tak łatwo.
- Ericu, drogi Ericu, co z nią jest? Czemu mi nie powiedziałeś? Jest maniacko-depresyjna?
- Czy naprawdę entuzjazm wymaga klinicznej etykiety?
- To nie jest zwykły entuzjazm.
- W takim razie obsesja. Z tego, co wiem, jest w stu procentach normalna. Prawda?
- Nie, to wariatka.
- Chyba bardzo się przejęła tym wyciekami ropy.
- Co takiego?!
- Powiedziałem, że przejęła się tą sprawą z BP.
- Przejęła się. Tylko tyle.
- Moja droga, nie czytasz prasy? Nie oglądasz telewizji? W „Slate” był na ten temat duży artykuł. Czytujesz „Slate”? O niszczącym wpływie wycieku na psychikę. Jej odczucia są normalne. Jest zdenerwowana.
- Tak samo jak ja. Ale czy to daje mi prawo napadać na ciebie?
- Tylko przekazuję ci to, co sam wiem. Setki tysięcy młodych ludzi codziennie oglądają obraz z kamery pokazującej ropę wlewającą się do zatoki. To uzależnienie. Z tego, co wiem, rysują przerażające szkice. Naprawdę, na ich widok człowiek ma ochotę się powiesić.
- Szkice przedstawiające co? – zapytałam, sądząc, że to pomyłka.
- Oczywiście coś należy zrobić. To straszne. Ona nie jest sobą. To poważne przewinienie.
- Dziękuję. W takim razie można ją zwolnić.
- Jeśli, jak sugerujesz, jest chora, mamy prawny obowiązek zachowania należytej staranności. Jest na taką okoliczność paskudna i czasochłonna procedura. Musielibyśmy znaleźć dwóch lekarzy, którzy potwierdzą, że Amanda nie jest w stanie odpowiedzialnie wykonywać swojej pracy, a wtedy, sam nie wiem, mogłaby wbić sobie do głowy, że ją dyskryminujemy.
- Za to, że się stroi?
- Niech ci będzie, że za to, że się stroi. Nie żartuj sobie z tego. Mogłaby powiedzieć, że chcieliśmy wymusić na niej odejście z pracy.
- Dziewczyna wpadła w furję, ponieważ nie zgodziłam się prześwietlić przedmiotu, który wcale nie powinien jej interesować i który nie był jej działką, a teraz się okazuje, że to ja *spiskowałam*, by zwolnić ją za to, że się stroi. Boże, dopomóż mi, pomyślałam, podczas gdy Crofty, który niby miał być moim przyjacielem, wyjaśniał mi procedurę, próbując mnie zniechęcić, gdyż nie chciał utracić dobroczyńcy.
- Czy miałabyś do tego cierpliwość? Czy naprawdę zrobiłabyś coś takiego chorej osobie?
- Pytając przechylił głowę.
- Och – powiedziałam. – Masz na myśli *mnie*?

- Nie, oczywiście że nie. Absolutnie nie.
- Jestem chora, czy to właśnie sugerujesz?
- Pozwól, że zaparzę herbaty.
- Nie, nie uciekaj. Dlaczego ganiasz po ludziach i robisz różne rzeczy za moimi plecami?
- Moja droga, nie zawsze tak bardzo ci to przeszkadzało.
- Mówisz o narkotykach?

Wstał i zamknął drzwi, a kiedy mówił, wyglądał bardzo poważnie. Skarcił mnie, jak na to zasłużyłam.

- Przepraszam. Co mi nigdy dotąd nie przeszkadzało?
- Cóż, prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że to mój talent, ta umiejętność przedstawiania sobie przyjaciół. Ale nigdy nie wykorzystałbym tego talentu we własnym interesie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Bałam się kierunku, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Oczywiście nie pamiętasz, kto sprawił, że zaczęłaś pracować z Matthew?
- Nie!
- Ale czemu się unosisz? Wolałabyś, żebym tego nie zrobił?
- Proszę, proszę, nie rób mi tego.
- Ach, Cat, naprawdę byłaś najpiękniejszym, najelegantszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem, doskonałym w każdym calu.

– Więc popchnąłeś mnie w kierunku żonatego mężczyzny.

Obrócił się na krześle i zaczął się bawić czajnikiem. Poczulałam ulgę, że siedzi plecami do mnie.

– Był tak nieszczęśliwy i smutny – tłumaczył. – Ta okropna kobieta i jej podle romanse. To zbyt potworne dla tak uroczego człowieka.

- Naprawdę mnie wystawiłeś? Czy on o tym wiedział?
- Miał okropne życie. Sama o tym wiedziałaś. Była wcieleniem okrucieństwa. Nadal jest okrutna. Młodszy z chłopców bardzo dobrze umie sobie z nią radzić. Jest względnie bezpieczny. Gapiłam się przez okno na kasztanowiec, wspominając Noaha pijącego whisky.

- Ale ten starszy...
- Angus.
- Tak, Angus jest w trudnej sytuacji jako głowa rodziny.
- A ty zamierzasz go uratować.
- Sam musi to dla siebie zrobić.
- Ale podsunąłeś mu pod nos Amandę.
- Niezupełnie. W Walberswick jest kort tenisowy.
- Walberswick? Walberswick. Czyli ona jest praktycznie moją sąsiadką. Wielkie dzięki. Nic nie powiedział, dopóki nie wrócił z herbatą lapsang souchong. Pokroił w plasterki cytrynę.

- Catherine, przestań, proszę. Nie ma nic złego w uszczęśliwianiu ludzi.
- Czy ona przypadkiem nie jest *troszkę* schizofreniczką?
- Widziałaś jej rysunki?
- Oczywiście, że widziałam jej pieprzone rysunki. Wykonuje je *dla mnie*.
- Przepraszam. Masz rację.
- Choć kiedy zadałam jej to samo pytanie, powiedziała, że *ty* nigdy ich nie widziałeś i właśnie to mi się nie podoba w tej ustawce, Ericu. Wszyscy biegają dookoła, szepcząc za moimi plecami. Podsyłasz mi chłopców, wysyłasz ich do mojego domu w nocy, a potem nakłaniasz jednego z nich do spania z szaloną dziewczyną, która z twojej inicjatywy pracuje ze mną. Czuję się jak skończona idiotka.

Wreszcie nalał sobie herbaty i choć siedział naprzeciw mnie, dzieliła nas teraz większa odległość.

– Catherine, czy mam powtórzyć to, co powiedziałaś, żebyś mogła sama siebie usłyszeć?

– Uważasz, że ja też jestem „entuzjastką”? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak okropnie jest być otoczoną nieznajomymi, którzy wiedzą o moim życiu więcej niż ja sama? To nie życzliwość, wprost przeciwnie.

– A więc byłem dla ciebie okrutny?

– Tak.

Zapadła cisza. Odstawił filiżankę i spodeczek na biurko i bardzo wolno wstał. Myślałam, że odsunie krzesło z powrotem na stałe miejsce, ale pozostał nieruchomy, z rękami na chwiejącym się oparciu. Wreszcie się odezwał, spoglądając przez okno:

– Catherine, rzeczywiście uważam, że traktowałem cię bardzo ulgowo. Niezwykle ulgowo. Ale teraz naprawdę musisz zwrócić do muzeum wszystkie materiały pisemne.

– Chyba żartujesz.

– Moja droga, miarka się przebrała. Nie mogę dalej przymykać oka na to, co robisz. Mogę przez to stracić posadę, o to jest naprawdę bardzo łatwo. „Wynoś się”. „Opróżnij biurko”. Policyjna eskorta i tak dalej.

– Karzesz mnie. Przepraszam. Proszę, nie karz mnie. Pozwól mi zatrzymać zeszyty w domu.

– Wszyscy daliśmy się ponieść fali entuzjazmu. Najwyższa pora uporządkować sprawy.

– Wymknęliśmy się spod kontroli?

– Troszeczkę.

– Czy naprawdę zaaranżowałaś moje spotkanie z Matthew?

– Uratowałaś mu życie.

Szyby okienne odbijały się w słonych aureolach jego oczu.

– To on uratował mi życie.

– Zmieniłaś go. Byłaś jego życiem.

Nie mogłam dłużej wytrzymać. Rozryczałam się. I tym razem to ja wyciągnęłam rękę. Kiedy poczułam na ciele jego sztywny członek, osłupiałam, ale tylko na chwilę. Biedaku, biedaku, pomyślałam i znów usiedliśmy, każde na swoim krześle. Znaleźliśmy coś w katalogu domu Christie's i znów każde z nas było doskonałym „nikim”, a wszystkie dane zostały wymazane z naszych oczu.

<sup>[11]</sup> 1 Kor 13,12, Biblia Tysiąclecia

## Catherine i Henry

Najdroższy Matthew, pomyślałam o tobie, gdy dostarczono pudełko z pizzą. Wspomniałam wyśmienite kotlety jagnięce, marynowane w czosnku, imbirze i chili, które przyrządzałeś na grillu hibachi pod potężnym wiązem. Sałata jadowita, cykoria radicchio, treviso i endywia, liście groszku, rukiew wodna, całuję twoje paluszki.

Łapczywie przełknęłam syf z kartonowego pudełka i zaczęłam czytać.

Herr Sumper znów mi klarował, pisał Henry Brandling, że M. Arnaud jest o wiele lepszym złotnikiem niż kolekcjonerem baśni. Jego wielkie nieszczęście, mówił drwiąco Sumper, polega na tym, że Baronowa Ludwig Cośtam zamówiła u niego wulgarną solniczkę. Teraz przemykał się chyłkiem po lesie jak myszka, w obawie, że Baronowa znów siłą zmusi go do wulgarności.

Oczywiście, ciągnął Sumper, wszyscy wiedzą, kim jest Arnaud i gdzie mieszka. Baronowa mogłaby wezwać go do siebie przed upływem tygodnia, ale niby dlaczego miałyby zawracać sobie nim głowę?

Piliśmy z Sumperem kwaśne wino, pisał Henry.

– Ten głupiec wydaje połowę swoich dochodów na zakup baśni – mówił Sumper. – Wiem, że mówią o nim, iż jest wynalazcą, ale na czymś takim nie można zarobić.

Na czym?

– To jego urządzenie do prania jest idiotyczne. Obraża mnie, że ktoś taki jak Arnaud w ogóle mi coś takiego pokazał. Ja, który przyjaźniłem się z naukowcami i geniuszami, muszę słuchać, gdy tłumaczy mi wciąż na nowo, jak działa ta maszyna do prania, tak że jestem skazany na to, by do śmierci nosić w głowie jej części składowe. Nie ma pojęcia, że moja Pamięć Mechaniczna jest w stanie sprostać o wiele bardziej wymagającym próbom. Dzięki tej cholernej leśnej driadzie elementy maszyny piorącej grzechoczą mi w głowie jak gwoździe.

Było jego osobistą ambicją, ciągnął Sumper, nie robiąc nawet przerwy na zaczerpnięcie oddechu, by zachować w pamięci wszystkie dwadzieścia pięć tysięcy elementów Maszyny Cruickshanka. Zaczęło się to w dniu, gdy się dowiedział, że niedokończone urządzenie zostało porzucone przy Bowling Green Lane 40 po wizycie komorników, którzy zaryglowali drzwi i okleili okna obwieszzeniami.

Niektórzy z tokarzy uważali, że to kara za drwiny z Boga.

– Lecz główną winowajczynią – tłumaczył Sumper – była królowa Wiktoria.

Cruickshank nadal miał nadzieję, że uda mu się ją ponownie nakłonić do popierania projektu, i z tego właśnie powodu Mistrz całymi wieczorami wklejał do potężnego portfolio doniesienia prasowe o katastrofach morskich.

Sumper mówił i mówił, pisał Henry, bez przerwy, ciągle i ciągle, a podczas zamieci śnieżnych chyba nawet więcej. Przygnębiona Catherine Gehrig wpatrywała się w zmrożone pismo.

Czemuż muszę cierpieć, napisał Henry Brandling lata temu. Czy nie jestem zleceniodawcą?

Największym wrogiem maszyny była Królowa Angielska, lecz nie tylko ona. Nienawiścią obdarzał też ją Nadworny Astronom. Robił wszystko, co w jego mocy, by zatruć umysły Królowej i Księcia Małzonka.

Pewien, że koniec końców zatriumfuje, Cruickshank kontynuował prace nad listą ofiar katastrof morskich. Trzeba by mieć serce z kamienia, by nie ulec sile perswazji tych nazwisk, tak

wielu dzieci, tak wielu niemowląt. Tak mówił Sumper. Tak to zapisał Henry i nie wiadomo, jak się przy tym czuł. Jednocześnie Cruickshank niczego nie zakładał – wystosował do Jej Królewskiej Mości petycję z prośbą, by niezależnie od decyzji dotyczącej finansowania Maszyny, natychmiast wydała dekret nakazujący nadanie mu przywileju w postaci prawa do wyrzuconych przez morze na brzeg ton stali i mosiądzu. Umożliwiłoby mu to sprzedaż udziałów i samodzielne zdobycie kapitału niezbędnego do ukończenia maszyny ratującej życie.

Później, ponieważ nie umiał czekać na nikogo, nawet na Królową, bezzwłocznie przystąpił do poszukiwania inwestorów, dyktując Sumperowi listy z prośbą o wsparcie finansowe. Miały one być nadawane natychmiast, lecz poprawianie angielszczyzny Sumpera zajmowało wiele godzin. Ta niedoskonałość nie była jednak przeszkodą dla ich przyjaźni. W rzeczy samej to właśnie wówczas Sumper stał się „jego Niemcem”.

Pan Cruickshank był zawsze uprzejmy, mówił Sumper. Od niego nauczyłem się poprawnie posługiwać językiem angielskim, choć, szczerze mówiąc, jego kucharka też była bardzo sprawną nauczycielką, nie tylko tego jednego przedmiotu.

Gdy rzeźnik odmówił dostaw na kredyt, Geniusz znalazł sobie pilne zlecenie od dyrekcji Kolei Brytyjskich na zbadanie, jakimi niebezpieczeństwami może grozić nowy środek transportu. Firma dostarczyła mu wagon drugiej klasy, z którego wraz z Sumperem usunęli wszystkie elementy wewnętrzne. Następnie doczepili do szkieletu długi blat, zaprojektowany tak, by mógł się poruszać zupełnie niezależnie. Na jednym końcu przymocowali „monumentalną” rolkę papieru, która rozwinięta mierzyłaby 600 metrów. Gdy papier nawijał się mechanicznie na drugą rolkę, kilkanaście piórek rysowało tuszem krzywe odwzorowujące siłę tarcia, pionowe wstrząsy urządzenia i inne rzeczy „których byś pan nie pojął”. Krzywe pokazywały dokładne parametry bezpieczeństwa i wygody pasażerów. Mierzyły na przykład siły fizyczne mogące spowodować wywrócenie się wagonu.

Głupiec, pisał Henry Brandling.

Ten głupiec nie wiedział, że ojciec Henry’ego był jednym z dyrektorów rzeczonyj firmy i że osobiście odpowiadał za zlecenie zamówione u Cruickshanka. Niemniej jednak, pisał Henry, ciekawiło mnie, jak te lotry wykorzystały hojność Brandlingów. Nie przyznając się do związków rodzinnych, dowiedziałem się z łatwością, że łajdacy podróżowali za darmo po całym kraju. Co prawda, było to niezwykle niebezpieczne, gdyż za każdym razem musieli doczepić swoje laboratorium do zwykłego pociągu i stosować wiele różnych sztuczek – które, co muszę przyznać, nie zawsze rozumiałem, pisał Henry – jak na przykład odczepianie się od głównego składu i zjeżdżanie w pełnym pędzie na bocznice. Czerwona bila do górnej łuzi, pomyślał Henry. Tak czy owak, łuzi czy też bocznica wybierana była z dużym wyprzedzeniem. Wszystko było tak dobrze zaplanowane, że Herr Sumper musiał raz wystosować list do Lady Lovelace, informując ją, iż pan Cruickshank i „jego Niemiec” pojawią się na bocznicie 23A, trzy mile na wschód od gospody w Minehead, a jako że według załączonej mapy topograficznej rozciągały się tam płaskie pola, mają nadzieję spotkać po południu powóz Lady Lovelace.

Tak podróżowali od jednej posiadłości do drugiej, witani na wiele różnych sposobów przez Moźnych i Szlachetnie Urodzonych. Najbardziej przypadło im do gustu towarzystwo naukowców, z którymi umawiali się wcześniej w gospodach, wiejskich domkach, a raz nawet na błotnistym polu.

To te właśnie dyskusje, twierdził Sumper, pomogły mu wyobrazić sobie ukończoną Maszynę. Zapamiętał ją z dokładnością do jednej setnej milimetra, opisując pary obracających się wokół własnej osi kształtów podobnych do spiralnych schodów, zbiegających się ze sobą i oddalających co drugi stopień.

Wyznał jednak, że jego rozumienie istoty Maszyny niewiele przewyższało możliwości

umysłowe sprzedawców, którzy pewnego dnia obserwować będą łabędzią szyję i dostrzegać w jej ruchach coś tak niepojętego i niesamowitego, że zjeżą im się włosy na bezmózgich głowach.

Kompletnie oszalał, pisał Henry Brandling, i nie było na tym świecie siły zdolnej powstrzymać lub opanować tę coraz to silniejszą manię. Kogo jednak miał na myśli? Cruickshanka? Sumpera?

Z pewnością to Sumper wspominał o domniemanej wierze Cruickshanka w istnienie życia na innych planetach.

Czułem, że muszę się sprzeciwić, pisał Henry, nawet jeśli nie miałem w tej bitwie równych szans.

Z poglądami Cruickshanka zgadzali się podobno Sir Humphrey Lucas i pan Paul Arnold, z którymi wspólnie skonsumowali w Henley jagnięcy udziec. „Byłoby zarozumiałstwem – powiedział rzekomo Herr Sumperowi sam wielki astronom – sądzić, że w tej właśnie minucie gdzieś w odległym zakątku nieba nie ginie cały naród, wywodzący się z jakiejś nieznanej rasy”.

– Zapewne nie może się pan z tym nie zgodzić? – zapytał Sumper Brandlinga.

Henry notował: nie mogłem się zgodzić z tym, że jakikolwiek naukowiec byłby zdolny do takich słów. Poza tym, jako anglikanin, też nie mogłem się na to zgodzić, wobec czego Sumper we wzburzeniu opuścił pokój. Pomyślałem, że PRZYNAJMNIJ MOGĘ PÓJŚĆ SPACĆ, lecz on wrócił, krzycząc, że „głupotą i zarozumiałstwem” jest niedopuszczanie przynajmniej ewentualności istnienia wyższej formy życia gdzieś pośród gwiazd, lecz jako że głupota i zarozumiałstwo są najczęstszymi z chorób trawiących ludzkość, przypuszcza, że anglikanie też muszą być nimi zarażeni.

– Spotkałem te Istoty – powiedział dobitnie, niskim głosem. – Obserwowałem je z bliska. Henry zażądał, by przysiągł, że mówi prawdę.

Ponieważ Sumper odmówił, dla Henry’ego było jasne, że wcale takowych istot nie poznał. Zdradził się z tą opinią.

Sumper odparł: „Czy nie wiesz pan, kim jestem? Nie wiesz, że zostałeś pan do mnie wysłany?”.

Ten wybuch był tak dziki i zatrważający, że w poszukiwaniu bezpiecznej przystani, pisał Henry, wciągnąłem go w rozmowę na temat ostatecznego raportu Cruickshanka przygotowanego dla Kolei Brytyjskich. Dzięki temu nareszcie na nowo zapanował spokój, gdyż Herr Sumper udzielił mi bezpośredniej odpowiedzi z taką dumą, jak gdyby to on sam, służący, sporządził ów raport. Ponownie usiadł, zakładając masywną łydkę na okrągłe kolano, i wymienił trzy główne zalecenia raportu z najdrobniejszymi szczegółami, lecz byłem wtedy, notował Henry, tak wyczerpany emocjonalnie, że słuchałem go bez przykrości. Gdy już będę z powrotem w domu, w Low Hall, z radością wygrzebię te raporty z archiwum starego Simpsona, gdzie z pewnością bezpiecznie spoczywają, związane tasiemką w kolorze, który główny referent mojego ojca uznał za odpowiedni do oznaczenia tych dokumentów.

Po powrocie do Londynu na Cruickshanka i jego Niemca nie czekał ani łup przekazany przez Królową, ani jej sekretarz. Czekał na nich natomiast list od pułkownika Minnsa z Gwardii Królewskiej, informujący Geniusza, iż Jej Królewska Mość podarowała Maszynę nie jemu, lecz całemu narodowi. Admiralicja zatem arogancko zobowiązała wynalazcę do przewiezienia rzeczzonego mechanizmu w miejsce wskazane przez podwładnych Jej Królewskiej Mości, choć nic ich nie skłoni do wyznania, gdzie konkretnie miałyby to być.

Pan Cruickshank został więc wystrychnięty na dudka, zapisał Henry Brandling i jeśli to prawda, ciągnął, niewykluczone, że do dziś gdzieś w zakamarkach zakładu produkcyjnego pod numerem 40. przy Bowling Green Lane nadal spoczywa osiem ton żelastwa.



Oczywiście Henry Brandling nie mógł mnie widzieć, lecz przewidywał przecież, że kiedyś ktoś przeczyta jego słowa. Owym czytelnikiem byłem ja, Catherine Gehrig. Szukałam między linijkami kodów i znaków, wpatrując się w zamazane, nachylone w dół pociągnięcia pióra, gdzie pośród morza dwuznaczności, złudzeń, cudów i możliwości, pośród mroków i omyłek, tkwił jeden jedyny realny, fizyczny dowód, który mógł służyć mnie jednej: warsztat Thigpena w Clerkenwell znajdował się nieopodal sklepu Gehrig i Syn, domu mojego dzieciństwa.

## Catherine

Tej nocy spałam przy otwartym oknie, lecz w powietrzu nie czuło się świeżości, tylko ciepło i znużenie tego niespodziewanego stulecia. Nad ranem miałam powracający zagadkowy sen, w którym maszyna Cruickshanka rozmnażała się, a moim zadaniem było dopasowanie do siebie złotych łańcuchów DNA.

Rano na poduszce znalazłam krew, lecz zadrapanie paznokciami Amandy nie było bardzo groźne. Tak czy owak, dano mi „dużo luzu” i domaganie się jej zwolnienia nie byłoby z mojej strony przejawem ani wdzięczności, ani dyplomacji. Zachowam się dojrzałe. Nie będę już zakładać, że nie obowiązują mnie zasady. Zwrócę bruliony, choć będę nalegać, by ograniczono do nich dostęp. Gdyż nawet Crofty będzie w stanie zrozumieć, że Amandzie nie wyszłaby na dobre wizyta w rejonach *Mysterium Tremendum*. W chwili obecnej nikomu nie były potrzebne istoty z kosmosu.

Tymczasem ładnie ułożyłam wszystkie dziesięć zeszytów na kuchennym stole. Na wierzchu umieściłam pojedynczą kartkę, zaadresowaną do Erica Crofta. Nadal nie wiem, dlaczego to zrobiłam, być może miałam przeczucie, że nie wrócę, choć nie miało to najmniejszego sensu – nie zamierzałam przedsięwziąć żadnych dramatycznych kroków poza wizytą na Bowling Green Lane. W końcu urodziłam się w sąsiedztwie.

Czy wierzyłam, że zakład Thigpena nadal znajduje się przy Bowling Green Lane? Miałam w głowie bardzo wyraźny obraz głębokiej, wysokiej przestrzeni ciągnącej się aż do Northampton Road, lewiatana ze stali i mosiądzu, połyskującego pod brudnym londyńskim niebem.

Z łatwością można tam było dojechać metrem. Lambeth North, Baker Street, Farringdon. Czemu by nie? Co to szkodzi? Czy mogło być coś gorszego niż to, co już wcześniej odkryłam, że w moim rodzinnym domu mieści się teraz wypożyczalnia kaset wideo dla dorosłych?

Wychodząc z domu, zauważyłam obcy samochód zaparkowany zardzewiałą maską w dół stromej ścieżki prowadzącej do drzwi moich sąsiadów. Ci z góry oczywiście byli znów na wakacjach, ale ten szczególny samochód, kiedyś z bardzo wysokiej półki, teraz upadł bardzo nisko, stary, zszarzały i wyblakły, z biegnącym wzdłuż bocznej krawędzi stopniem i skorodowanymi chlapaczami. Wyobraziłam sobie, że dostrzegam ciało spoczywające na tylnym siedzeniu. Trup, pomyślałam. Wtedy ciało poruszyło się i było to jeszcze gorsze. Byłam pewna, że jest ich dwoje, poruszających się jak krety pod kocem.

Wstyd mi było zadzwonić po policję, zamknęłam więc drzwi na cztery spusty i pospiesznie ruszyłam Kennington Road. Pomyślałam, że powinnam była zanotować numer rejestracyjny.

Przed stacją Lambeth North reklamy gazet głosiły: PRZYPLÝW LĘKU. Widać było kolorowe zdjęcie Zatoki Meksykańskiej, gęsty czarny środek z obwódką rdzawej czerwieni, otoczony błękitem.

Pociąg pchał przed sobą ścianę gorącego powietrza. Wsiadłam. Zadrapanie na mojej twarzy zostało zauważone, w ten typowo brytyjski sposób, który nie zawiera ani krzty współczucia. Przesiadłam się na Central Line. Po dotarciu na stację Farringdon zobaczyłam, że jest wypatroszona – tymczasowe rampy i przejścia, i ogrodzenia budowlane, i dużo więcej PRZYPLÝWU LĘKU.

Na zewnątrz Farringdon Road przypominała plac budowy. Ciężarówki, minivany, motocykle i gazety unoszące się niczym mewy nad wysypiskiem śmieci.

Wstrzymując oddech, ruszyłam na północ. Skręciłam w prawo w Bowling Green Lane, przeszłam obok pubu (o nazwie Bowler) i znalazłam się wewnątrz łamigłówki Henry'ego Brandlinga. Poczułam na biodrze wibracje telefonu komórkowego i już stałam przy Bowling Green Lane 40: FINSBURY BUSINESS CENTRE. Oczywiście było to w Clerkenwell, a nie w Finsbury, ale stał tu budynek, zbudowany sto lat po wizycie Sumpera pod tym adresem.

Czy mogłam się spodziewać takiego rozczarowania? Tyle czasu spędziłam na podtrzymywaniu w sobie racjonalnego sceptycyzmu, że nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo pragnę tej maszyny. Pragnęłam Cruickshanka i jego srebrnych dam, lecz zakład Thigpena został kolejno zbombardowany, odbudowany i popadł w ruinę. To było nasze dziedzictwo: ogromny nudny powojenny budynek z przygnębiającymi biurami do wynajęcia.

Z Bowling Green Lane zadzwoniłam do ochrony, by zapytać, czy Amanda odbiła rano swoją kartę.

Nie odbiła.

Pociągi były powolne i śmierdzące. Niemal dwie klaustrofobiczne godziny zajęło mi dotarcie do Aneksu, gdzie odkryłam dużą drogą kopertę zaadresowaną do mnie charakterem pisma Amandy.

„Droga panno Gehrig, bardzo przepraszam. Jest mi tak wstyd. Podziwiam panią najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie”.

W środku znalazłam mój portrecik, który wykonała, schludnie wyrwany z brulionu. Moją pierwszą myślą było, że wiedziała, iż chcę go mieć. Drugą, że jest w budynku.

Wysłałam Ericowi e-maila z informacją, że „czytam w domu”.

Metro było jeszcze bardziej irytujące niż przedtem. Dopiero po południu wróciłam na Lambeth North. Stary szary samochód już zniknął. Mimo to dokładnie zamknęłam za sobą drzwi.

Zastałam zeszyty Henry'ego pogwałcone, rozrzucone na kuchennym stole. Obok nich leżała kostka. Przez moment wyglądała zupełnie zwyczajnie. Wtedy dostrzegłam trociny i pojęłam, że ją też zaatakowała. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było wiertarki elektrycznej, lecz moja sprytna asystentka (któż inny mógł to być?) wydrążyła dziurkę o średnicy ponad pół centymetra przez sam środek cudownej zabawki Carla. Nie było to potrzebne. Mogłam jej to powiedzieć. Mogłam ją nauczyć, jak zważyć kostkę w dłoni, by wiedzieć, że jest zrobiona z litego dębowego drewna.

## Catherine i Henry

Młody policjant szukał intruza pośród haniebnych kotów kurzu pod moim łóżkiem. Uprzejmie poprosił o „dostęp” do ogrodu, gdzie wskazał mi krzewy, które powinny zostać wyrwane lub przycięte „dla pani własnego bezpieczeństwa”. Nie powiedziałam mu, że ogród nie należy do mnie.

Przy drzwiach wejściowych wręczył mi wizytówkę i zachęcił do telefonowania o każdej porze. Miał słodką młodą twarz, nieśmiałe oczy spuszczone w dół i malutki mosiężny kolczyk, który pewnie sobie wymyśliłam. Nie patrzył na mnie, lecz wskazał na zbrązowiałe drzewo rosnące dokładnie naprzeciw mojego mieszkania – powiedział, że to jeden z trzynastu londyńskich platanów noszących imię amerykańskiego astronauty, w tym wypadku Neila Armstronga, który kiedyś spacerował po Księżycu.

Podziękowałam mu. Wręczył mi kolejną wizytówkę. Gdy tylko sobie poszedł, spakowałam torbę.

Tej nocy przeniosłam się do pokoju nad pubem w pobliżu Aneksu. Był to żałosny i niemądry wybór, lecz od mojego poprzedniego noclegu browar przeszedł remont. Nie można było już nic wyczuć ani wyniuchać.

Powiesiłam dwie lekkie sukienki, wypakowałam kostkę cheddara, nóż, korkociąg i butelkę wina. Jedzenie, pomyślałam, trawienie, wydalanie i od nowa.

Odwinęłam z papieru zeszyty i usiadłam na niewygodnym prostym krześle. Zaczytałam się tak bardzo, że nawet mnie nie denerwowały krzyki dochodzące z baru. Przeciwnie – Frau Helga powiedziała Herr Sumperowi, że właścicielka gospody „była jej przyjaciółką”.

Henry pisał, że Sumper oświadczył, iż to nieprawda. Powtórzył, że karczmarza była burdelmama, oszustką i kłamczuchą. Była też katoliczką i chociaż Sumper nie zamierzał się ponoć źle wyrażać na temat tej wiary, musiał jasno powiedzieć, że pewien szczególny automat, który Frau Helga niedawno przekazała w ręce karczmarza, byłby bardzo obraźliwy dla prawie każdego gościa, odwiedzającego gospodę, a każdy z nich, mówił Sumper Henry’emu, bał się katolickiego piekła i karmił się katolickimi torturami, takimi jak trzewia wywlekane z męczenników i nawijane na szpule jak bawełniane nici.

Sumper mawiał, że Frau Helga jest silną kobietą. Wiedział na ten temat więcej niż Henry, „lecz nawet pan, panie mnichu, widziałeś, jaki zamach bierze kosą”. Wiele w życiu wycierpiała i pod wieloma względami, zdaniem Sumpera, wykazywała się trzeźwą oceną sytuacji. Rok po roku, lato po lecie, udawało jej się zachować trzeźwy osąd, zupełnie pozbawiony wyrachowania. „Lecz gdy pan, Herr Brandling, przestał nam wypłacać kwoty, na które wszyscy liczyliśmy, tak się przeraziła nędzy, że ów zdrowy osąd straciła”.

– Skradła mój największy skarb – mówił Henry’emu Sumper. – Proszę nie kiwać głową. Nie chodzi mi o najcenniejszy przedmiot będący w moim posiadaniu, tylko że była to rzecz cenniejsza od czegokolwiek, co kiedykolwiek wykonałem. Przekazała ją pakowaczowi do sprzedania na okolicznym targu.

Sumper nigdy nie wykluczał ewentualności, że Frau Helga może któregoś dnia ukraść jego cenny automat, lecz kto mógł przewidzieć, że sprzeda go nie w Paryżu lub Londynie, gdzie przynajmniej znalazłby odbiorców, lecz tej przekłętą kobiecie znanej z handlu kobiecymi ciałami i podstępnego odzierania lokalnych zegarmistrzów z owoców ich pracy?

– Herr Brandling, Henry, skonstruowałam to urządzenie dla mojego mistrza Geniusza. Z natury miał usposobienie, które określiłbym jako pozytywne, lecz gdy Królowa zignorowała

jego petycję, gdy przekazała jego Maszynę Armii Brytyjskiej, upadł na duchu.

Sumper przysiągł wykonać urządzenie, które rozweseli wielkiego człowieka. Rozśmieszysz „kochanego starego ramola”.

– Co do materiałów – ciągnął Sumper – korzystałem jedynie z trybików używanych przez angielskich zegarmistrzów, lecz dodałem specjalnie wykonane osie i przekładnie stożkowe. Nie ma sensu tego panu wyjaśniać. Obudowę automatu wykonałem z arkusza blachy, którym obilem wokół drewniany szkielet. Kupiłem czerwony aksamit. Osiem centymetrów kwadratowych. Zrobiłem mały miech, napędzany mechanizmem kołowym. A potem rurkę, wewnątrz której silny podmuch powietrza mógł być obracany, zakrzywiany, zatrzymywany i ponownie wypuszczany tak, aby wytworzyć imitację ludzkiego śmiechu. Henry – wykrzyknął – pańskiemu Vaucansonowi nie starczyłoby sprytu.

Henry zauważył, że język Sumpera jest „biały jak gotowane flaki”.

Sumper opowiadał dalej:

– Zbudowałem mój automat dla Geniusza, dla jego jednego. Znalazłem go na sofie, smutnie wpatzonego w listwę przypodłogową. Mogłem wtedy położyć – właśnie tam – w ten sposób – mój upominek.

Wygląda na to, że była to figurka przedstawiająca Jezusa Chrystusa, wysokości czterdziestu pięciu centymetrów. Wykonana była ze lśniącej stali, lecz twarz pomalowano. Z ramion spływała szata z błękitnego jedwabiu. „Po nakręceniu sprężyny Jezus wyskakiwał do przodu na kółeczkach, odwracał się w lewo, potem w prawo, by się następnie zatrzymać. Widzisz pan to, Henry? Lecz czy możesz pan przewidzieć, co się zdarzy później? Po piątym takim ruchu ukryty trzpień unieruchamia trybik, zatrzymując cały mechanizm w taki sposób, że ramiona Chrystusa rozkładają się na boki. Bardzo zabawne. Każdy widzi, że Jezus zamierza pobłogosławić izbę. Ale to nie wszystko. Spójrz pan – szata się rozchyła i ukazuje wielkie czerwone serce, na które natychmiast zaczynają oddziaływać krótkie podmuchy powietrza. Serce bije, wielkie, czerwone, święte serce. Henry, żałuję, że nie widziałeś pan tej figurki, gdyż wydawała się tak cudownie *zadowolona* ze swych występów. Spuszczała głowę w dół, by spojrzeć na własne dzieło, a potem w górę, ku niebu, jakby mówiąc: patrzcie państwo – czy to nie zabawne przedstawienie? I tak kiwając głową w górę i w dół, z rękami najpierw rozrzuconymi, a następnie złożonymi, z sercem rytmicznie odsłanianym i zasłanianym, Chrystus zaczął się obracać jak bączek.

Dobry Boże, przebacz mojej judaszowej duszy, pisał Henry, bo i ja się uśmiechnąłem.

W tej chwili, powiedział Sumper, Geniusz wybuchnął śmiechem i już wiedziałem, że mogę ocalić jego, a zatem i siebie, gdyż w przyszłości dokona wielkich rzeczy.

Następnie święta postać zaczęła się chybotać. Ojej, co się dzieje, Jezus stracił równowagę i runął na ziemię. Starzec oczywiście uznał, że konstrukcja jest wadliwa, i przyklęknął, by ją wskrzesić.

Lecz dokładnie w tej chwili Jezus zaczął się przewracać z boku na bok i śmiać; właśnie dlatego, powiedział Sumper, wykonał Człowieczego Syna. Gdy ręce były rozrzucone na boki, a ciało podniesione, figurka obróciła się, ukazując święte serce, a z jej klatki piersiowej dobiegł śmiech, któremu starzec nie mógł się oprzeć.

Herr Sumper był diaboliczny, zapisał Henry. Bałem się jego wpływu. Lecz gdy spojrzał na mnie wilgotnymi oczami i uśmiechnął się niepewnie, przypomniał mi nie szatana, lecz twarz mojej żony, gdy po raz pierwszy trzymała w ramionach naszą Alice.

W taki sposób, oświadczył Sumper Henry’emu, wskrzesił Geniusza. Sporządził lekarstwo, które dozowane z odpowiednią częstotliwością miało doprowadzić do ozdrowienia.

Lekarstwo, podkreślił Henry.

Endorfiny, pomyślała Catherine.

Zajmując się swoim Jezusem, Sumper obmyślił plan, by przedstawić królowej Wiktorii „Rejestr Utopionych Poddanych” autorstwa swego pracodawcy. Był to drugi etap. Przystąpił do niego bezzwłocznie.

– Sądziłeś pan, że kłamałem na temat księcia Alberta, lecz Mistrz dostrzegł mój charakter. Gdy staruszek usłyszał o moim planie, uwierzył w moc mojego postanowienia, by zapoznać Królową z wybitnym celem Maszyny i pokazać jej, jak wielu z jej poddanych można ocalić.

Geniusz słusznie martwił się o Sumpera. Nie przyniosła mu otuchy informacja, że „jego Niemiec” trzykrotnie już odwiedzał Pałac Buckingham; dwukrotnie miało to miejsce podczas księżycowych nocy. Sumper wyjawiał mu teraz, że skonstruował tyczkę do skoków, z dziesięciu części, z metalowymi skuwkami. Naszkicował przybliżony plan tej części pałacu, w której chciał porozmawiać z Królową.

– Geniusz powiedział: „Deportują cię z Anglii, o ile nie gorzej”.

Dla Sumpera nie mogło być nic gorszego od rozstania z Cruickshankiem, lecz nie zamierzał ulec lękowi. Został „powołany”. Miał nadzieję, że jego służba potrwa jak najdłużej. Lecz siedząc w domu pod numerem 16. przy placu Soho, brał pod uwagę, że może być też równie krótka jak życie motylka.

– W tamtej chwili – powiedział – zrozumiałem, po co żyję.

W pokoju nad pubem ja, Catherine Gehrig, wynurzyłam się na powierzchnię. Była już niemal północ, a na dole, na ulicy, trwała kłótnia.

Zignorowałam to i znów pogrzeżyłam się w świecie fantazji.

Henry notował. Sumper opowiadał: „W Anglii poznałem wielkich ludzi. Byli wystarczająco wielcy, by dostrzec własną ludzką małość, a co za tym idzie, zdecydować się na służbę istotom niewiarygodnej wiedzy i mocy. Brałem z nich przykład”.

Niemiec już wcześniej drwił z mojego Boga, pisał Henry, zapytałem więc chłodno, kim miałyby być te Wyższe Istoty. Zamiast odpowiedzi opisał, jak przed wyruszeniem z placu Soho owinął „Rejestr Utopionych Dusz” w ceratę i przytroczył go sobie na plecach. Nie powiedział ani słowa o tym, jak pożegnał się tej nocy z Mistrzem. Wyruszył do pałacu nieświadomy osobistej katastrofy, która go czekała.

Nie było już żadnej więcej wzmianki o rzekomej tyczce do skoków. Dzięki Bogu, zanotował Henry, który najwyraźniej nie był pewien, w co może uwierzyć.

Dwadzieścia linijek później pewien dowód rzeczowy sprawił, że autor zmienił zdanie. Najprawdopodobniej chodziło o bliznę w kształcie gwiazdy na brzuchu Sumpera, która wcześniej napawała Henry’ego obrzydzeniem. Teraz wydała mu się śladem po ranie odniesionej podczas nedorzecznego skoku przez pałacowy mur.

Jeśli zegarmistrz opisał ból towarzyszący zranieniu, Henry nic o tym nie wspomniał. Lecz nie wątpił już, że „kłamca” nie tylko dostał się do wnętrza pałacu, lecz zaskoczył księcia Alberta nie w sali tronowej ani nawet gabinecie, lecz w łóżku, podczas lektury. Impertynent, zapisał Henry, dodając, że największą barierą oddzielającą Księcia i Królową od reszty społeczeństwa było przekonanie gminu, że dostanie się przed oblicze monarchy jest absolutnie niemożliwe.

Książę Małżonek, spojrzawszy znad książki dokładnie w miejsce, gdzie stał Sumper, zdawał się widzieć jedynie to, co spodziewał się zobaczyć. W tym wypadku mógł to być przesadnie wypchany czerwony fotel.

Potrzebna była „niezwykle przekonująca taktyka”, zapisał Henry, by przyciągnąć uwagę Księcia. Któż mógłby sobie wyobrazić, jak musiał się poczuć książę Sachsen-Coburg-Gotha? Czy pomyślał, że książkę pochwycił i wyrwał mu z ręki złośliwy poltergeist? Co spodziewał się

znaleźć w owiniętej w ceratę paczce, którą zakrwawiony upiór rozpakowywał właśnie na jego łożu?

Rejestr śmierci na morzu był najwyraźniej takich rozmiarów, że musiało się nad nim pochylić dwóch czytelników, więc jakże Księżę musiał się lękać, gdy ranny nieznajomy położył się u jego boku i zażądał, by Jego Wysokość czytał na głos doniesienia wklejone na każdej stronie?

– Był bardzo zimny i oficjalny – mówił Sumper – dopóki nie dotarliśmy do katastrofy morskiej, wśród której ofiar rozpoznał pewne nazwisko. Powiedział, że była to jego bratanica. Gdy więc zaczął szlochać, oczywiście założyłem, że powodem tych łez jest owa śmierć przez utonięcie. Szczerze mówiąc, byłem zachwycony. Nabrałem nadziei, że zdobędę jego poparcie dla Maszyny. Jednakże biorąc pod uwagę to, co nastąpiło później, wydaje się bardziej prawdopodobne, że tchórz płakał ze strachu.

Przekonanie to oparte było na krótkiej rozmowie pomiędzy Księciem i królową Wiktorią, która właśnie pojawiła się w drzwiach ubrana w koszulę nocną. Po niemiecku poprosiła księcia Alberta, by wyjaśnił, kim jest człowiek, który dzieli z nim łożo, choć użyła bardziej dosadnego określenia.

– Ponieważ rozmawialiśmy w tym języku – powiedział Sumper Henry’emu – Księżę musiał zdawać sobie sprawę, że rozumiem, co mówi jego żona. Odpowiedział po francusku, że zamierzałem go zamordować, na co Królowa wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Minęło „zdumiewająco dużo czasu”, nim Sumper usłyszał biegnącą gęsiego pałacową gwardię. Dali wspaniałe, hałaśliwe przedstawienie na marmurowych posadzkach. Dopiero wówczas, tak brutalnie potraktowany, chyba zaakceptował fakt, że jego plan nie wypalił.

Nawet w tym, jak się zdaje, znalazł powód do nadziei. A był on taki, że wezwano do niego osobistego lekarza Księcia i już pozszywanego umieszczono go w pałacowej komnacie, z której „pomijając kraty w oknach, roztaczał się ładny widok”.

Wówczas Sumper nie miał pojęcia, jak jego przygoda zostanie odczytana przez naród. Dopiero później się dowiedział, że Rodzina Królewska uznała za nierozsądne ujawnienie, że do Pałacu Buckingham zawitał jeszcze jeden Niemiec. Wcześniej doszło do dwóch napaści na Jej Królewską Mość, pierwszej dokonanej przez niezadowolonego Irlandczyka, który wypalił z pistoletu w kierunku karety Królowej, gdy ta jechała Constitution Hill, a później szalony były oficer Armii uderzył ją laską, niszcząc czepek i (jak Henry dowiedział się od matki) siniacząc jej ramiona i ręce.

Obaj mężczyźni zostali zesłani do Nowej Południowej Walii, lecz przeznaczeniem Sumpera nie była katorga w kopalni złota. Najpierw dobrze go karmiono i angielskie puddingi wzmogły jego optymizm, lecz pewnego ranka pod eskortą dwóch żołnierzy został zaprowadzony do powozu bez okien i zawieszony nad przystań gdzieś na zachód od London Bridge. Tutaj zamknięto go w kozie pod pokładem niemieckiego kutra i dopiero wówczas, gdy odczytano mu wyrok skazujący na banicję i oddano rejestr, pojął, że wszystko stracone.

**Catherine**



# 1

Rano odniosłam wszystkie ocalałe notesy Henry'ego na Lowndes Square, a Crofty, odbierając je, obdarzył mnie wyjątkowo uroczym uśmiechem.

– Dziękuję – powiedział. – Napijesz się herbaty?

Odczułam wielką ulgę, że mi przebaczone.

– Tak, poproszę – odparłam. Z pewnością pozwoli mi zatrzymać ostatni zeszyt na jeszcze jeden dzień.

Czekałam, wierząc się w fotelu i spoglądając przez okno na drzewa.

– Nie mam mleka – powiedział. – Nie przeszkadza ci to?

– Nie, jest znakomita – odrzekłam, gdy stawiał przy mnie na biurku prześliczną (nietypowo nieostentacyjną) filiżankę ze spodeczkiem od Clarice'a Cliffa. – Na śniadanie wypiałam wyjątkowo paskudną herbatę.

Dlaczego to powiedziałam? Przecież nie zamierzałam mu mówić, że spędziłam noc w pokoiku nad pubem? Okazało się jednak, że owszem. Co też uczyniłam.

– Na litość boską, czemu?

– Chciałam dokończyć lekturę.

– Nad którym pubem? – Zawstydziło mnie jego pytające spojrzenie.

– Róża i Korona.

– Ten lokal Younga z sofami w barze? Przy twojej ulicy?

Pomyślałam, że nie może wiedzieć, że to tam po raz pierwszy spałam z Matthew, lecz mężczyźni mówią sobie najdziwniejsze rzeczy, więc może jednak wiedział. Spróbowałam napić się herbaty, lecz gorące trójkątne uszko w stylu art decó, choć bardzo piękne, trudno było utrzymać w palcach.

– Próbowałam doczytać do końca wszystkie zeszyty. Po prawdzie został mi jeszcze jeden.

W jego oczach widziałam politowanie. Pomyślałam, że pozwoli mi go zatrzymać.

– Cóż, moja droga, nie zamierzam trzymać ich pod kluczem. Możesz je czytać, kiedy tylko zechcesz, w otoczeniu o wiele przyjemniejszym niż Róża i Korona.

– Prawdę mówiąc – powiedziałam – sądzę, że lepiej będzie wciągnąć je na listę materiałów z ograniczonym dostępem.

– Ach tak? – Zaśmiał się ze złością, jak mi się wydawało.

– Ericu, nałożyłam grubą warstwę makijażu, ale myślę, że zadrapanie wciąż jest widoczne, prawda? – Nie powiedziałam, że Amanda Snyder była w moim mieszkaniu, choć z pewnością była.

– Masz na myśli to, że powinienem ograniczyć do nich dostęp, żeby twoja asystentka nie mogła ich także przeczytać.

– Obawiam się, że mogłyby ją na nowo sprowokować.

Całkowicie błędnie go oceniłam. Był sceptyczny.

– Moja droga, nie można ich trzymać pod kluczem. Nie mógłbym tego uzasadnić. Wiesz, że pannie Snyder jest bardzo przykro. Okazuje się, że w Bootsie doszło do pomyłki. To wcale nie była jej wina. Teraz, gdy znów bierze swoje lekarstwa, czuje się dobrze. Jest przerażona tym, do czego doszło.

Zastanawiałam się, czy bierze pigułki na entuzjizm.

– Ericu, powiedz mi, proszę, czytałeś te zapiski?

W innych okolicznościach ten szelmowski uśmieszek sprawiłby mi przyjemność. Teraz

mnie przeraził.

– Czytaj dalej. Dalej robi się jeszcze ciekawiej. – Z tymi słowy zabrał bruliony. Podążyłam za nim myślą, lecz i tak wiedziałam, dokąd zmierza. W przyszłości będę musiała wspinać się tymi samymi schodami, na których szczycie będę zdana na łaskę zasuszonej i tajemniczej Annie Heller, która nigdy mnie nie lubiła, a teraz będzie mnie lubić jeszcze mniej. Utraciłam osobiste prawo do Henry’ego Brandlinga. Teraz będę musiała go wypożyczać i zwracać.

Herbata lapsang souchong wciąż była za gorąca. Solidne trójkątne uszko nie ułatwiało zadania. Skarb wymykał mi się z rąk.

Annie Heller była jak mały złośliwy owad, żaden z niej był naukowiec, nie miała żadnej wiedzy technicznej, żadnej władzy instytucjonalnej poza tym, że to ona nadzorowała skanowanie manuskryptów. Podejrzywałam, że jest wyjątkowo uprzejma w stosunku do Crofta, gdyż mówiąc o pustym wiktoriańskim salonie znajdującym się za jej wysokim bibliotekarskim biurkiem, określił go jako „bardzo przyjemne miejsce”. Dlaczego nie? Musiało takie być, dla niego. Nawet zimą, nawet w ciszy oszczędzano mu odczucia antypatii, z którym spotykaliśmy się my, cała reszta, nawet jeśli nie nawiązywaliśmy kontaktu wzrokowego z jego źródłem.

Annie była notorycznie i niewiarygodnie nieuprzejma. Tylko w Swinburne mogła zachować pracę.

Wszyscy próbowaliśmy się jej podlizywać i oczywiście pogardzała nami za to. Wiedząc o tym, uśmiechnęłam się mimo wszystko, wstąpiwszy do niej, by porozmawiać o Katalogu Brandlinga. Powiedziałam jej, że ma ładną fryzurę, co było zbyt oczywistym kłamstwem. Poprosiłam, „proszę”, o formularz potrzebny do wypożyczenia jednego z manuskryptów właśnie przekazanych jej przez pana Crofta.

Jak zwykle kazała mi długo czekać na odpowiedź. Wreszcie powiedziała, że zrobi to, „gdy tylko” zostaną skatalogowane.

Zapytałam, kiedy to może nastąpić.

– Och, niedługo – za parę dni.

Gdy podniosła wzrok, wiedziałam, że kłamie. Poczekalam, aż poczuje się mniej lub bardziej zmuszona do spojrzenia mi w oczy.

– Może mogłabym przeczytać go tutaj, w czytelni? – zapytałam. Forma pytająca nie była nawet konieczna. Byłam w końcu starszym konserwatorem.

– Obawiam się, że są potrzebne do katalogowania.

– Nie sądzę, by zamiarem pana Crofta było, aby odmawiano mi dostępu do materiałów – powiedziałam, na co ostentacyjnie znów zaczęła stukać w klawiaturę. Nie było to chyba jakieś absorbujące zajęcie, nadal bowiem rozmawiała ze mną pomiędzy uderzeniami w klawisze.

– Wie pani równie dobrze jak ja, panno Gehrig, że pan Croft nie chciałby, abym postępowała wbrew zasadom.

– Może mogłaby pani do niego zadzwonić?

Odsunęła na bok klawiaturę. Podniosła głowę. Zdjęła małe okulary w drucianych oprawkach.

– Panno Gehrig, wiem, jakie przepisy obowiązują w Swinburne, bez konieczności rozmowy z panem Croftem, a tak czy owak, kiedy manuskrypty będą już skatalogowane, zostaną zeskanowane i wówczas, jeśli będzie miała pani ochotę, będzie je mogła pani przeglądać na swoim komputerze.

– Więc naprawdę nie mogę przeczytać teraz jednego?

– Panno Gehrig, czy ja nie wyglądam na zajęętą?

– Nawet jeśli w grę wchodzi ważny projekt, który może przynieść Muzeum duży przychód, a który teraz zostanie opóźniony?

– Zgadza się, owszem.

– Dziękuję pani, panno Heller.

– Bardzo proszę, panno Gehrig. Nie sądzę, by to potrwało dłużej niż tydzień.

Zeszłam ze schodów najciszej, jak się dało, i ruszyłam w drogę powrotną do Olympii

śmierdzącym autobusem. Byłam w okropnym, okropnym humorze, zła na siebie za własną niekompetencję, zła, że straciłam Henry'ego, wściekła na Crofty'ego za to, że mnie nie wspierał. Na widok Amandy zadomowionej w mojej pracowni poczułam, że straciłam wszelką władzę, jaką kiedykolwiek miałam.

– Dzień dobry, Amando – powiedziałam.

– Panno Gehrig, jest mi tak przykro – zaczęła, lecz nie potrafiłam jej zaufać. Nie odpowiem na jej spojrzenie.

– Co było, minęło – odparłam. – Łabędź jest ważniejszy od nas obu.

Była z Angusem. To on ją ubrał. Miała na sobie pomietą białą koszulę zapiętą na jeden guzik przyszyty jaskrawoczerwoną nitką. W pogniecionej bawełnie wyglądała oszałamiająco, jak to przychodzi bez trudu jedynie najpiękniejszym. Emanowała nową erotyczną pewnością siebie, która sprawiła, że poczułam się sucha i pomarszczona.

Mechanizm leżał już złożony na stalowym stole, szklane pręciki były wyczyszczone, ułożone na lśniących płytkach, a nasadki umocowano na ich końcach za pomocą nowoczesnego, usuwalnego kleju. Kiedy nakręcimy mechanizm, zaczną się powoli obracać.

Tor był już umocowany, a rybki gotowe do zamontowania już tego ranka – zadanie równie proste, jak wetknięcie kolczyka w płatek ucha.

Do końca brakowało nam jakiegoś miesiąca, lecz próba generalna dla ważniaków była już bardzo niedługo. Gdy szyja zostanie przyodziana w obrączki, gdy dziób będzie już ostatecznie zamocowany, zrobimy próbę, a potem Crofty będzie mógł pokazać ów cud swoim dobroczyńcom. Oczywiście dobrze już wiedział, co ma do dyspozycji. Jeszcze przed rekonstrukcją przewidział hipnotyzującą, niesamowitą istotę łabędzia. Jestem pewna, że obstawił o wiele bardziej skomplikowane zakłady niż kiedykolwiek dane mi to będzie wiedzieć.

Czy naprawdę przyciągnie tłumy, jakie zadowolą ministerstwo? W protokole ze spotkania w sprawie procedur była o tym wzmianka, lecz można było powiedzieć to dosadniej – w kwestii łabędzia dostojnicy z Lowndes Square ulegli rządowi torysów. Zrozumieli swą powinność bycia „bardziej popularnymi”.

Tak czy owak, dzień po dniu ja i moja napastniczka ciężko pracowałyśmy. Ponieważ nasze rozmowy ograniczały się do zadania, którym się właśnie zajmowałyśmy, nie odczuwałam przed nią fizycznego lęku.

Mimo to nie byłam w stanie zapomnieć brutalnego, bezmyślnego ataku na błękitną kostkę Carla i z tego powodu wciąż nocowałam pod Różą i Koroną. Co było do przewidzenia, odbijało się to zarówno na mojej karcie MasterCard, jak i mojej garderobie.

Przybywszy pewnego ranka do pracy, zastałam Amandę przy komputerze. Nie zwróciłabym na to uwagi, gdyby tak szybko go nie zamknęła. Traf chciał, że kilka minut później zadzwoniła ochrona, informując, że jest dla nas przesyłka – linka z długołańcuchowego syntetyku o nazwie Dyneema, którą zamówiłam w miejsce stalowej. Wysłałam po nią Amandę i gdy tylko wyszła z pokoju, sprawdziłam historię odwiedzanych przez nią stron.

Szukała w Google'u informacji o Furtwangen. Znalazła tę nazwę w brulionach w moim mieszkaniu. Nieważne, ile przeczytała – byłam wściekła i przerażona. Moje ciało stało się zimne i sztywne, jak martwe.

Zanim szpieg powrócił i położył paczkę na moim biurku, mój świat był już zupełnie nierealny. Wzięłam skalpel oznaczony kropelką lakieru do paznokci. Amanda stała bardzo blisko, pachnąca perfumami Jo Malone, cała na czarno, z malowanymi guzikami.

Przed rozchyleniem wewnętrznej warstwy opakowania zwróciłam się ku niej, w pełni świadoma, że trzymam w dłoni skalpel. Cofnęła się, dokładnie tak, jak tego chciałam.

– Amando, sprawdziłam historię odwiedzanych stron w twoim komputerze.

- Nie oglądałam obrazu z kamery internetowej.
- Wyszukiwałam w Google' u Furtwangen. Dlaczego?

Jej twarz miała ten irytujący wyraz, który można by kolokwialnie określić jako „no co ty powiesz?”. Oparła:

- Oczywiście chciałam wiedzieć, gdzie to jest.

Niby od niechcienia oparłam rękę o stół, lecz nie wypuściłam z dłoni metalowego uchwytu.

- Dlaczego?
- Chyba robili tam zegary z kukułką.
- A dlaczego interesują cię zegary z kukułką?

Jeśli zamierzała znów mnie podrapać, byłaby to właśnie ta chwila. Bardzo głupio z mojej strony, że trzymałam w rękę skalpel. Teraz, poniewczasie, chciałam go odłożyć, ale też się bałam. Wtedy dostrzegłam z ulgą, że ma łzy w oczach.

- Panno Gehrig, bardzo przepraszam.

Nie miałam odwagi złagodzić tonu.

- Za co tak przepraszasz, Amando?

– Wiem o zeszytach.

– Jakich zeszytach?

– Henry'ego Brandlinga.

– Chcesz powiedzieć, że je widziałaś? Jak to możliwe?

– Poszłam do panny Heller. Pracuje aż do dziewiętnastej.

Dopiero następnego dnia znalazłam chwilę na rozmowę z panną Heller i Erikiem Croftem i dowiedziałam się, ku swemu zaskoczeniu, że to prawda. I choć w wyniku tej rozmowy uzyskałam nieograniczony dostęp do czytelnicy, nie usłyszałam z ust Heller przeprosin.

– Kiedy ktoś jest dla mnie miły, panno Gehrig, zawsze też jestem miła. Kiedy ktoś jest nieuprzejmy i wścibski, zamieniam się w formalistkę.

Siedziałam trzy metry od jej biurka, czytając zapiski Henry'ego Brandlinga.

## Henry

Teraz, gdy w Furtwangen zrobiło się tak zimno, stary tartak nad rzeką cierpi tak samo jak my, którzy w nim mieszkamy – dachówki pękają, gwoździe same się obluźwiają, cała konstrukcja przypominająca zegar z kukułką zdaje się drżeć na wietrze, który zaczął gwałtownie smagać ciemne zbocza wąwozu. Frau Helga nieustannie biega tam i z powrotem pomiędzy domem a gospodą (zakładam, że chodzi o gospodę) jak nakręcona, napędzana może nie mechanizmem, lecz z pewnością sprężyną, powtarzając tę czynność bez cienia szansy na jakąkolwiek zmianę. Wraca, by spakować swój kufer, za każdym razem tak samo, składając zgrzebne sukienki tak starannie, jakby to były suknie balowe. Wtedy – niczym celnik (w stanie furii, oczywista), Sumper rozpakowuje go, za każdym razem coraz gwałtowniej. Ona biegnie do gospody. Wraca. Szłocha.

Herr Sumper ma podbite oko. Powód i okoliczności powstania tego sińca są dla mnie zagadką.

Zdaje się, że Frau Helga wciąż prowadzi negocjacje finansowe z właścicielką gospody. Czy chodzi o łabędzia? Nie wiem. Wyraźnie słyszę jej rozmowę z Sumperem. Głos jest wzmocniony przez zsyp prowadzący do warsztatu.

– Zawsze się mną opiekowała – mówi. – Da nam dobrą cenę.

– To stręczycielka – odpowiada Sumper.

Zastanawiam się, czy zechce wydać tak zarobione pieniądze na łabędzia?

Ona krzyczy na niego po niemiecku, grzmocąc pięścią w ścianę, drzwi czy może podłogę. Niewykłuczone, że leży plackiem u jego stóp.

– Jesteś wolna. – Słyszę go, bo nawet okna drżą w okiennicach. Mówi: „Wolna jak ryba w morzu”. Mówi, że może odejść, kiedy jej się żywnie podoba, a on, będąc człowiekiem honoru, o czym ona dobrze wie, odstawi Carla do Karlsruhe, kiedy tylko ukończą prace nad łabędziem.

Ona w przerażeniu zawodzi po niemiecku. Bóg jeden wie, co to oznacza.

On mówi, że nowy koń pociągowy nie jest przeznaczony dla niej. Zapłaci jej za dylizans.

Pan Arnaud lada chwila ma dostarczyć gotowy dziób. Czy burdelmama mu zapłaci? Czy już mu zapłaciła? Wyobrażam sobie, jak stoi sam w środku lasu, odziany w czerń, pół ptak, pół człowiek. Jakie dziecko mogłoby się nie bać tego dzioba?

Potężny automat, który desperacko powołałem do istnienia, jest składany na ciężkim wózku, na mrozie, w tak zwanym letnim warsztacie. Nie mogę za niego zapłacić. Sumper z chłopcem dalej pracują, omijając zawadzające im koła wózka.

Zdobędę mego łabędzia. Powiozę go do domu. Koń pociągowy wejdzie tyłem na długą, niską rampę. Stąd poniesie moją maszynę na światło dnia, jak świętego podczas procesji.

Sumper nie przestaje wymyślać gibkiej, dorodnej Frau Heldze od „idiotek”.

Frau Helga upiera się, że nie miała wyboru, gdyż „Herr Brandling nie dotrzymał swojego zobowiązania”.

Nikt nie domaga się ode mnie nawet grosza.

Sumper wciąż powtarza, że „przypieczętowała swój los”, pozwalając katolikom wejrzeć w jego „prywatne sprawy”.

Podejrzewam teraz, że śliwka pod okiem ma związek z automatem. Marnują czas Percy’ego. W warsztacie nad rzeką i w tym letnim dochodzi do kłótni, do których nie jestem dopuszczany. Waśń trwa przy stole, ciągnie się w noc, odbija echem od ścian wąwozu, nieuchronna niczym wilgoć, nieustępliwa niczym rzeka. Wszyscy się boimy.

W każdej minucie myślę o moim chłopcu w Anglii. Oni nawet nie próbują uchronić tutejszego niemieckiego chłopczyka przed opiniami dorosłych i czasami podejrzewam – ponieważ obydwójce rozmawiają po angielsku, nawet gdy ich słowa są niewybaczalnie obraźliwe – że te scenki to coś w rodzaju teatryku inscenizowanego po to, by mnie oszukać lub obwinić o szkody, które im wszystkim wyrządziłem. Lecz co mogę począć? Mój brat kupił akcje Banku Ohio.

– Jest dzieckiem – mówi Frau Helga. O Carlu.

Jest dziwnym dzieckiem – przenosi ciemne skupione spojrzenie z osoby, którą kocha, na tę, którą uwielbia. Nie można mnie obwinać o szkody mu wyrządzone.

Jego matka nakłada ziemniaki, które ubija tak gwałtownie, lecz które, z dodatkiem soli i masła, są najwspanialszym posiłkiem, jaki kiedykolwiek jadłem. Z furią rzuca je na talerze – plask! – a jej nozdrza zwężają się gniewnie. Wzdłuż jej przedramienia ciągnie się, jak ostrze noża, wściekle czerwony ślad po oparzeniu.

– Carl musi dokończyć robotę – mówi Sumper. Zastanawiam się, skąd wezmą pieniądze? Twarz chłopca nabiega krwią. Z tymi jasnymi, szeroko rozstawionymi oczami i włosami w kolorze pszenicy mógłby być chórzystą w naszym wiejskim kościele.

Apetytu potężnego mężczyzny nic nie może zaspokoić, jego pragnienie jest nie do ugaznienia. Pije, je, stanowi prawo. „Kiedy chłopiec skończy robotę, wróci do kolebki koła i będzie robił to, co jest jego przeznaczeniem”.

Jak mogłem nie dostrzec dziwaczności Sumpera pierwszego dnia w gospodzie – ta mapa Karlsruhe, baron z drezyną?

Frau Helga mówi teraz, że jego umysł nie funkcjonuje tak, jak powinien, i że go nienawidzi, ale później słyszę, jak w nocy łomoczą, ciągną jedno drugie jak dzikie zwierzęta, sapią i dyszą jak wspólnicy w zbrodni. Czy mam odwagę przyznać, że sprzedałbym duszę o wiele taniej?

Rankiem potrząsanie budzi mnie ze snu. Sumper jest ogolony, gładki i błyszczący jak kamień. Jego oczy są jak kamyki na dnie strumienia.

Chce, żebym zrozumiał, zanim rozpocznie się kolejny dzień pracy, że wszystko jest dokładnie tak, jak to przepowiedział Albert Cruickshank.

Kładzie mi dłoń na policzku. Kto nie uchyliłby się przed jego dotykiem? Powtarza, że Cruickshank przewidział moje pojawienie się w Niemczech i szczególną rolę, jaką odegram w jego, Sumpera, życiu. Moje oczy są sklezione snem, a jego są czyste, niezmacone ani jedną zmarszczką wątpliwości.

To kolejne kłamstwo. Wszystko dokładnie zapisałem, tak jak to opowiadał – nie widział się z Cruickshankiem od chwili, gdy ruszył na pałac Buckingham tej deszczowej nocy. Wówczas nie mówiono o mnie. Jak mogło być inaczej? Potem został deportowany i wreszcie powrócił do Furtwangen, skąd przesłał swojemu byłemu mistrzowi rejestr utopionych. W zamian otrzymał świętokradczy automat z „uroczym liścikiem”, który sugerował, że Sumperowi teraz bardziej potrzeba śmiechu niż Cruickshankowi.

Jeśli istotnie była jakaś „przepowiednia”, zapisałbym ją, tak jak zanotowałem pozostałe symptomy.

Lecz Sumper od samego początku wije się jak ryba z Renu. „Nie mogę opowiedzieć panu wszystkiego, co kiedykolwiek zaszło”. Otwiera okiennice, podnosi okna, by wpuścić wyjący wiatr. „Nie, nie mam na myśli tego, co Cruickshank do mnie NAPISAŁ, lecz to, co POWIEDZIAŁ. Proszę uważać na to, co mówię. Kiedy wyruszyłem do pałacu Buckingham, Geniusz już wiedział, jaki czeka mnie los. Wyobrażałem sobie, że uratuję Maszynę, lecz on znał prawdę. W chwili gdy uścisnąłem mu dłoń, powiedział, bym nie rozpaczał, zjawi się inny Anglik.

Dopiero później jego słowa powróciły do mnie. Mogę go stracić, lecz zjawi się inny Anglik”.

Podnoszę się i staję plecami do okna, by powstrzymać burzę. Przepycha się ku mnie, jego oczy są zbyt blisko, zbyt natarczywe.

– Nie pamiętasz pan, jak siedziałem, czekając na pana w gospodzie Frau Beck? Nie wiedziałeś pan jeszcze o tym, lecz już byłem w posiadaniu pańskich głupich planów.

– Herr Sumper – mówię – to nie ma sensu. Pan Cruickshank nie znał mnie, nie mógł też znać mojej sytuacji, charakteru mojej żony, choroby mojego syna czy też artystów zalewających nasz dom. Mówiąc jego własnym językiem, pan Cruickshank posiadał niewystarczające dane.

– Henry, nie masz pan bladego pojęcia, jak pracował ten wielki umysł. Bo skąd miałbyś pan to wiedzieć?

Jestem od niego wyższy o pięć centymetrów, lecz gdy patrzę w czarne jak węgiel oczy, jestem skamlącym zwierzątkiem. Modlę się, by szybko mnie uwolnił.

Jasne jest teraz, że Frau Helga pokazała wieśniakom śmiejącego się Jezusa. To przeze mnie go sprzedała, lecz czy pieniędzy starczy na realizację mojego planu? Na pewno wiedziałem Frau Helgę, jak w stajni liczyła pieniądze. Widziałem jasny puszek na jej ramionach. Raz śniłem, że ją całowałem. Dawno temu.

Byłem nad strumieniem, nagi, myłem się, chwiejąc się na ostrych jak brzytwa łupkach, zdolnych amputować palce. Gdy Sumper dotknął mojego ramienia, podskoczyłem ze strachu. Moje części intymne pomarszczyły się jak kurze żołądki w rosole. Miał na sobie, niczym zbroję, skórzany fartuch, a w dłoni trzymał dziób, lecz wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

– Przyczyni się pan do powstania czegoś o wiele wspanialszego, niż mógłby pan kiedykolwiek sobie wyobrazić – powiedział.

– Prosiłem tylko o kaczkę.

– Nie dane było panu mieć kaczkę. Pana przeznaczeniem jest danie światu Cudu. Odwrócił się i pozostawił mnie w mej nagości.

Tamtej nocy Frau Helga cisnęła tłuczone ziemniaki na podłogę. „Nie masz prawa odbierać mi syna”. Nie było już więcej o tym mowy, cała sytuacja była bardzo przykra, a zwłaszcza widok Świętego Dziecka wyłamującego ręce, długie, białe palce oblepione kurzajkami. W świetle lampy jego podbródek wydawał się długi, kolana wystające, a palce splecione ze sobą niczym małe węgorzyki.

– Nie zaszedłem tak daleko tylko po to, by go skrzywdzić – powiedział Sumper. – Jest Geniuszem.

– Nie zrobisz mu krzywdy – powiedziała. Lecz z pewnością wiedziała, jak niebezpieczną sytuację sprowokowała w gospodzie, gdzie prawdopodobnie oglądano, jak Jezus ze śmiechem tarza się po podłodze. – To tylko mały chłopiec.

– To Geniusz – powtórzył Sumper. – Masz – dodał – przeczytaj. – Wyjął z kieszeni fartucha hebanowy dziób. Na jego spodniej stronie dostrzegłem srebrny napis inkrustowany w czarnym jak węgiel drewnie.

– Nie umiem czytać. – Odsunęła się od niego. – Wiesz, że nie umiem czytać.

Rzucił więc przedmiot w moim kierunku.

Potworne oczy wpatrywały się we mnie, czekając, aż pojmem znaczenie.

Jestem osłem, pomyślałem, skończonym idiotą.

– Racja – powiedziałem. – Dokładnie tak.



**Catherine**

Annie Heller wyrzuciła mnie o siódmej, zanim przeczytałam ostatnie strony. Zeszłam wąskimi duńskimi schodami, całymi w złocie o tej porze dnia. Na dworze wiał ciepły wietrzyk, unoszący w powietrze zbłąkane ulotki.

Pojawiłam się w pracowni w Aneksie na pięć minut przed zamknięciem, a tam, w czymś, co określamy mianem „pudełka z Ikei”, pośród rozmaitych śrubek i podkładek pozostałych po składaniu, czekał dziób łabędzia. To, dlaczego podchodziłam do niego z taką niefrasobliwością, pozostaje pytaniem dla psychiatry. Nie przypisałam mu nawet numeru katalogowego. Dzieło pana Arnaud było w identycznym stanie jak ostatnio, czarne jak noc, na posłaniu z waty, w małym tekturowym pudełku ze słowem DZIÓB napisanym flamastrem na pokrywce.

Wbrew słowom Henry’ego na dziobie nie było żadnego napisu. Poczułam się zawiedziona i wstrząśnięta, jak gdyby okłamał mnie kochanek. I nagle zrozumiałam to, co oczywiste: Arnaud wykonał napis w srebrze, które teraz byłoby srebrem oksydowanym, czyli słowa wypisane byłyby czarno na czarnym. Mogłam zanieść tajemnicę bliżej do okna. Mogłam oświetlić ją pod kątem specjalną lampą, lecz wybiła już godzina zamknięcia i byłam podniecona, a jednocześnie przestraszona, że ktoś mnie nakryje. Zawinęłam więc dziób w chusteczkę higieniczną, włożyłam do koperty i wybiegłam z budynku, jak gdybym się spieszyła na jakieś ważne zmyśnione przyjęcie.

Wieczór był bardzo dziwny, o wiele za gorący, z silnym, suchym wiatrem, jakby Buckinghamshire zamieniło się w pustynię. Przy Olympii, tak jak przy Lowndes Square, w powietrzu unosiły się gazety, „Evening Standard” owinęła się z nieprzyjemnym plaśnięciem wokół lampy ulicznej. TO BRUDY AMERYKI, A NIE NASZE. Można to było z łatwością przeczytać nawet do góry nogami.

W bocznej uliczce była zabawna mała apteka pachnąca amoniakiem, gdzie kiedyś kupowałam już dezodorant i szampon. Nie było w niej kasjera ani sprzedawczyni, tylko siwy, przygarbiony, drobny aptekarz cierpiący na przeziębienie. Wewnątrz panował miszmasz tekturowych pudełek, elektrycznych wiatraczków i podpasek, więc dłuższą chwilę zajęło mu znalezienie wacików i spirytusu salicyłowego.

– Nie trzeba torebki – powiedziałam i spróbowałam zabrać zakupy. Najwyraźniej jednak nie mogło się obejść bez rachunku. Gdy staruszek nabijał żółtą kopię paragonu na szpikulec, przypomniał mi mojego ojca zmieniającego baterie, a potem idącego na górę na jednego.

Wreszcie wyszłam na ulicę, a Róża i Korona była tuż przede mną, w odnowionym budynku na rogu, z niebieskimi kafelkami, jaskrawozielonymi parasolami i zaskakująco dużą grupą gości pijących na zewnątrz – angielska skóra spalona na raka.

Zwrócili na mnie uwagę, co było nawet w porządku. Chodzi o to, że jeszcze nie chciałam być erotycznie niewidzialna. Z drugiej strony, rycząca sfera ma w sobie coś nieprzyjemnego, a właśnie ryki odprowadziły mnie do schodów wiodących na piętro do „części hotelowej”.

W pokoju otworzyłam okno i usiadłam na parapecie – był na tyle szeroki, że mogłam na nim postawić butelkę ze spirytusem. Rozpakowałam waciki i ułożyłam je na chusteczce. Obok położyłam dziób. Pozostałe czynności nie były skomplikowane. Po trzech minutach spirytus odsłonił srebrny napis na spodniej stronie dzioba.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego Henry napisał „skończony idiota”.

W obliczu inskrypcji *Illud aspicias non vides* też poczułam się jak skończona idiotka.

Usiadłam na śliskiej narzucie ze sztucznego włókna i zaczęłam się zastanawiać, kto

mógłby mi ją przetłumaczyć. To właśnie wtedy, wpatrzona w różowo-błękitne reprodukcje w ramach, jakie widuje się tylko w hotelach, zrozumiałam, że nie mam przyjaciół.

Latami żyłam w leniwym, zarozumiałym, szczęśliwym świecie ludzi żyjących w parach, tak cudownie odseparowanym naszym własnym językiem i słodką nietolerancją od ludzi z zewnątrz. Oczywiście znałam wiele osób i z przyzwyczajenia darzyłam wiele z nich sympatią, lecz gdy zmarł Matthew, zamknęłam za sobą drzwi. Zmieniona stałam się starą panną. Moi rodzice nie żyli. Siostra wkrótce przestanie się do mnie odzywać.

*Illud aspicias non vides.*

Przez te wszystkie lata bycia sekretną kochanką wyobrażałam sobie, że samotność mi nie przeszkadza, lecz nigdy wcześniej nie czułam jej kamiennego ciężaru dławiącego gardło. Mogłam zadzwonić jedynie do człowieka, którego uprzejmości już nadużyłam.

Gdy Crofty odebrał, usłyszałam muzykę, coś skomplikowanego, to znaczy – wykraczającego poza moje możliwości.

– Przepraszam – powiedziałam, słysząc jego głos, choć oczywiście poczułam ulgę.

– Poczekaj chwilę.

Muzyka przycichła. Dopiero po chwili wrócił do aparatu.

– Przeszkadzam ci, przepraszam.

– Moja droga – odrzekł – nie masz w czym przeszkadzać. – Przypomniałam sobie, że kiedyś on też był w związku.

Przez otwarte okno widziałam dwóch mężczyzn podtrzymujących bardzo pijaną młodą dziewczynę, biedną, zataczającą się istotkę w śmiesznych butach, z pulchnymi nogami i w krótkiej spódniczce. Jezu, zmiłuj się nad nią. Nie miałam siły patrzeć.

– Gdzie jesteś? Chyba nie wciąż w tym cholernym pubie?

– Mówią na to *happy hour*.

Zapadła cisza. Potem Crofty zapytał:

– Chcesz, żebym wpadł i z tobą posiedział?

Byłaby to taka ulga. Ale oczywiście nie mogłam o to prosić.

– Jak dobrze znasz łacinę? – zapytałam.

– Dawno jej nie używałem.

– Ale pewnie dałbyś radę ją odświeżyć?

– Pewnie tak.

– Co znaczy *Illud aspicias non vides*?

– Gdzie jest dziób? – zapytał w odpowiedzi i zdałam sobie sprawę, że jest wstawiony.

– Dobrze wiesz, gdzie jest – odparłam. – I byłabym zaskoczona, gdybyś jeszcze tego nie przeczytał.

– Czy wiesz, moja droga – powiedział i zorientowałam się, że nalewa sobie do kieliszka.

– Czy wiesz, że mniemanie, iż zagadki należy rozwiązywać, jest dla mnie *bardzo* problematyczne? Wiesz, o co mi chodzi? Każdy kustosz uczy się prędzej czy później, że chodzi właśnie o zagadki.

– Nie drażnij się ze mną, proszę.

– Ależ skąd, mówię poważnie. Dlaczego zawsze chcesz uniknąć dwuznaczności?

Dlaczego zawsze chcesz polerować srebro do upadłego, zapytałam w duchu.

– Bez dwuznaczności mamy Agathę Christie, coś w rodzaju estetycznej zagadki kryminalnej. Spójrz jednak na jakikolwiek obraz Rothki. Możesz patrzeć i patrzeć, a i tak nigdy nie przejrzysz niepewności i dwuznaczności kolorów, formy i płaszczyzn. Tak dalece wyprzedza „analityczną jasność” twój Josefa Albersa.

– Wcale nie jest mój.

– Był ulubionym malarzem Matthew.

– To prawda.

Znów zapadła cisza.

– To mój projekt – powiedziałam. – Sam mi go przydzieliłeś.

– W rzeczy samej. Mam nadzieję, że nie byłem zbyt wścibski.

– Ericu, straciłam wszystko, dla czego żyłam. Sam mi to dałeś. Jeśli to zagadka, w porządku. Ale sam mi ją dałeś.

– Tak, moja droga, zgadza się.

– Czemu więc teraz dajesz ją jej? – Nie zamierzałam tego powiedzieć, ale stało się.

Łabędź należał do mnie. Henry należał do mnie.

Eric się zachłysnął.

– Co masz na myśli? – zapytał ochryłym głosem.

– To moje.

– Zgadza się – przyznał – ale co dokładnie masz na myśli, mówiąc „to”?

– Łaciński napis.

– Czyli chcesz wiedzieć, co oznacza.

– Tak.

– Illud aspicias non vides. To znaczy: Nie dostrzegasz tego, co widzisz.

– Zamknij się! – krzyknęłam.

– To znaczy: Nie dostrzegasz tego, co widzisz.

– Nie – zaprzeczyłam. – Nie!

– Moja droga Cat – odparł. – Dzwon, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

Telefon zamilkł.

Do szpiku kości przepelniała mnie uraza, zazdrość, wściekłość, że ta szalona, bogata dziewczynka wszystko mi kradnie, wliczając w to Angusa, czyli nosiciela tego samego spiralnego mechanizmu, który ukształtował górną wargę mojego ukochanego, ten kpiący, śmieszny, napięty mięsień w cieniu jego słynnego nosa.

Nie dostrzegasz tego, co widzisz, powiedział Sumper. Co za bzdury.

Gdy się obudziłam, nie przyszło mi nawet do głowy, że tak ogłuszający hałas może powodować deszcz. Lecz był to deszcz, wprost niewyobrażalny wodospad, kaskadami spadający z dachu na ziemię, podświetlony od spodu niczym Wodospady Wiktorii, głęboki i błękitny.

Kazałam Ericowi się zamknąć.

Na zewnątrz coś jakby załomotało w ścianę. Czy to huragan? Czy powinnam schronić się w łazience?

Dostrzegłam cień drabiny, chwiejącej się, uderzającej o ścianę. Przyszło mi do głowy, że wybiją szyby, a ja nie mam na nogach kapci, które ochroniłyby moje stopy. Potem dostrzegłam barczystego białego mężczyznę w szortach, wspinającego się w górę w strumieniach wody, ciało rozplaszczone o szybę. Zauważyłam jego pępek i czarne włosy na skórze, jak gdyby jakaś istota z nieświadomości przebijała się przez membranę snu. Przez deszcz słyszałam grzmoty. Usiadłam, przytrzymując kołdrę na piersiach.

Woda ryczała. Pomyślałam, że jestem zupełnie sama w jakimś przeklętym miejscu; ze wszystkich ludzi na ziemi Eric Croft był dla mnie najbardziej życzliwy, wyrozumiały, ustępliwy, gdy nie musiał wcale ustępować, szczodry, nie oczekujący w zamian wdzięczności.

Zamknij się, powiedziałam.

Świat się skończy, jak wszystko inne. Pomyślałam, że drabina spadła z dachu. Ulewa nadal trwała. Mężczyźni krzyczeli. Wszystko, cokolwiek mogłabym zrobić, wydawało się absurdalne.

Na ulicach pojawiły się migające żółte światła. I kolejna drabina. Mężczyźni w jaskrawoniebieskich nieprzemakalnych kombinezonach wspinali się za oknem. Kto w Londynie nosi niebieskie nieprzemakalne kombinezony? Nie rozpoznałam oznaki katastrofy.

O drugiej siedziałam sama w oknie, obserwując pustą, zalaną wodą ulicę. Następnego ranka wyruszyłam, z niewielką, lekką torbą z ubraniami na jednym ramieniu i torebką pod drugim. Nie miałam już czystych ubrań, a białą lnianą koszulę wybrałam tylko dlatego, że już w pracy mogłam usunąć z niej plamy z potu wodą utlenioną.

Większe wyzwanie dla zmysłu węchu pojawiło się przede mną przed pubem, gdzie ulicą płynęły ścieki. Zalało piwnice. W studzienkach kanalizacyjnych bulgotała obrzydliwie cuchnąca woda.

Drzwi do apteki były otwarte i dostrzegłam przez nie starego aptekarza stojącego na niebezpiecznie wysokiej drabinie. Wyrzucił na ulicę namoknięte tekturowe pudła, z których ulatniał się, jak przypuszczałam, dwutlenek siarki, choć poprzedniego dnia czułam amoniak, który brutalnie przypominał mi o licznych związkach siarki towarzyszących rozkładowi ludzkiego ciała. Myślałam o bakteriach, grzybach, pierwotniakach, o tym, jak po śmierci nasze ciała dokonują gwałtu na samych sobie. Nie podobała mi się ta myśl, wcale a wcale. Wołałam myśleć o nas jak o czymś suchym i kruchym, bez żadnego związku z nasyconym wilgocią połyskiem rozkładu.

Ochroniarze przeszukali moje brudy, gnoje. Później, w pomieszczeniu wyciągu laboratoryjnego, zdjęłam koszulę, wyczyściłam ją wodą utlenioną i dokończyłam dzieła suszarką. Gotowe. Odświeżona, niezupełnie.

Amanda się nie wylogowała. Ekran jej maca wypełniał obraz rzygającej ropy i ciąg głosów protestu. Byli to dorośli czy dzieci? Dessgirl, Mankind40, Miss Katz, Ardiva, Clorazil – kto wie? Lektura ich komentarzy była jak znalezienie się w samym środku szlochu. Czy Amanda

należała do tego podziemnego świata?

Clorazil pisał: Kto wykonał maszynę, która morduje ocean? Czyim interesom to służy? Nie ludzkim, to pewne. Ardiva wierzyła, że wraz z ropą wydobywają się płomienie. Sheread2 wysuwała hipotezę, że sytuacja ma związek z wulkanem. Nie mówi się nam o wielu rzeczach, pisała. Mankind40 sądził, że powinniśmy po prostu zrzucić bombę atomową, by zatkać miejsce wycieku. W najniższym kręgu ciągnęły się głosy potępionych. Nie wiedziałam, że ma to na mnie jakikolwiek wpływ. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że po policzkach spływa mi słona ciecz, lecz gdy od tyłu objęły mnie ramiona Amandy, zaczęłam otwarcie płakać. Nie było sensu tego ukrywać.

– Panno Gehrig, tak mi przykro.

Wzięłam od niej czystą białą chusteczkę. Wydmuchałam zasmarkany nos i siadłam przy swoim komputerze, by przygotować harmonogram zadań na pracowity dzień.

Oczywiście okazało się, że muzealni pijarowcy byli „podjarani” naszym projektem od samego początku i do szału doprowadzałam ich ciągłymi odroczeniami i opóźnieniami. Fakt, trzeba przygotować stronę internetową, ale oni też pracują w muzeum i z pewnością wiedzą, że ukończenie projektu zawsze trwa dłużej, niż można się tego spodziewać, lub, szczerze mówiąc, dłużej, niż się tego spodziewa dział promocji.

Ostatecznie zgodziliśmy się zaprezentować łabędzia w dwóch odsłonach, jednej publicznej, drugiej bardziej kameralnej. Rekonstrukcja nie musi być kompletna, by pokazać go „ważniakom w garniakach”, jak ich oryginalnie określał Eric.

Poproszono mnie o ustalenie z dyrektorem do spraw promocji i złośliwym menedżerem strony internetowej „bezpiecznej daty”, lecz gdy wreszcie nastął ten dzień, wcale nie był bezpieczny. Rano pozytywka nie chciała przestać grać, gdy kończył się pełny cykl występu łabędzia.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, moja droga? Zastanów się sama.

Nie przeprowadziliśmy jeszcze pełnej próby, czyli jesteśmy jeszcze bardziej na styk z przygotowaniem, niż oczekiwaliśmy.

– Naprawimy to – zapewniam Erica. – Mówię ci to tylko na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek?

– Za pół godziny będzie gotowe.

Dziewięćdziesiąt pięć minut później dzwonię, by go poinformować, że już jest gotowe. Niepotrzebnie napędziłam mu stracha, lecz nie protestuje ani się nie skarży. Pyta, czy będę gotowa, nie w pełni, oczywiście, na koniec dnia. Odwoła spotkanie, jeśli go o to poproszę, lecz jest jasne, że nie mógłby tego znieść.

– Nie odwołuj.

– Jesteś pewna, moja droga?

– Tak, całkowicie.

– Jeśli potrzebujesz więcej czasu, porozmawiam z działem promocji.

O wpół do trzeciej wszyscy widzą, że moje obliczenia były poprawne – nasz stwór stoi na dużym szarym ruchomym stalowym wózku, który możemy obracać dookoła według potrzeb. Mechanizm jest nadal widoczny. Powyżej zamocowana jest lustrzana tarcza, szklane pręciki, pierścień srebrnych liści, srebrne ciało i ruchoma szyja, na której błyszczą gęsto ułożone obrączki.

O czwartej biedaczek nie może już usiedzieć na miejscu przy Lowndes Square i pojawia się tutaj, w butach na kauczukowej podeszwie, gładko ogolony, zlany wodą kolońską Penhaligona, w obcisłym garniturze w prążki jak z obrazu Beckmanna. Garnitur rzeczywiście nadaje mu wygląd moralnie dwuznaczny, podchodzi się więc do niego tak, jak do mężczyzn z obrazów Beckmanna, z niepewnością.

– Nie ma dzioba? – Zagląda do środka mechanizmu, intensywnie wpatrując się w wałek pozytywki upstrzony wypustkami.

– Wolałbyś, żeby mechanizm był przykryty?

– Nie, nie. Tak jest o wiele lepiej. – Lecz jest widocznie spięty.

– Mogę poprosić Harolda, żeby zbił obudowę ze sklejki. Mamy jeszcze dwie godziny.

Wpatruje się we mnie intensywnie. Chyba rozważa moją propozycję i zaczynam żałować, że ją złożyłam.

– Gdzie jest dziób, Catherine?

Tydzień temu poczułabym się urażona. Dziś tylko się uśmiecham.

– Nie przejmuj się dziobem, przyjrzyj się lepiej, jak się rusza.

Amanda włożyła na tę okazję dziwny biały fartuch laboratoryjny. Z blond włosami zebranymi z tyłu i w okularach wygląda jak zjawiskowy Krzyżak.

– Panno Snyde – mówię – proszę nakręcić mechanizm.

– Oczywiście, panno Gehrig.

Po tych wszystkich dramatach naprawdę nieźle się razem bawimy.

– To ty masz dziób, prawda? – mówi Eric.

– Poczekaj. – Ujmuję go pod ramię. – Spójrz.

Z pewnością mu się spodoba. Już mruży swoje orientalne oczy.

To ja jestem konserwatorem, lecz przekazuję mojej asystentce przywilej nakręcenia mechanizmu przed pierwszą próbą generalną. Na moje skinienie zwalnia dźwignię mechanizmu. Gdy szyja rozpoczyna pierwszą skomplikowaną sekwencję, dziwacznym drapieżnym ruchom towarzyszy muzyka Brahmsa.

– Zatrzymaj.

– Nie! – woła Eric. – Nie, Catherine, proszę, nie.

– Widziałas to? – pytam Amandę, choć oczywiście wielbiciel orientalnych ślicznotek też to dostrzegł.

– W trakcie pierwszej sekwencji, tak.

Uruchamiamy ponownie pierwszą sekwencję i nie ma wątpliwości, że ruchowi towarzyszy irytujące drżenie. Nie było widoczne przed zamontowaniem obrączek na szyi, lecz teraz niweczy efekt, który powinien być niepokojąco giętki, zmysłowy.

– Mamy jeszcze czas – mówię.

– Nie – oponuje Eric. – Zostaw to cholerstwo w spokoju.

Myśli, że ta sytuacja oznacza ryzyko, lecz się myli.

Firma cateringowa i specjaliści od reklamy pojawiają się w tej samej chwili. Wysyłam Amandę, by się nimi zajęła. Eric bierze mnie za rękę.

– Nie karz mnie w ten sposób.

– Wiesz, że to tylko stara masa klejąca. Będzie działać idealnie.

– Nie zdejmiesz tych cholernych obrączek.

– Owszem, zdejmę.

Eric obserwuje mnie przez chwilę, po czym odchodzi.

Amanda zachowuje się idealnie, a może jej leki mają idealne działanie. Staje u mego boku i razem zdejmujemy obrączki. Jestem z nas bardzo dumna, z tej choreografii.

Usunięcie masy klejącej zajmuje nam około trzydziestu minut i podczas tego długiego okresu ciszy słyszę nerwową rozmowę Erica ze specem od reklamy, dziwnym chłopcem z agencji Colman Getty z nastroszonym pióropuszem na głowie.

Gdy kończymy, dokładnie dwadzieścia osiem minut później, orientuję się, że Eric mnie obserwuje.

– A teraz dziób.

– Tak – mówi bez emocji.

Ściągam moją torbę złodziejki z haczyka za drzwiami. Na ich oczach wyjmuję z niej dziób, odwijam chusteczkę higieniczną i przymocowuję go do nieumarłego stwora z zimnej stali dwiema mosiężnymi śrubami Whitwortha, które Amanda kładzie w zagłębieniu mojej suchej dłoni.

O 17.55 idę umyć ręce i dopiero po moim powrocie Eric dzieli się ze mną wiadomością,



że pół godziny temu dział promocji przerwał misję.

Kanapeczki są bardzo smaczne. Jedna butelka Veuve już jest otwarta, nie mamy więc wyboru, pijemy za nasz sukces.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Pracownię zalewało poranne światło, które, przefiltrowane przez rolety i odbite od ściany naprzeciwko okna, miało w sobie najsubtelniejszy odcień złota. Nasz eksponat wyglądał niezwykle wartościowo. Ukryłyśmy go pod narzutą z muslinu, modląc się, by światło się nie zmieniło.

„Ważniacy w garniakach” zaczęli przybywać na odsłonięcie o wpół do dziewiątej. Być może był to ukłon w stronę konserwatywnego etosu pracy, lecz wszyscy byli już na miejscu, gdy dokładnie o 8.45 przybył Minister Sztuki o gładkiej chłopięcej twarzy.

Jak to zwykle bywa w Swinburne, nikt nikogo nie przedstawiał, więc Amandę i mnie bez żadnych wyjaśnień pozostawiono samym sobie. Moja asystentka wybrała na tę okazję styl „na uczennicę”, lecz nawet przez chwilę nie wydała mi się przez to łagodniejsza.

Eric był wesoly i niezwykle czarujący, tryskał dookoła wiedzą niczym wodą święconą, płynnie przechodząc od rozmowy w cztery oczy do oficjalnego przemówienia. Przypominał samego łabędzia, w taki sam sposób obserwował swoje ofiary. Mężczyźni o gładkich policzkach rodem z Eton zamieniali się w dziewczynki w komunijnych sukienkach.

Crofty nie wspominał nic o moim udziale w pracach, czym byłam rozczarowana, lecz bynajmniej nie zaskoczona. Gdy nadejdzie pora, bym nakręciła mechanizm, ta cała banda pomyśli, że jestem kimś w rodzaju prowadzącej telewizyjny teleturniej.

Wtedy Crofty zwrócił się do ministra i zdegustowana dostrzegłam, że odbiera od niego filiżankę i spodeczek. Następnie, wskazując na łabędzia, powiedział: „Pomyślałem, że może zechce pan czynić honory, sir”.

Nie w jego rękach spoczywało prawo do udzielenia tego przywileju. Tylko konserwator powinien dotykać lub „obsługiwać” przedmiot.

Minister z korbą w dłoni wyglądał na bezużytecznego i zagubionego. Tymczasem Eric, w swoim żywiole, podniósł zasłonę, co spotkało się z tak przez nas pożądanym pomrukiem podziwu.

Łabędź był jak Zeus. Obramowanie ze srebrnych liści wyglądało zjawiskowo w porannym słońcu.

Minister zbliżył się z korbą.

Pomyślałam, dobry Boże, nie wie, gdzie ją włożyć, ale wtedy zdałam sobie sprawę – mam do czynienia z Croftym, więc to wszystko zostało omówione i zaplanowane. Minister nie był wkurzony. Był bardzo zadowolony. Aby włożyć korbę, musi wykonać coś w rodzaju dygnięcia.

– Wasza Wysokość – zażartował i wszyscy zaśmiali się zbyt głośno. Zapytał Crofty’ego:  
– Ile obrotów?

– Trzy – odpowiedział Eric.

Liczba była bez znaczenia. Zmyślił ją.

Gdy chłopiec z Eton nakręcał prosty w obsłudze mechanizm, poczułam słodki zapach oleju mineralnego. Gdy wyjął korbę, szklane pręciki obróciły się, chwytając odbite światło. Uśmiechnął się w stronę całego zgromadzenia, lecz dlaczego mielibyśmy patrzeć na niego? Rozległy się dźwięki Brahmsa i wszystkie garniaki zamarły jak urzeczone. Henry, twój srebrny łabędź był piękny i bezlitosny, gdy tak zwrócił głowę w lewo, w stronę ministra, później w prawo, ku dziennikarzowi z „Guardiana”, a następnie zaczął stroszyć i czyścić piórka na grzbiecie. Wszyscy trwali w bezruchu i ciszy. Każdy ruch był niepokojąco gładki, jak u żywego

stworzenia, węża, węgorza, oczywiście łabędzia. Staliśmy w podziw i nieważne, ile setek godzin przy nim pracowaliśmy, łabędź ani przez chwilę nie wydawał nam się znajomy, lecz niezwykle, wijący się, gibki, miękki, pełen gracji. Gdy skręcał szyję, by spojrzeć ci w oczy, jego ślepia pozostawały czarne jak heban, by po chwili rozbliśnieć słońcem odbijającym się w czarnym drewnie. Nie miał zmysłu dotyku. Nie miał mózgu. Był pełen chwały, jak Bóg.

Rybki były „zuchwałe”. Łabędź zgiął swą wężową szyję, rzucił się do przodu i wszyscy obecni wstrzymali oddech.

## **Henry i Catherine**

Percy, Percy, tak zaczynała się ostatnia strona.

Percy, oto jest gotowy, załadowany na wóz, który w domu nazwalibyśmy dwukółką. To solidna i ciężka platforma. Przymocowano do niej kwadratową skrzynię bez pokrywy, w skrzyni jest szalupa, a w niej ptak. Cały mechanizm ukryty jest w kadłubie, starannie zmontowany, gotowy na obrót korbą, gdyż wykładany niebieskimi kafelkami basen, który przez tak długi czas był źródłem twoich cierpień, teraz da ci niekończące się pasmo radości.

Lecz na razie jest jeszcze w Niemczech, cała mechanika w szalupie, szalupa w skrzyni, a ta szczelnie obłożona ziemią, kamieniami i darnią, sądzę więc, że znajdzie się tam biedna niemiecka dżdżownica, przez przypadek eksmitowana do Low Hall, gdzie zapozna się z angielskimi dżdżownicami i zapewne poradzi sobie w tej sytuacji o wiele lepiej, niż twój papa poradził sobie w tym obcym kraju, gdzie często stawał się obiektem drwin. Angielskie dżdżownice, jak mniemam, będą dla gościa wyjątkowo uprzejme i pobłażliwe.

Jest już późna noc, lecz cała wioska nie śpi, dzwonią dzwonki i strzelają bicze. Kolekcjoner baśni objaśnił mi, że to święto zwane Fasching. Potem powiedział, że to zupełnie coś innego. Prawda jest taka, że zegarmistrz uraził wieśniaków swoim brakiem wiary w Jezusa Chrystusa. Nie mam tego za złe chrześcijanom. U nas w domu też czulibyśmy się urażeni, choć nie aż tak, mam nadzieję, by palić kukły i podpalać drzewa w lesie.

Obecny jest Baron, tak mi powiedziano, lecz pośród zgiełku nie dostrzegam żadnych dowodów na to, że nalega, by jego poddani zachowywali się w cywilizowany sposób. Nie będzie mi przykro stąd wyjeżdżać i jeśli nastąpi to dziś, wcale nie będzie to zbyt wcześnie. Wyobraź sobie swojego papę siedzącego obok naszego wspaniałego ptaka, galopującego leśną drogą z pochodniami rozświetlającymi ciemności, za nim wszystkie szyderstwa i okropieństwa, przed nim twoje znakomite samopoczucie.

Pałą czarownicę. Też to widzę. Była ze słomy, lecz to i tak przerażający widok.

Wkrótce ujrzysz ów cud w Low Hall – włosy uniosą ci się na karku i puls przyspieszy. Ave Cygnus. Słone łyzy i wypolerowane srebro. O Boże, będziesz obserwował, jak Niezwykłe Stworzenie chwytą srebrną rybkę, unosi głowę i wykonuje skomplikowany łąbodzi taniec połykania.

Proszę, oto wyznałem. To łąbędź.

Drogi Percy, tak naprawdę nie chciałem łąbędzia. Wbrew temu, co mówiłem, nie chciałem nawet opuścić twego boku. Nie chciałem nic więcej, drogi chłopcze, ponad to, byś był zdrowy.

Wielki Boże, niech jeszcze żyje i czeka na mnie. Drogi Boże, błagam cię, ocal go. Pozwól mi stanąć przed twoim obliczem.

## Catherine

Dział Promocji i Rozwoju był bardzo zadowolony. Wspaniały łabędź stanął przy imponującym głównym wejściu do budynku przy Lowndes Square. Pokazano go w BBC, CNN, telewizorach, serwerach i podcastach na całym świecie. Eric zaprosił mnie na kolację do Ivy, gdzie nigdy wcześniej nie byłam. Kierownik sali zrobił wokół niego dużo zamieszania, piliśmy znakomite, nieco metaliczne chablis, jedliśmy ostrygi, oczywiście rozmawialiśmy o Matthew i rozplakałam się.

Eric w tej sytuacji bardzo dobrze się zachował. Powiedział, że łzy wydzielane podczas emocji różnią się składem chemicznym od tych potrzebnych do nawilżania oka. Więc moje chusteczki, powiedział, zawierają teraz hormon związany z poczuciem zaspokożenia seksualnego, inny hormon, który obniża poziom stresu, i wreszcie bardzo silny naturalny środek przeciwbólowy.

– Jak on się nazywa? – zapytałam.

– Enkefalina leucynowa – uśmiechnął się. Zapisałam nazwę.

Enkefalina leucynowa spełniła swoje zadanie i śmiałam się głośno, gdy Eric opowiadał, jak zabrał mojego miłego do klubu, którego był członkiem, by nauczyć go pływać.

Nie mówiliśmy o „entuzjazmie” Amandy i nie zapytałam, czy jej dziadek był pośród ważniaków w garniakach podczas pokazu łabędzia. Mówiłam tylko o zachwycie, jaki nakręcane urządzenie wzbudziło u ludzi, którzy wydawali się wyzuci z wszelkich ludzkich emocji.

Podzieliłam się swoimi antropologicznymi opowieściami z okresu dorastania w Clerkenwell i późniejszego, gdy trafiłam do nie najlepszej szkoły w High Wycombe. Opowiedziałam o swoich troskach. Był życzliwy i dowcipny, a gdy wyszliśmy na West Street, zawołał dla mnie taksówkę i złożył słodki, bardzo niewinny pocałunek na moim policzku.

Przejechałam przez Waterloo Bridge i nawet za bardzo nie płakałam.

Wręczyłam taksówkarzowi absurdalnie wysoki napiwek, a gdy odjechał, zauważyłam, że ów wstrętny stary samochód znów zaparkował na miejscu postojowym sąsiadów. Tym razem, gdy dostrzegłam przód wraka, zorientowałam się, że to armstrong siddeley, wspaniały angielski dinozaur z 1950 roku. Używano wówczas jedynie okropnych trujących farb z toluenem, które zanieczyszczały powietrze, odkąd tylko zeszyły z taśmy produkcyjnej. W roku 2010 karoseria była popękana i wyblakła, przypominająca raczej skórę zdechłej ryby niż dinozaura, płaszczkę, skórę martwego rekina pośród piasku i wodorostów.

Byłam już przy drzwiach, gdy poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Mój wrzask usłyszano pewnie nawet w Waterloo.

Był to Angus, wąty i upiorny.

– Wszystko w porządku? – To sąsiad, mieszkający dwa domy dalej.

– Przepraszam – powiedziałam.

Zatrzasnął okno, a Angus się wzdrygnął. Potem z cienia wyłoniła się młoda kobieta w ciemnoszarych ogrodniczkach. Była to oczywiście Amanda, włosy zebrane do tyłu, tak rozemocjonowana, że aż było to zastanawiające.

Nigdy nie zdajemy sobie sprawy z niezwykłości dziejących się zdarzeń. Gdy usiedli obok mnie na sofie Nelsona, zaproponowałam im herbatę.

– Nie, dziękujemy – odparł Angus, pochylając się i wpatrując we mnie intensywnie. – Jak się pani czuje?

Amanda również przyglądała mi się badawczo. Na kolanach trzymała swój szkicownik

i pomyślałam – właśnie w takiej chwili – że musimy jej odebrać rysunki, ponieważ te, które wykonała w godzinach pracy, są własnością muzeum i będą potrzebne do zilustrowania katalogu. To będzie naprawdę coś i chyba faktycznie zdobędziemy pieniądze na jego wydanie. Crofty wygrał zakład. Srebrny łabędź spodobał się mecenasowi sztuki brytyjskiej. Stanie się „centrum zysku”.

Wydawało mi się, że Angus chce mi coś powiedzieć, lecz nie ma odwagi.

– Dawaj – ponagliła go Amanda. Nie przypominała już tej młodej kobiety, która trzymała mnie za rękę podczas odsłonięcia łabędzia.

– O co chodzi, Angusie? – Dotknęłam wierzchu jego dużych, szorstkich dłoni; synek mojego Matthew.

– Zapytaj ją, czy przeświecili łabędzia. Zrobi to pani?

– Amando, musisz dać sobie z tym spokój.

– Proszę usiąść, panno Gehrig. Nic nie zamierzam zrobić, lecz co boi się pani odkryć?

A gdybym była Leeuwenhoekiem? Nie zechciałaby pani zerknąć w mój mikroskop? Świat może się okazać inny niż wszystko, co pani o nim wie.

– Mandy, w środku nic nie ma – powiedział Angus. – Tylko chcesz, żeby było inaczej. – Dotknął jej ramienia, lecz odtrąciła go gwałtownie.

– OK. A jeśli duchy są prawdziwe? – zapytała mnie.

– Ale nie są.

– Może pani powiedzieć, że to stek bzdur, lecz co, jeśli będzie to zgodne ze współczesną fizyką lub teorią strun? Byłaby pani jak ludzie, którzy się upierali, że Słońce krąży wokół Ziemi.

– Nie ma sprawy, zostanę przy tym poglądzie.

Ale już otwierała notes i intuicyjnie wyczułam, że ma w nim jakiś „dowód” lub argument z dziedziny kosmologii. Nie byłam zdenerwowana, lecz nieufna i bardzo ostrożna. Poszłam za nią do kuchni, gdzie zaczęła gorączkowo wrywać kartki z notesu i kłaść je na stole niby karty do pasjansa, nie bacząc na plamy z dżemu i masła, które brudziły równe linijki przechodzące z jednej woskowanej stronicy na następną, jak na mapie. Natychmiast dostrzegłam, że ułożona całość jest wyjątkowej urody, lecz powoli dotarło do mnie, że na kuchennym stole spoczywa szczegółowa analiza zapisków Henry’ego Brandlinga, którą przeprowadziła zapewne tu, w tej kuchni i w gawrze Annie Heller. Jak wszystkie analizy strukturalne, był to bardzo osobisty tekst, lecz połączenie jej dojrzałego talentu i bezlitosnej logiki było dla mnie odpychające.

A jeśli duchy są prawdziwe? – powtórzyłam w myślach.

Amanda nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata, lecz gnana potrzebą znalezienia „głębszego porządku” w chaosie, zaprojektowała bardzo szczegółową i pełną wdzięku kompozycję.

Dobrych parę chwil zabrało mi zorientowanie się, że pośrodku widnieje plan Karlsruhe zgodny z tym, co Sumper powiedział Henry’emu – kolebka koła, lecz także, jak zuchwale napisała, „miejsce urodzenia Karla Benza”. Naszkicowała lub skopiowała portret Karla Benza upiornym szarym grafitem, a poniżej napisała, imitując wiernie charakter pisma Henry’ego: „Karl Benz wspomina swój rodzinny dom: błękitne wzgórza, dolinę, którą spacerował, tak dobrze mu znaną dolinę pośród zielonych wzgórz, ze spienionymi potokami, drzewami iglastymi rosnącymi na zboczach, a ponad nimi małą szwarcwaldzką wioskę”.

Z małego Carla zrobiła Karla Benza. „Urodzony w 1844 roku” napisała. Dobry Boże, pomyślałam – czy może to być prawda?

Ta poważna dziewczyna, która wcześniej próbowała udowodnić, iż błękitna kostka jest w rzeczywistości chrześcijańskim krzyżem, uznała teraz, że kadłub był czymś w rodzaju drewnianego konia, którego podwójne poszycie ukrywało nie tylko kostkę, lecz także „sekrety”

silnika spalania wewnętrznego. Owe „sekrety” narysowała z taką zręcznością i dbałością, że praktycznie nie można było wątpić, że są „prawdą”. Wiem wystarczająco dużo o silnikach, by rozpoznać wałek krzywki, zawory i popychacze zaworów, lecz były tam też narysowane również „prawdziwie” urządzenia i różne ich warianty o funkcjach niemożliwych do wyobrażenia.

Pomyślałam, że kompletnie oszalała. Pomyślałam również: czy jestem zbyt głupia, by dostrzec w tym krytykę rewolucji przemysłowej?

– Amando, proszę. – Chciałam pozbierać kartki i zabrać je prosto do Erica.

– Nie! – Uderzyła mnie po dłoni.

– Amando, to są części silnika spalania wewnętrznego.

– Nie trzeba mi tego mówić.

– I znajdują się w kadłubie skonstruowanym w 1854 roku.

– Czy ma pani dobrą pamięć do lektur, panno Gehrig?

– Raczej dobrą.

– Ja mam *znakomitą* pamięć – powiedziała, ujęła mnie za rękę i przytrzymała.

Zwalczyłam chęć wyrwania się jej. – Jesteś teraz w takim stanie jak mucha, której mikroskopijne oko zastąpiono ludzkim. **JESTEŚ CAŁKOWICIE NIEZDOLNA DO POŁĄCZENIA TEGO, CO WIDZISZ, Z TYM, CZEGO NAUCZYŁO CIĘ ŻYCIE.**

Zaczęłam oponować. Przerwała mi.

– „Nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Nie masz pojęcia, co się tu wydarzy. Obiecuję, będziesz świadkiem nieznanych dotąd cudów”. Wie pani, co to miało znaczyć?

– Amando.

– Znaczy to, że zabiją nas wszystkich. Temu służy to urządzenie. Nie jest dziełem ludzkich rąk.

Z tymi groźnymi słowami otworzyła szkicownik i ujrzałam znane mi dobrze pismo, zaczynające się na górnym brzegu linijki, a kończące na krawędzi otchłani.

– Czy to Henry Brandling? – zapytałam.

– Oczywiście.

Więc wszystko wskazuje na to, że sama to napisała. Zaniosiła teraz falsyfikat do salonu, gdzie uklękła obok mnie na dywanie.

– Proszę – powiedziała i znów ujęła mnie za rękę. Przeszło mi przez myśl, że skóra jest najważniejszym narządem zmysłów. Znajduje się w niej ponad cztery miliony receptorów. To nasza skóra pozwala nam poczuć delikatny ruch powietrza, dotyk kochanka pieścącego nasze ciało. Nasza skóra doświadcza także tego, co czytamy, a przynajmniej było tak w moim wypadku: dostaję gęziej skórki, czytając niesamowitą kopię pisma Henry’ego:

„A z głębin rozleje się plugastwo, niczym czarna żółć, niczym ropa, a ocean stanie się jako matka, z której piersi wypływa gorycz piołunu. Prawda będzie jako brzytwa, której żaden język nie odważy się dotknąć. Rzesze głupców będą pierzchać we wszystkie strony rzekami smoły, z obrzydliwym gęganiem jak stado gęsi”. (Angus usiadł ciężko. Pomyślałam, że pierwszy raz dostrzega coś poza jej urodą). „Straszny głód, susze – wszystko będzie zagadką i niesprawiedliwością. A każdego, kto dostrzega prawdę, nazwą szaleńcem. Czy to ty, nieszczęsna niewiasto? A więc ukamienują cię i wrzucą do fosy”.

„*Mysterium Tremendum*. Istniały duchy, fantastyczne istoty, lecz były naszymi wrogami i umarliśmy, nie wiedząc, co się wydarzyło, wszyscy razem i każdy z osobna”.

Amanda zamknęła zeszyt i przycisnęła go do piersi.

– Oczywiście – powiedziała cicho – nic z tego nie może być prawdą.

Jej rozpacz i zagubienie były jak plamy słoneczne na moim mózgu. Może byłam jak mucha. Może to piękne stworzenie było geniuszem. Przeświałę to cholerstwo, pomyślałam,

czemu nie? Czemu miałabym tego nie zrobić? Nikt nie ośmieli się mnie powstrzymać.

Angus leżał zwinięty w kłębek obok mnie. Amanda położyła mi głowę na kolanach i objęła moje nogi brudnymi rękami.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała.

I tak trwamy, wszyscy troje, stoimy, kulimy się zjednoczeni i nie jestem pewna prawie niczego poza tym, że nasza istota otulona jest największym narządem zmysłów, wszechświatem samym w sobie, ludzką skórą.

Trzymam Amandę za rękę, tak jak niegdyś dotykałam skóry Matthew, jak teraz dotykam wilgotnego policzka jego syna. Maszyny nie czują, tak się powszechnie uważa. W duszy nie ma chemii, a czas nie ma końca. W naszej skórze znajduje się cztery miliony receptorów. To wszystko, co wiem. Kocham cię. Obejmuję cię. Zawsze będę tęsknić. *Mysterium Tremendum*.  
Całuję twoje paluszki.



## **Podziękowania**

Autor pragnie złożyć podziękowania na ręce Frances Coady, Sonny'ego Mehty, Diany Coglianese, Bena Balla, Angusa Cargilla, Lee Brackstone'a, Hansa Jürgena Balmesa, Kate Ward, Eleanor Rees, Meredith Rose, Jenny Uglow, Marion Kite, Matthew Read, Jane Whittaker, Howarda Couttsa, Edny McCown, Susan Lyons, Paula Kane'a, Davida Smitha, Roberta Smitha, Jeffersona Maysa, Thomasa Mogforda, Davida Thompsona, Jona Kesslera, Richarda Powersa, Patricka McGratha, Marii Aitken, Jacka Gaisera, Garry'ego Craiga Powella, Quinn Slobodian, Stewarta Waltzera, Elizabeth Estabrook i oczywiście Charlesa Babbage'a.